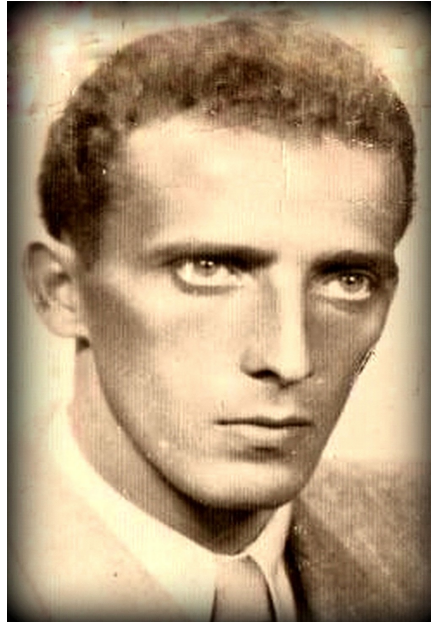


**JAN KOWALKOWSKI**  
ps. AK "HALSZKA"



**Likwidacja zdrajców  
Narodu Polskiego  
w Krakowie**

Maszynopis wspomnień z lat okupacji hitlerowskiej, napisany w latach 50.

*przepisał z fotokopii :  
Zbigniew Pstrusiński, wnuk Henryka Pstrusińskiego ps. AK "Pik"  
3 grudnia 2017 roku*

<b>spis treści</b>	<b>strona</b>
Sierpień 1939 rok .....	1
Pierwsze dni okupacji .....	2
Rok 1940 .....	6
Rok 1941 .....	9
Rok 1942 .....	16
Rok 1943 .....	23
Byłem na Wąskiej .....	24
Pacyfikacja Woli Justowskiej .....	27
W matni .....	28
Sprzedalem się w Jasyr .....	30
Narodziny "Sardynki" .....	34
Rozbicie mleczarni w Wiśniowej .....	38
Planowany zamach na Gubernatora Franka .....	42
Cichy Bohater .....	45
Skok morowy po napój wyskokowy .....	47
Nasz dzień jak codzień .....	49
Śmierć za śmierć .....	52
Polowanie na rogacza .....	56
Jak zginął zdrajca narodu były płk. Władysław Gostyński .....	58
Pobierał 100 zł. na główkę póki nie został kopnięty w makówkę .....	60
Po nieudanej akcji, Banzutz pociechą .....	62
Jak Szkotom zabrałem 500 000 zł . .....	65
Likwidacja garbarni w Dobczycach .....	69
Zabawa u fryzjera .....	72
Uciecha dywersanta w kinie Uciecha .....	76
Polska rodzina karze zdrajców .....	79
Aresztowanie Wiktora .....	81
Zamiast do Berlina 10 000 dolarów ameryka. Przechodzi w ręce dywersji .....	83
Agent Gestapo w łonie organizacji .....	87
I tym razem miałem szczęście .....	90
M-pi 42 .....	93
Likwidacja Anielicy .....	97
Orlik w potrzasku .....	104
Odlewnia metali .....	109
Znany dentysta konfidentem Gestapo .....	111
Gryps z Monetelupich przyspiesza likwidację .....	116
Więcej ziarna w Polskich chatach .....	120
Cyjanek Potasu .....	124
Skrzynka Kierownictwa Ruchu Oporu zagrożona .....	133
Szpieg w Szpitalu .....	136
W mundurach Gestapo .....	140
Święto Centralnej Dywersji Żgrupowania "Żelbet" .....	145
Nagle zagrożenie likwidacja konieczna .....	150
Śmierć konspiratora .....	153
Sprawiedliwości stało się zadość .....	158
Radiostacja "Wisła" .....	161

Łączniczki .....	165
Krzyżacy po raz pierwszy, drugi trzeci .....	167
Zlikwidowani konfidenti rękami swoich chlebodawców .....	172
Przed wyzwoleniem Krakowa .....	174

Klepsydra po śmierci Halszki.

"Orsza" – "Długi" Tadeusz Łaptaś z Piasków Wielkich.

"Dąb" Augustyn Wydrych. Wyrok dla W. Frączka "Łokietka" i czuwanie na Wawelu.

### ***Wstęp***

*Jan Kowalkowski ps. "Halszka" Dowódca Centralnej Dywersji "Żelbet" AK Kraków, która składała się z 26 osób, opisał w maszynopisie jej podstawowe działania. Będąc pracownikiem Spółdzielni krawieckiej w latach 50-tych opisał swoje wspomnienia podstawowych działań w czasie okupacji niemieckiej. Będąc w szpitalu, w ostatnich dniach swojego życia, kopię swojego maszynopisu przekazał swojemu aktywiście Józefowi Kozakowi ps. "Paskarz" z Piasków Wielkich. Piaszczanie byli w Jego Dywersji aktywnymi działaczami, np. "Orsza", "Długi", "Łokietek", "Celnik", "Masalski", "Para" i wielu innych. "Halszka" szkolił piaszczanskie "piątki", Stronnictwa Pracy, a później piaszczanie byli Jego pomocnikami w likwidowaniu służusów niemieckiego Gestapo.*

*Na stronach 11 i 12 podaje, że w Piaskach Wielkich utworzono Klub Sportowy "Orzeł", aby był przykrywką do gromadzenia się młodzieży do ćwiczeń i szkolenia wojskowego SZP-ZWZ a następnie w AK.*

*Opis ten to niektóre z ważniejszych działań przy likwidacji zdrajców i zdobywaniu środków dla AK. Są to tylko zapamiętane wydarzenia.*

*Gdy Stowarzyszenie Miłośników Piasków Wielkich zbierało materiały do opracowania historii Piasków Wielkich, to do wglądu otrzymaliśmy od J. Kozaka maszynopis "Halszki" z którego wykonaliśmy kserokopie.*

luty 1998 r.

Franciszek Rusek

*podpis odręczny*

## S i e r p i e ń 1939 roku

Z końcem sierpnia 1939 roku ówczesna dosyć napięta sytuacja uległa pewnej zmianie. Napięcie powstało w skutek ciągłej gadaninie o wojnie zmalało. Przeszto wykupywać nawet po sklepach artykuły pierwszej potrzeby jak: cukier, mąkę, mydło itp. Nawet po bankach i kasach nie było ogonów, które swgo czasu tworzyły się na skutek ludzi ogarniętych psychoza wojny którzy podejmowali swoje kapitały i oszczędności. Tak jak co roku 1 września miał się rozpocząć rok szkolny. Życie płynęło unormowanym trybem, a zostało wywrócone i wszelkie plany zostało przekreślone właśnie w dniu 1 września 1939 roku jak padło słowo – wojna. Kto z nas młodych wówczas chłopców, mając 18 lat zdawał sobie z tego sprawę, co to jest wojna ?. Kto z nas mógł przewidzieć jaką gehennę będzie przechodził Naród Polski skoro nie przewidywali tego doświadczeni politycy. Przecież nikt nie mógł wówczas sobie nawet wyobrazić jak okrutna i perfidna zbrodnia zrodziła się w mózgach maszyny hitlerowskiej. - Puki nie doświadczyliśmy tego nie mogliśmy nawet pomyśleć, że w XX wieku znany z kultury nasz sąsiad zachodni przerodzi się w bestialskiego mordercę pod wodzą reżimu hitlerowskiego, zdolny do wykonania okrutnych aktów gwałtu, masowo uległ żądzy mordy. Tego nikt nieprzewidział, a tym samym nie miał pojęcia co to jest hitleryzm.

My wówczas młodzi z pewnym dreszczykiem nawet oczekaliśmy wojny, ponieważ byliśmy żądni przygód, a wychowani w patriotyzmie, zazdrościliśmy naszym ojcom i braciom przeżytych walk wolnościowych, które znaliśmy z opowiadania ich historii.

I tak zanim w Krakowie usłyszeliśmy jak spiker polskiego Radia podał do wiadomości, że Hitler bez wypowiedzenia wojny zaatakował i naruszył granicę Rzeczypospolitej, zobaczyliśmy nad Krakowem samoloty bombowe zrzucające swój śmiertcionośny ładunek na nieprzygotowane nasze miasto. W słońcu srebrzyły się asystujące samoloty myśliwskie, które ostrzeliwując ludność z pokładowych karabinów maszynowych złowrogo błyskały czarnym krzyżem. Wojna zaczęła się a razem z nią niedola naszego narodu, która trwała aż 5 lat.

Bohaterstwo i męstwo żołnierza polskiego nie było w stanie zatrzymać po zęby uzbrojonej armii hitlerowskiej, która siłą broni pancernej, liczebną przewagą, przełamując opór wdarła się w głąb kraju, Żołnierz nasz musiał ulec, pomimo bezprzykładnego bohaterstwa i męstwa – pod naporem żelastwa i stali armii pancernych, które były wyposażone w najnowocześniejszą broń maszynową.

Akt pierwszy tragedii skończony.

=====

Kraków okupowany. 6 września 1939 roku wojska hitlerowskie wkroczyły do Krakowa. Niemcy spośród szanowanych obywateli naszego miasta – zatrzymali 25 ludzi, jako zakładników, ażeby armia hitlerowska spokojnie przemaszerowała przez Kraków. Przygnębienie wśród społeczeństwa było duże. Już w pierwszych godzinach ujawniają się szuje spośród mieszkańców Krakowa, witając wkraczającą armię "nadludzi" kwiatami. Były to naszczęście nieliczne przypadki. Od pierwszego dnia wkroczenia Niemcy przeprowadzili aresztowania, tak po domach jak i na ulicach miasta. Aresztowali ludzi którzy w taki czy inny sposób narazili się III Rzeszy, tych którzy swoją indywidualnością mogli zagrażać planom Hitlera, działaczy stronnictw politycznych, partii, oficerów wojska polskiego. Trzeba przyznać że teren mieli doskonale rozpracowany, posiadali nawet zdjęcia tych niebezpiecznych dla swego reżimu ludzi. Była to zasługa V Kolumny, która na długo przed wojną wzmogła swoją aktywność, a ówczesna władza nasze były na tyle ślepe, że nie zauważyły tego. W tym też czasie – bo już 12 września 1939 roku na ulicach Podgórze zostaje aresztowany między innymi mój brat przyrodni – Karol Geppert, który pomimo niemieckiego nazwiska znany był jako patriota, a tacy byli nie wygodni. Z ludźmi tego pokroju co on okupant załatwiał się szybko, czego dowodem jest że już 14 września został wysłany przez gestapo do jednego z najstarszych obozów zagłady "Buchenwaldu". Przez Kraków przewalają się kohordy hitlerowskie z imponującym sprzętem broni pancernej.

W powietrzu grzmą eskadry bombowców niemieckich, które z wielkim obciążeniem przelatują nad miastem w kierunku wschodu. Warkot tych motorów od czasu do czasu zgłusza wibracja silników mesreszmitów, które z wielką szybkością przelatują nad Krakowem – ochraniając te ciężkie maszyny, które niosą śmierć naszym braciom i zagładę naszych miast i wsi dotychczas niezajętych przez armię hitlerowską.

W dniu 13 września 1939 roku okupant specjalnymi afiszami rozlepionymi na ulicach miasta ogłosił odpowiedzialność zbiorową. W tym też czasie wyszło obwieszczenie o wprowadzeniu Sondenderichtu "Sądów Doraźnych". W równy miesiąc od daty wkroczenia do Krakowa okupant przygotował nowy cios, który nie tylko godził w miasto i jego mieszkańców, ale uderzył, w cztery naród polski, albowiem tego dnia aresztowano 183 profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Aresztowanie nastąpiło o godzinie 12.00, a ta wielka ilość profesorów została ściągnięta na Uniwersytet podstępnie, zwabiona przez okupanta zapowiedzią rzekomo mającej się odbyć konferencji. Aresztowania uniknęli tylko ci, co z jakichś powodów nie zjawili się i ci, którzy na to zebranie się spóźnili. W trzy dni potem nastąpiły duże aresztowania wśród nauczycielstwa. 29.X.1939 r. nastąpiła nowa niespodzianka. Hitler okupowaną ziemię Polski rozdziela – włączając część naszych ziem do Rzeszy, a resztę nazywa byłym obszarem państwa Polskiego i z tego terenu tworzy tzw. Generalne Gubernatorstwo, powierzając administrację nad nim znanemu Masonowi Frankowi. Za siedzibę swoją gubernator obiera sobie Zamek Wawelski. Kraków staje się stolicą tego nowego tworu.

W związku z tym, że nasze miasto zostało legowiskiem tej bestii, do Krakowa zjechały nowe formacje SS, Plicji, NSDAP a wraz z nimi cała administracja. Ulice naszpikowane były oprawcami w w/w mundurach, jak również opasłymi cywilami u których w klapach marynarek wpięta była swastyka.

Nie brak było pomiotu tych nad ludzi paradujących po mieście w mundurach Hitler-Jugend. Misto udekorowane zostało sfastykami a na Wawelu na maszcie została wciągnięta flaga rządowa III Rzeszy. Znak, że polakożerca Frank nie koronawany król tworu generalnego gubernatorstwa objął władzę.

Kto znas przypuszczał, że flaga ta reprezentująca reżim hitlerowski pwiewać będzie nad zamkiem

tych długich, okrutnych i koszmarnych 5 lat. Nie przewidywaliśmy tego, jak również nie spodziewałem się że w tych warunkach te 5 lat przeżyję i po tych 5-latach przeżytego koszmaru doczekam tego momentu i będę jednym z tych którzy zawieszą flagę o barwach narodowych – pierwszą flagę w Krakowie – świadczącą o wyzwoleni narodu z pod jarzma hitlerowskiego, właśnie Zamku Wawelskim w miejsce znienawidzonej sfastyki.

W społeczeństwie potguje się przygnębienie. Już wówczas daje się zauważyć dosyć duża różnica w podejściu do okupanta mieszkańców naszego grodu. Procentowo zobrazował bym to w ten sposób:

10 % szuje, kolaboranci, konfidenci, gestapo, volks-deutschicze, którzy poszli odrazu na współpracę z najdzdźcą, 60% ludzi pozostało biernych, w tym 20% ciężko przestraszonych. Dalsze 30% to ludzie twardzi, z kręgosłupem, którzy postanowili walczyć, różnych klas społecznych, różnych zawodów, różnej płci i wieku. Dla ludzi tych okupacja jest przegraną bitwą, lecz wojna z okupantem trwa. Każdy z tych ludzi myśli o sposobie walki i jak ukroczyć samowolę panoszącego się okupanta.

Pomimo tego, że wokół szaleje terror, zaciskających rodzimych wolsdoutshów i kolaborantów wśród których nic nie brakuje przedstawicielek płci pięknej, które są gotowe na wszystko za cenę by nie brakło szminek, strojów i białego chlebusia.

Terror jaki panował, niewiadomy los aresztowanych, a na dobitkę deportacja ludzi z Wielkopolski, którzy pod koniec roku przyjeżdżają do Krakowa z tobołkami w rękach, a które stanowią ich cały majątek. Opowiadania tych ludzi o formie ich wysiedlenia i transportu budzą grozę, potęgują nienawiść do wszystkiego co niemieckie. Znikome porcje "dźwiękowca" jakwówczas nazywaliśmy chleb przydziałowy nie zaspokajają potrzeb naszych młodych organizmów. Stąd też głód często nas gnębi. Drakońskie zarządzenia, bestialskie postępowanie panów świata, które ujawnia się szczególnie w obchodzeniu się Żydami potęguje odrazę i żądze zemsty. Co odważnisi na własną

rękę każdy bojkotwał niemieckie zażądzenia, która za niedokonanie czegoś najczęściej groziły karą śmierci. Samorzutnie tworzył się opór społeczny, podyktowany nakazem chwili – instynktem samoobrony. Ja również nie zastosowałem się do zarządzenia okupanta., które nakazywało oddać radioaparaty pod groźbą śmierci. Wyjęty ze skrzynki radiowy aparat był co wieczór eksploatowany i do późna w nocy słuchałem z bliższymi sąsiadami /pewnymi/ zagranicznych audycji w języku polskim, aby mieć pełny tekst, albowiem Niemcy bardzo odbiór zakłócali. Jedyną z takich audycji do dnia dzisiejszego utkwiała mi w pamięci. Z Ameryki wówczas przemawiał Paderewski, który między innymi powiedział: " a kiedy wkroczymy na ziemie Polski z rozwiniętymi sztandarami żołnierz polski zapłaci Niemcom za Gdańsk, Westerplatte, Warszawę, za zniszczone nasze miasta i wsie". Te parę słów rzucone ze świata, który jeszcze wówczas nie wiedział w jakich strasznych warunkach żyjemy podniosło nas na duchu. Po takich audycjach zwykle wywiązywała się dyskusja i za skończonego pesymistę był uważany ten co śmiało twierdzić, że okupacja potrwa aż rok. W tym czasie samorzutnie zorganizowałem trzech kolegów i na końcowych przystankach na wozach tramwajowych pisaliśmy "precz z Niemcami". W tej akcji nie byliśmy osamotnieni, bo na ulicach miasta coraz częściej pojawiały się napisy antyniemieckie. Tą też akcją przez cały czas okupacji popierali mali chłopcy, którzy niewprawną ręką niejednokrotnie z błędami ortograficznymi na murach, parkanach itp. Wypisywali różne słowa nazywając wodza III Rzeszy sk...synem lub poprosu D.... .

W ten specyficzny sposób dokumentowali swoją nienawść do najeźcy. Te dzieci buntowały się przeciwko panoszącemu się okupantowi, protestowały przeciwko uciskowi. Gestapo bez przerwy przeprowadzało aresztowania. Agenci i konfidenci ich organizowali prowokacyjne ucieczki na Węgry. Naturalnie kończyło się to aresztowaniem całych grup, których to ludzi rozstrzeliwano

lub wysyłano do obozów koncentracyjnych.

Strona 6

## R o k 1940

---

Niemcy przeprowadzają deportację ludzi na roboty do Niemiec. Jakżesz inna jest ta wiosna, jak okrutna od poprzedni przeżywanych. W tym czasie okupant organizuje jeden z obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu. Osobiści spotyka mnie wielka radość, z obozu koncentrycjnego Buchenwald przychodzi kartka w Krakowie, której od aresztowanego brata, którego dalsze losy były niewiadome – że jest zdrow i prosi o przesłanie pieniędzy. Niestety radość nietrwała długo, bo już 14 kwietnia tegoż roku na adres sistry przychodzi pismo z magistratu ażeby zgłosiła się po spadek. Napróżno głowiliśmy się co i po kim może dziedziczyć. Nazajutrz dopiero ciekawość nasza zastała zaspokojona, a wiadomość uderzyła w nas jak grom z jasnego nieba. Było to zawiadomienie z Buchenwaldu, że brat zmarł 22 lutego 1940 r.

*(prawdopodobnie w tym miejscu znajdowała się wklejona fotokopia)*

Oryginalne zawiadomienie o śmierci z Buchenwaldu.

Nawet dzień dostosowany do tej tragicznej wiadomości. Lało jak z cebra i nie było nic z wiosny. Z odwróconą twarzą do okna, by ukryć spływające łzy przysiągłem, że pomszczę Go. Zrobiłem postanowienie, że dopóki żyć będę walczyć będę z tą rozbudowaną machiną perfidnej zbrodni ciemną naród. I tak śmierć jednego Polaka rodziła bojowców. Jak dobre ziarno rzucone w ziemię wydawała plon. Podjęty spadek, który mordercy odesłali – to 5 zł polskich w bilonie, 7 fotografii i książeczka wojskowa. /uwidocznione wszystko jest na powyższej fotokopii./ Wstrząśnięty do głębi nie mogłem sobie darować przeżytej radości w marcu, po otrzymaniu wiadomości z obozu. A przecież otrzymałem ją już po śmierci. Z premedytacją ułożyłem klepsydrę tej treści, niżej fotokopia.

*(tu mejsce na fotokopię, fotokopii brak)*

Klepsydra ta została wydrukowana w Drukarni "Fortuna" w Krakowie, która mieściła się przy ul. Lubicz ....., a właścicielem jej był ..... . Rozlepiliśmy klepsydry na murach miasta, na dwa dni przed mającą się odbyć naszą mszą żałobną. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Już idąc na mszę zauważyłem, że klepsydry są pozrywane, a nazajutrz t.j. 19.IV. 1940 roku została aresztowana siostra wysiadając z auta dała mi znak ręką ażebym spłynął. Wydana przezemnia klepsydra zaszła porządnie szwabom za skórę, skoro specjalnym rozporządzeniem w parę dni później zabroniono podawać do wiadomości gdzie kto umarł, raczej został przez nich zamęczony.

Z dnia na dzień powiększało się grono klika adrajców narodu polskiego, która za biały chlebuś podpisywała listę volksdoutscha. Z czasem odszczepieńcy ci wychowani w Polsce i na naszym chlebie będą wykorzystywać swą przynależność do rasy wyższej i w różnych machlojkach i kolaboracji z okupantem będą zbierać żniwo w postaci brzęczącej monety. Jedni z pierwszych, którzy bez żadnego przymusu podpisali listę volksdoutscha – to profesor Bartosiewicz Ludwik, doktor Fryderk Spohn, inż. Rudolf Spohn, Fryderyk Borgel, przedwojenny pułkownik Gostyński Władysław, Balcer Jan i inni, którzy już z końcem 1939 roku poczuli w sobie płynącą rubinową krew będzie krew chydry hitlerowskiej i po zapewnieniu okupanta o miłości do Furera zdradzili

naród polski, otrzymując w zamian stanowiska i przywileje należne nadludziom pochodzącym z państwa niemieckiego i miano voksa, bo tak wówczas nazywaliśmy volksdoutschów. Terror potęgował się z dnia na dzień. Gestapo rozbudowywało siatkę agentów i konfidentów. W tym czasie na hurra rozbudowano jeden z najstarszych obozów zagłady Oświęcim.

Niemcy masowo przeprowadzają deportację ludzi na roboty do Rzeszy. Sytuacja jaką okupant stworzył zmusza wielu ludzi do wyjazdu. W tym czasie wyjeżdża również paru moich kolegów, ponieważ zmusza ich do tego głód, albowiem głodowe porcje żywnościowe nie są w stanie zaspokoić ich młodych organizmów, które z dnia na dzień słabły, a baza mięsna którą tworzyły okoliczne psy wyczerpała się. Na terenie Krakowa istniały już wówczas nierzadko komórki konspiracyjne, lecz pozbawione były siły bojowej, dlatego okupant panoszył się i wszystko uchodziło mu bezkarnie.

W lipcu – po trzech miesiącach więzienia na Montelupich w stanie rozstroju nerwowego zwolniono siostrę i drukarza. I tak mija rok. W kolebce konspiracja, która ogranicza naszą działalność do kolportowania gazetek, malowania napisów antyhitlerowskich i chęci zemsty nad znienawidzonym wrogiem. Niepewne jutro a wokół groza śmierci – widmo obozów koncentracyjnych, deportacji.

Nadzieja, że 1941 rok będzie inny, musiała karmić nasze puste żołądki, zaspokoić nasz głód.

## Strona 9

### R o k 1941

---

*(ręczny dopisek) Powstanie Klubu Sportowego "Orzeł" w Piaskach Wielkich.*

Rok ten okupant zaczął od zwiększenia swej narodowości. Już w styczniu na murach naszego miasta ukazały się odezwy, że kto jest z pochodzenia Niemcem, aż do II-go pokolenia – ten może ubiegać się o przynależność do rasy świata i może zostać V.D., a nawet Standtdeutchem. Korzystając z tego szuje naszego społeczeństwa o tak czydtych niemieckich nazwiskach jak – Wierchosławski, prof. Bielecki, Klimek Władysław – właściciel odlewni przy ul. Mogiłskiej, Gusy - order z ul. Wąskiej podpisują listy V.D. Natomiast są i tacy polacy, którzy rzeczywiście są pochodzenia niemieckiego i pomimo szykan i represji jakie okupant w stosunku do nich stosuje nie ulegają namowom, chociaż same nazwiska świadczą o ich pochodzeniu i utrzymują się wszelkimi sposobami przy swej polskiej narodowości.

Jednym typowym takim przykładem jest dr. Fisher, który nie ulega namowom, pomimo nacisku i wywieziony do Oświęcimia traci tam życie, zachowując swą godność Polaka i patriotę.

W marcu tego roku w związku z kolportażem gazetki konspiracyjnej "Dziennik Polski" jest walka, a nici jej prowadzą do Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Batorego Nr. 3. W związku z tym Gestapo przeprowadza tam aresztowania wśród tamtějších pracowników aresztując około 40-tu osób. Było to pierwsze aresztowanie na tak dużą skalę w jednej instytucji. W tym też okresie specjalnym zarządzeniem utworzone 21.III. 1941 r. Getto, zostaje zamknięte 13.IX. 1942 na terenie Podgórze gdzie Niemcy wysiedlili wszystkich Żydów z obszaru miasta.

Wieczorem 30 kwietnia na miasto nas czterech podzielonych na dwie grupy po dwóch ludzi z uprzednio przygotowanymi szablonami i czerwoną farbą. Na murach przy ulicach – Rakowicka,



Lubicz, Kr. Jadwigi, Trauguta, wielickiej, zamojskiego – odbijamy napisy: "1 Maj 1942 już w wolnej Polsce ". Robota nie była łatwa.

Przecież w ten wieczór, poprzedniający dzień święta robotniczego wzmocnione patrole policyjne krążyły gęsto po mieście, zwracając baczną uwagę, pomimo tego zadanie wykonaliśmy, a całą naszą satysfakcją i wynagrodzeniem za podżyty strach było to, jak na drugi dzień widzieliśmy jak specjalne ekipy ludzi trudziły się zdrapywaniem i zamalowywaniem naszej roboty. Napisy te dla szwabów to jeszcze jeden dowód, że nie aniechaliśmy walki i nie zrezygnowali z wolności.

W tym czasie konspiracja krzepnie, tworzą się tak zwane "piatki". Zostają przydzielony do piątki Zbycha, podlegającej bezpośrednio kierownictwu Oporu Społecznego, gdzie kierownikiem jest "Bocha". Ze względu na zaangażowanie sercowe pseudo z imienia branki "Halszka". Na genialny pomysł wpadł jeden z działaczy Stronnictwa Pracy "Konrad" i pod przykrywką Klubu Sportowego na terenie Piasków Wielkich organizował młodych i pewnych ludzi, którzy mieli być trzonem bijówki tego Stronnictwa.

Klubowi temu nadano nazwę "Orzeł" i nie nadarmo – bo żołnierz dywersji "Żelbetu" rozwinął swój lot niosąc śmierć znieawidzonemu wrogowi, który nieopatrznie znalazł się w zasięgu cienia jego skrzydeł, w zasięgu ognia jego pistoletu.

Na ulicy spotykam Karola Pfeiffera. Ze względu na zbrodnie i draństwo jakich dopuścił się na terenie naszego miasta i województwa muszę go szerzej opisać i poświęcić temu zdrajcy parę linijek w tej książce. Karol Pfeiffer zamieszkały na terenie Krakowa. Przed wojną obywatel polski, tuż przed wojną znika z reneru krakowa i zaraz po wkroczeniu Niemców zabłąsnał na firmamencie Krakowa jako reichs deutsch. Okazało się, że już przed wojną rozpracowywał tak ludzi jak i teren Krakowa i województwa. Dzięki jego rozpracowaniu Gestapo aresztowało masę ludzi i to zaraz w pierwszych dniach po wkroczeniu.

Organizował fikcyjne ucieczki na Węgry i całe grupy ludzi zostały aresztowane. Na 100 % jego ofiarami, między innymi jest brat mój i Tadeusz Herbert. Pfeiffer przyznając się do reichsdeuschstwa przy spotkaniu ze mną usiłuje ukryć, że jest jednym z agentów Gestapo, któremu ze względu na znajomość ludzi i terenu zlecone organizowanie siatek konfidentów. Dla zamaskowania prawdziwego oblicza oficjalnie prowadził bar "Pod Lotniskiem", gdzie kierownikiem tego baru był – Siatka Władysław. Restouracja ta jest punktem kontaktowym Gestapo – a w szczególności agentów i konfidentów IV Wydziału, którego sefem był Heine Meiler. Spotkany na ulicy wypytuje co porabiam. Odpowiadam mu zupełnie spokojnie, choć krew się burzy we minie

że handluje jeżdżąc w michowskie. Łotr ten usiadłszy ze mną na plantach pokazał mi książeczkę wojskową oficera rezerwy W.P. ,oraz legitymację, odznaczenia Krzyżem Polonia Restituta. Mając wyrobione o nim zdanie zorientowałem się, że bijąc na patriotyzm i posługując się tymi fałszywymi dokumentami będzie mnie manił ażeby coś ode mnie wyciągnąć. I nie myliłem się, zaczął opowiadać jak bardzo boleje nad śmiercią brata mojego, oraz dwuznacznie podkreśliła, że on jeździ również w teren, ale w zupełnie innych celach, sugerując , że zakłada organizacje niepodległościową. Obiecując pomoc gdybym czegoś potrzebował podał mi swoje miejsce zamieszkania – Mazowiecka 5. Przy tym wygadał się, że za parę dni będzie w Tunelu i gdybym tam był może się ze mną spotkać, na stacji kolejowej. Spotkanie to miało nastąpić w cztery dni później od dnia naszego widzenia. Postanowiłem działać.

Miałem wówczas niecałe 20 lat i zupełnego świadectwa tak że nie zdawałem sobie sprawy, że to nie jest takie proste i łatwe, że sam zapał i postanowienie nie wystarczą ażeby zgładzić zdrajcę. W każdym razie swój plan zacząłem wprowadzać w życie. Wyjechałem do Kozłowa – do swego

przyjaciela Kalwy Władysława i zwierając mu się ze swoich zamiarów postanowiliśmy wspólnie wykończyć denuncjatora setek ludzi. Dysponowaliśmy jedynym pistolecikiem kaliber 6.35, który raczej nadawała się do bicia much na ścianie jak później to kreślali w Dywersji lub na bicie sińca na czole niż do zamierzonego celu. W umówionym dniu chcąc być wcześniej na stacji w Tunelu przed nadejściem osobowego Kozłów – Tunel przyjaciel mój wykorzystując swoje znajomości z dyżurnym ruchu z Kozłowa spowodował to, że przelatujący pociąg ciężarowy zatrzymał się przed semaforem w Kozłowie, a stacja tunel została zawiadomiona o konieczności przytrzymania tego pociągu przed semaforem, ażeby umożliwić na wysiadkę. To powiodło się doskonale. Następnym etapem w planie miało być doprowadzenie przeze mnie Pfeiffera na bok, a Władek przechodząc miał go zastrzelić.

Niestety plan ten spalił na panewce, a likwidacji musieliśmy zaniechać, ponieważ Pfeiffer był w towarzystwie 5-ciu osobników. Po przyjeździe do Krakowa złożyłem do Kierownictwa Oporu Społecznego odpowiedni meldunek. Pfeiffer został umieszczony na liście konfidentów i agentów Gestapo. A w późniejszym czasie został na niego wydany wyrok śmierci przez Cywilny Sąd Specjalny.

Było coraz gorzej poruszać się bez zaświadczenia pracy po mieście. Warunki materialne jak i bytowe coraz cięższe. Dosłownie doszło do tego, że dziurawe skarpetki zawijane pod stopy wylatywały nieraz pięć centymetrów przed szpic buta, w którym nie było zelówki. Czarna rozpacz i beznadziejność coraz częściej ogarniały mnie. Doprowadzony do tego stanu musiałem zdecydować się na podjęcie pracy w Tartaku spiza na Dąbiu, jako robotnik placowy przerzucający foszty, deski, progi kolejowe, parkiet itp. I tu w porozumieniu z współtowarzyszami niedoli po paru dniach pracy, przy której poznaliśmy się uprawialiśmy dywersję. Układane przez naszą grupę progi kolejowe w dużym procencie nie nadawały się do swego przeznaczenia. Przerzucane foszty, które były już wyschnięte zostawały układane w ten sposób, że pierwszy deszcz robił z nich spowrotem drzewo mokre. Nawet parkiet ułożony w suszarni dużych ilościach ulegał zepsuciu, bo za swój obowiązek uważaliśmy że nie możemy gdzie indziej sikać tylko na niego, skutkiem czego paczył się i pękał.

Te drobne figle spowodowały to, że podpadliśmy technikowi nadzorującemu nasze prace, który zaczął nas sekować. Doprowadziło to do tego, że nie wytrzymując pewnego dnia jego epitetów pod naszym adresem strzeliłem go w pysk. Było by się to może i tragicznie dla mnie skończyło, bo sługus niemiecki wygrzebawszy się spmiędzy desek chciał mnie oddać w ręce policji. Uratował jednak sytuację kierownik tartaku – szczęśniak, który nie dopuścił do zawiadomienia policji o zajściu i w konsekwencji zwolnił mnie jedynie z pracy natychmiast.

Wykorzystując znajomości z inż. Merendą, który wówczas prowadził roboty budowlane w firmie niemieckiej Bauhofie na dąbju zostałem zatrudniony jako pomocnik zbrojaża. Pracując cały dzień na polu dokuczały nam jesienne deszcze i zima, a pracowaliśmy za marne grosze i menażkę antopu. Z pracy tej musiałem pewnego dnia zwiewać, albowiem do biura przyjechało gestapo i pragnęło porozmawiać ze mną osobiście, na co ja naturalnie wiedząc że jestem przez nich poszukiwany nie cmiąłem najmniejszej ochoty.

Coraz częściej czytywało się klepsydry o odbywających się mszach żałobnych, na klepsydrach tych ze względu na uprzednie wydane rozporządzenie zabraniające podawania gdzie kto został zamęczony nie było uwidocznione miejsce zgonu. Brak jednak terminu pogrzebu świadczył o tm że, człowiek ten został umęczony w obozie, zamordowany w więzieniu lub kaźni Gestapo, względni rozstrzelany w jednym z licznych masowych miejsc straceń. Fotokopię lednej z takich klepsydr zamieszczam poniżej, jak również zamieszczam fotokopię dwóch kopert – jedna z obozu koncentracyjnego w Dachau z dnia 8.V.1941 r., które to fotokopie dotyczą 1-go

człowieka, obrazują jak sprawnie działała zbrodnicza machina hitlerowska przerzucająca z obozu do obozu więźniów. Podana zaś data na klepszydrze 7 czerwca, jako data zgonu jest dowodem jak szybko i sprawnie kończono ludzi, którzy czymkolwiek narazili się III Rzeszy. Ginęli ludzie różnych klas społecznych, różnego wiku, obojga płci. Ginęli za to najczęściej, że śmieli urodzić się Polakami. Ginał kwiat polskiej młodzieży, a nie rzadko były wypadki rozstrzeliwania nieletnich. Hitlerowcy niszczyli wszystko co polskie, różnymi sposobami. Więzienie na Montelupich, w Tarnowie było przepełnione – pomimo tego, coraz częściej odchodziły transporty do Oświęcimia. Coraz częściej świcie grzmiały serie karabinów maszynowych w masowych miejscach straceń, jak w Krzesławicach i Przegorzałach. Ginęli patrioci polacy, ginęli bez ostatniego okrzyku "Niech żyje polska", "Niech żyje Wolność", albowiem perfidny morderca nie chcąc słyszeć okrzyków wolnościowych murował im usta gipsem, a ręce wiązał drutem kolczastym.

Utworzony t.zw. Baudinst "służba budowlana", do której okupant powołał specjalnym zarządzeniem młodzież polską zrobił pewne wyrwy w organizującej się młodzieży w organizacja niepodległościowych. Z końcem tego roku zostałem wysłany przez kierownictwo walki Podziemnej do Warszawy na przeszkolenie, gdzie zaznajomiono nas z działaniem i ochodzeniem się z bronią palną, a szczególnie z działaniem pistoletu maszynowego, który był dla nas nowością.

Tak mija rok 1941 rok. Konspiracja z dnia dzień krzepnie. Powiększają się szeregi Polski Podziemnej. Coraz więcej ludzi angażuje się do organizacji niepodległościowych. Gazetki /wydawane pisma konspiracyjne/ dostarczane są regularnie. W tym czsie odczuwa się jednak bardzo brak konspiracyjnej siły bojowej, która mogła przeprowadzać akcje odwetowe na znieprawdzonym wrogu, a tym samym ukrucić okrutne gwałty i popełniane zbrodnie. Pomimo szalejącego terroru społeczeństwo otrząsnęło się, coraz więcej jest ludzi odważniejszych,

a tym samym łatwiejsza jest walka konspiracyjna, chętniej ludzie udzielają schronienia poszukiwanym przez Gestapo bojowcom, a to przecież dla nas było bardzo ważne. Zamiast tułać się po dworcach czy Krzemionkach można było noc spędzić pod dachem, a to dawało nowe siły, dodawało otuchy do dalszej walki, że w walce tej nie jesteśmy osamotnieni.

**Strona**

**16**

## **R o k 1942**

---

Zaraz z początkiem tego roku przez Kierownictwo Oporu Społecznego "Sochę" zostałem skierowany na kurs dywersyjny, gdzie zapoznano nas z materiałami wybuchowymi i ich sziałalnością, oraz instruowano, jak można prowadzić dywersję w terenie, na drogach, torach kolejowych, liniach wysokiego napięcia i telekomunikacyjnych, za pomocą rozkręceń i uszkodzeń mechanicznych. Ze względu naskrócony cykl wykładów musieliśmy wykazać wiele sprytu ażeby zdobyte wiadomości na tyle sobie przyswoić, by można było dalej je sprzedać, a zarazem przy najbliższej akcji nie wysadzić się samemu w powietrze. Bystrość, chęć walki i pragnienie działania sprawiały, że opanowałem materiał na tyle, zdając egzamin z wynikiem bardzo dobrym. Zostałem indruktoorem dywersji, może nareszcie będzie się coś dziać na większą skalę. Poniważ dotychczasowa działalność – kolportowanie prasy, odbijanie napisów antyniemieckich, drobne akcje w postaci sypanie piasku do mazni z wagonów kolejowych, oraz

wrzucanie zapalników do baków samochodowych nie zaspokajały moich ambicji działania. Wprawdzie wrzucony taki zapalnik do baku dawał efektowne sceny, ale najczęściej sceny te nie były przez sprawcę oglądane, a to ze względu na czasowe działanie tego zapalnika. Mianowicie: zapalnik taki nazywany przez nas żwieczką bakową konstruowany był w ten sposób, że po zgnieceniu rurki, w której znajdowała się ampułka z kwasem siarkowym, wyzwolony kwas żarł ścianki celulojdowe i po odpowiednim czasie /zależało od grubości tych ścianek czas od 1 godziny do 4-ch/ kwas przeżarłszy celulozoid dostawał się do zbiornika, w którym była mieszanina chloranu potasu plus cukier i połączywszy się z nim wywoływał ogień, od tego zajmowała się benzyna w baku, skutkiem czego następował wybuch i samochód przeobrażał się w efektowny fajerwerk. Ukrywając się przed Gestapo sypiałem co noc gdzie indziej na tak zwanych mieszkaniach konspiracyjnych, poznawałem ludzi z różnych środowisk. Takie co dzień gdzie indziej kwatowanie było wyczerpujące, do tego nie rzadko zdarzało się, że ze względu na przerwanie kontaktu stawałem w takiej sytuacji, że na dwie godziny przed obowiązującą godziną policyjną nie miałem gdzie iść spać. Korzystałem do niedawnego czasu bardzo często z poczekalni dworca kolejowego. Obecnie najczęściej wykorzystywałem linię Kolejową Kraków-Tunel, sypiając w pociągu, a to ze względu na ostatnie zajście jakie miałem na dworcu w Krakowie, a którego o mało nie przeplącałem życiem, siedząc na parapecie okna przechowalni bagażu – kimnąłem sobie. Ze snu zostałem wyrwany przez patrol żandarmerii, który żądał okazania kenkarty. Wstając do tej czynności posłyszałem jakiś stuk, odwróciłem głowę i struchlałem na parapecie okna leżało moje kopyto. Na szczęście zasłonięte przez moją osobę przed wzrokiem żandarmów. Skończyło się wylegitymowaniem i umotywowaniem spania na dworcu, tym że przyjechałem po godzinie policyjnej i nie mogłem wyjść na miasto – a mogło się skończyć tragicznie. Po odejściu patrolu, siadłem na spluwie i kłamałem na czym świat stoi, że tak lekkomyślnie mógłbym stracić życie. Analizując sytuację jak się to stało doszedłem do wniosku, że w czasie sny pistolet wysunął mi się z kieszeni celtowego płaszcza, obsuwając się do tyłu na jego poję, a spadł z niej z chwilą mojego wstania. Ucieszyła mnie przeto wiadomość, że najbliższym czasie wyjadę w teren razem z kolegą z konspiracji "Wiktoorem" w celu szkolenia bojówek Stronnictwa Ludowego po lini dywersji. Wyczekiwaliśmy upragnionego dnia wyjazdu, oraz obiecanej pistoletu większego kalibru dla mnie, ponieważ posiadany przeze mnie kaliber 6,35 w terenie nie był żadną bronią. W wieczór poprzedzający wyjazd dostałem od "Freda" paczkę większych rozmiarów i poinformował mnie, że w niej znajduje się pistolet. Wprawdzie nie wiem w jakim celu tak solidnie był opakowany, chyba tyłkodla tego ażeby nie widział, że przyniósł mi takiego grata. Jak na skrzydłach udałem się do mieszkania "Wiktora" ażeby oglądnąć otrzymaną broń. "Wiktor" zaczął dowcipkować, że razie gdyby Niemcy zaczepili tego łącznika, to musieli bardzo długo czekać chcąc oglądnąć zawartość paczki za względu na masę papieru jaką była opakowana. Wraz z rozwijaniem paczki zrzędała mi mina, albowiem zaczynała wylatywać amunicja bardzo przerdzewiała. A z chwilą użycia się tej dobrej maszyny zakląłem, a "Wiktor" wybuchnął śmiechem – bo rzeczywiście było się z czego śmiać, był to stary zardzewiały Steyer z 1914 roku od góry ładowany łódką, pradziadek, będących wówczas w użyciu pistoletów. "Wiktor" nabijał się, że takiego pistoletu zupełnie nie trzeba ładować, bo można nim zabijać jak maczugą, co dla dywersji jest bardzo dobre ze względu na brak huku i bezszmerowe działania, lecz brak do tego mi jest prajców siły fizycznej. Po pewnym czasie jak brakło nam określeń na tego grata sprowadziliśmy do wspólno pseudo klarnetów, tych którzy nam go przysłali i przystąpiliśmy do wypróbowania tej nowoczesnej broni. Byliśmy w mieszkaniu "Wiktora" na Azorach w małym jednorodinnym domku parterowym. Ażeby zagłuszyć huk wystrzału "Wiktor" zaczął bębnić na fortepianie. Pomimo naciśnięcia spustu – armata nie wystrzeliła. Okazało się – że jest

unieruchomiona iglica przez rdzę. Godzinna kąpiel w nafcie i odpowiednie smarowanie – uruchomiły iglicę, ale ze względu na zamknięte naboje, druga próba zakończyła się ponownym fiaskiem. Po wybraniu naboju najmniej zardzewiałych osiągnęliśmy cel – padł strzał. Ze względu na późną porę i na drogę, która nas rano czekała przerwaliśmy dalsze próby. Rannym pociągiem wyjechaliśmy do Rzeszowa, gdzie mieliśmy naznaczony pierwszy kontakt. Ekspozyty materiału wybuchowego, spłonki, lonty zapakowaliśmy w jedną teczkę ze względu na to, aźbyj jeden z nas miał zawsze dwie rece wolne, a tym samym mógł kropić. Prucz broni i dwóch granatów mieliśmy fiolki z cjankiem na wszelki wypadek, gdybyśmy wpadli w rece Gestapo. Za dużo znaleźliśmy ludzi, za dużo punktów kontaktowych, a nie byliśmy pewni czy w czasie tortur nie powiedzielibyśmy czegoś, dlatego posiadanie cjankali zabezpieczało nasze milczenie. Kontakty organizowane przez działacza Stronnictwa Ludowego Zawojnę, organizowane były wzorowo i nigdy nie nawały. Po wymienieniu hasła – łącznik przekazywał nas w dalszą drogę względnie doprowadzał do punktu, gdzie zgrupowani bojowcy przechodzili szkolenie dywersyjne, które trwało przeważnie tydzień.

W czasie jeżdżenia po terenie były momenty bardzo nieraz tragiczne, a nieraz bardzo wesołe. Pamiętam, jak jadąc na lini Dębica – Tarnobrzeg weszło dwóch banszuców do przedziału i zażądali

ode mnie kenkarty. Podając żądany dowód obcisła marynarka uniosła mi się w górę środkowy guzik od niej zaczepił się o rekojęść pistoletu, który był umieszczony na brzuchu ukazując okazałe jego kształty. Siedzący vis a vis "Wiktor" zaczął mrugać nerwowo oczami chcąc mi dać znać że kopyto jest nawierzchu. Schowałem do unosząc w górę ramiona wciągnąwszy brzuch, doprowadziłem garderobę do normalnego stanu.

Jednak po wyjściu banszuców z przedziału, niewiasta która widziała to zaczęła histrycznie płakać, docodząc co by było gdyby Niemcy zauważyli ten pistolet. Pewnego zaś razu oczekujący łącznik, który dowiózł nas na punkt, gdzie miał się odbyć kurs dywersyjny wprowadził nas do izby, w której siedziało parunastu chłopów/kursantów/, którzy na nasz widok wybuchmeli głośnym śmiechem. Zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie, bo pierwszy raz spotakło mnie to, ażebym tak niepoważnie został powitany, sytuację naturalnie wyjaśniono po pewnej chwili, przeprasząc za tę kaskadę smichu. Okazało się że śmiano się z łącznika i było się z czego śmiać, ponieważ zapowiadana wiadomość, że ma przyjechać "Halszka" wprowadziło go w błąd, był przekonany, że przyjedzie kobieta. W związku z tym wystroił się na ostatni guzik, a konie pucował wg, relacji pół dnia. Stąd też powady do śmiechu i nabijania się z chłopaka, że spotkał go takie rozczarowanie.

Pewnego razu na punkcie kontaktowym w Rzeszowie, gdzie mieliśmy zanoć – gospodarz odebrał od nas teczkę i zaniusła ją do piwnicy mówiąc, że w razie gdyby była rewizja jakąś lepiej, żeby tak kompromitujące dowody jakie mieliśmy w teczce nie były w mieszkaniu w którym przebywamy. Pociągnięcie jego było bezsensowne bo przecież wiedział o tym, że przysobie mamy broń, oraz inne granaty. Naraził się jednak "Wiktorowi" bardzo, a ponieważ nie brakowało mu nigdy dowcipu i bujnej wyobraźni "Wiktor" zaczął opowiadać niestworzone rzeczy robiąc z niego palanta, a ja pękałem ze śmiechu widząc jak opowiadane bzdury przez "Wiktora" człowiek ten traktuje poważnie. Między innymi nabójał go, że my w Krakowie mamy taki budynek, który wokół jest zaminowany, oraz zaminowane są poszczególne jego części i w razie najści Gestapo możemy za przyciśnięciem guzika wysadzać jego części.

Kolon wszystkiego było, jak około godziny 23-ej układają się do snu "Wiktor" spytał gospodarza

mieszkania – o której godzinie zamykają tutaj piwnice?. Na otrzymaną odpowiedź, że o 21-ej wyraził swój żal. Zdziwiony gościnny gospodarz zapytał dlaczego żałuje, że piwnica już

zamknięta "Wiktor" wtedy powiedział mi, że dałby mu jeszcze coś do schowania, pokazując posiadany pistolet oraz granaty, na widok czego chłopak oniemiał. Zapytany później przeze mnie "Wiktor" dlaczego to zrobił powiedział mi, że kierował się tym, że rano wyjeżdżamy i nie będzie miał nas kto zbudzić a gospodarz zobaczywszy te napewno nie tylko nie zaśpi już, ale nie zmróży oka przez całą noc.

W tym czasie w Niemcy w Krakowie przeprowadzają coraz większe aresztowania, aresztując ludzi po kawiarniach, uluicach i domach. W noc z trzeciego na czwartego czerwca Niemcy przeprowadzają pierwszą krwawą likwidację Getta krakowskiego. Około 200-u S.S-manów obstawilo Plac Zgody, gdzie uprzedni zgrupowano około dwóch tysięcy Żydów-mężczyzn, kobiet i dzieci, różnych zawodów. Następnie kazano Żydom zostawić wszelki bagaż i pognano ich do Prokocimia, gdzie były przygotowane pociągi. Wywieziono ich do Bełżca. W drodze i na Placu zostało zamordowanych paręset osób. Ludzie ci nieomal od pierwszych dni okupacji zmuszeni nakazem do noszenia na lewym przedramieniu opaski z wyszytą gwiazdą syjonistyczną, która była symbolem żydowskiego pochodzenia narażeni byli na szczególne prześladowania i wyszukane formy znecania się nad nimi przez hitlerowców. Nie byliśmy przyzwyczajeni do okrutnych widoków, dlatego popełniane bestialstwa panów świata w stosunku do Żydów burzyły krew w żyłach i ałość na samego siebie, że jest się biernym widzem i tak bezsilnym. Lecz to wszystko cosmy dotychczas widzieli nie było niczym, było poprostu dziecinną igraszką doznanych z historii pochodni Nerona w porównaniu z tym, co zdegerowani mordercy z pod znaku Hecken Kkrouza wyprawiali z tymi biednymi ludźmi w czasie okcji ekstreminacyjnych w Gettcie. Z ludźmi, których jedynym przestępstwem, że urodzili się Żydami, że byli pochodzenia niaryjskiego, że nie należeli do narodu panów świata – wielkiego narodu germańskiego. 26 czerwca Niemcy dokonali pierwszej publicznej egzekucji w Krakowie i wieszając siedmi mężczyzn koło stacji kolejowej Płaszów zbieg ulic – Prokocimska i Narutowica. Zwłoki ich wisieć miały na widok publiczny przez paręnaście dni.

### **Pierwsza egzekucja w Krakowie**

Jednak ciała ich zostały zdjęte po trzech dniach, a to z tego względu, że przez stację Płaszów przejeżdżały włoskie oddziały wojskowe, które nie mogąc ścierpieć tego widoku wyrażały swoje oburzenie i dowódca ich interweniując u Niemców zmusił ich do usunięcia zwłok.

23 czerwca nastąpiła likwidacja państwowego Zakładu dla Umusłowo Chorych w Kobierzynie. 30-tu chorych zostało zlikwidowanych na miejscu, a blisko 600 osób ze stacji Swoszowice wywieziono do Oświęcimia. Wielu chorych zdawało sobie sprawę, że Niemcy będą ich likwidować lub wywozić. Wyprowadzono ich gwałtem wbieliżniezakładowej, niektórzy śpiewali "Jeszcze Polska nie zginęła" inni głośno klęli Niemców. W tym czasie Niemcy wydali wiele nakazów. Nakazy dotyczyły oddawania futer, ciepłej odzieży i obuwia. Zakazy przywozu roślin strączkowych, masła, tłuszczu, mięsa do miasta. Naturalnie wszystkie zarządzenia były najczęściej karą śmierci.

..... dokonany został zamach na lokal Nur fur Deutschce "Cyganerie" mieszczącej się wówczas przy ul. Szpitalnej. Zamachu dokonał Ż.O.B./Żydowska Organizacja Bojowa/. W związku z tym Niemcy przesunęli godz. Policijną z godziny 20-ej na 18-tą.

## R o k 1943

Rok 1943 zaczął się przy dalszym nasileniu terroru. Konspiracja scementowana przelaną bratnią krwią – umocniona. Powstały pierwsze bojówki zbrojne, których zadaniem było likwidowanie agentów gestapo, zdrajców i Niemców, którzy postępowaniem swoim szczególnie dawali się we znaki ludności polskiej.

27 stycznia została podłożona bomba zegarowa pod jeden z najgroźniejszych urzędów jaki był wówczas Urząd pracy. Bomba ta która miała spalić kartotekę w tym urzędzie skąd masowo wysyłano ludzi na roboty do Rzeszy, wybuchła za wcześnie i tylko część sali z kartotekami została uszkodzona. Zamachu dokonała bojówka G.L.P.P.S. Pod dowództwem "Mariana" Marian Bomby. Zamach na Arbtsamt nam ludziom pracującym w konspiracji dał wiele. Podbudował nas, w końcu zaczyna się coś dziać, że przechodzimy w akcje odwetowe w cyn zbrojny. Niemcom tym czynem udowodniono, że pomimo okrutnych mordów, represji i terroru jaki stosują – Polska Podziemna żyje faktycznie zdolna nie tylko do odbijania napisów na murach, ale pomimo rozbudowanego aparatu policyjnego i agenturanego reżimu hitlerowskiego – do wykonania zadań bojowych – czynów zbrojnych.

Przez cały okres trwały dzikie łapanki i polowanie na ludzi. W tym czasie i ja zostałem złapany.

strona

24

## Byłem na Wąskiej.

13 marca 1943 r. idąc ulicą Krakowską zauważyłem jak kordon policji zamyka wylotowe ulice. Nie było mowy o wejściu nawet do najbliższej bramy, bo one również zostały odstawione przez policję cywilną. W zamkniętym kordonie znalazłem się w raz z bratem, z którym szedłem. Pomimo tego, że miałem przy sobie broń o przebicciu się nawet nie myślałem, albowiem Niemcy wyspesjalizowali się w przeprowadzaniu łapanek i tak szybko i fachowo zamknęli pierścień, że nie było mowy o ucieczce. Samochody kryte plandeką podjeżdżały, na które Niemcy ładowali ludzi znajdujących się w pułapce. Cóż miałem robić. Jak baran dałem załadować się na jedno z następnych aut. Ruszyliśmy. Udało mi się ze środka auta przesunąć na jego tył, ponieważ chciałem wiedzieć gdzie nas wiozą. Odetchnąłem z ulgą gdy samochód zatrzymał się przy ullicu Wąskiej, gdzie był punkt zborny deportacji do Niemiec. Krzyki Niemców i poszturchiwania sformowały nas w kolejkę na ulicy Wąskiej, gdzie zaczęto nas rejestrować. Rejestrował urzędnik polski i przy rejestracji było również paru ordynerów/ porządkowych/ polaków. Brat mój okazawszy kenkartę został zarejestrowany, wówczas ja podszedłem do stolika i okazałem kenkartę =, którą posiadałem /lewą/ na nazwisko Kowalski Jan. Jeden z ordynerów sługus niemiecki, który znał mnie z widzenia z Podgórze – Adam Krasulski zwrócił się do rejestrującego urzędnika, że przecież ja się tak nie nazywam i to są lewe papiery. Uratował sytuację rejestrujący mnie – Garda, który powiedział "gówno cię Adam to obchodzi". W związku z tym zostałem zdekonspirowany przez tego szuję Krasulskiego i obawiając się, ażeby nie doniósł o rewelacyjnym odkryciu Niemcom, postanowiłem jak najprędzej uciec z tamtąd. Lecz sprawa nie była łatwa. Skoszarowano nas na II-gim piętrze. Tu dopiero widziało się nędzę ludzką, mogłem napatrzeć się trktowali ludzi ordynerzy, ci pseudo-polacy. Wieczorem

skombinowaliśmy linę , po której postanowiliśmy spuścić się z II-go piętra, z okna ul. Józefa. Na ucieczkę zdecydowało się jeszcze paru ludzi. Ja wychyliłem się przez okno chcąc oserwować ucieczkę brata, który szedł jako pierwszy. Nastąpiły chwile napięcia. Już jest za oknem, trzymając linę w lewej ręce, prawą trzyma się jeszcze parapetu . Trwa to sekundy. Puszczając parapet, i to prawie błyskawicznie następuje katastrofa, bo po przejechaniu na linie dwóch metrów - lina pęka, nie wytrzymuje ciężaru, a on z wysokości tej jak worek spada na bruk. Do połowy wychylony nasłuchuję czy żyje. Tak jęczy. Zalarmowane władze wzywają pogotowie ratunkowe, które zabiera go. Nerwy moje napięte są do ostateczności. Krew do stanu wrzenia. Co mu się stało ?.

Postanowiłem za wszelką cenę uciec. Udaje mi się przedostać na pierwsze piętro i tam uważając ażeby nie nadziać się na wartujących policjantów granatowych skaczę z okna. Skok jednak jest fatalny. Za żadną cenę nie mogę stanąć na nogach. Jak pies na czworakach, brnąc w rostopach wiosennych, po wielu odpoczynkach docieram na ulicę Miodową ..... do dozorca "starego Franciszka". Posiadany pistolet chowam pod siennik i tracę świadomość. Przyszędłszy dopiero po dwóch dniach do siebie stwierdzam, że jednak na nogi nie mogę stanąć. Ponieważ są to już godziny popołudniowe postanawiam na jutro iść do najbliższego szpitala O.O. Bonifratrów. Udało mi się dotrzeć po czterech godzinach o dwóch laskach. Przeczytałem, że rentgen jest czynny tylko do godziny 13-tej łyż stanęły mi w oczach, gdy pomyślałem o drodze powrotnej poniesionym trudzie i bulu na darmo. Z sytuacji uratował mnie znajomy lekarz Dr. Bolesław Stein, który pracował w tutejszym szpitalu i przechodząc zagadnął mnie a zorientowawszy w jakim jestem położeniu, spowodował, że pomimo nieurzędowania udzielono mi pomocy. Okazało się, że mam pęknięte dwie kości piętowe. Opatrzony wyszedłem na miasto i udałem się na klinikę chirurgiczną przy ul. Kopernika 40 chcąc dowiedzieć się o stanie swego brata. Uspokoilem się jak lekarz zreacjonował mi. Że pomimo złamania miednicy w czterech miejscach i pęknięcia kręgosłupa życiu jego nic nie zagraża. Adam po paru miesięcznym pobycie w szpitalu poszedł do oddziału Partyzanckiego Oporu Społecznego w powiecie myślenickim. Obrał pseudo "Orlik" i prowadząc walkę z Niemcami i w późniejszych przejściach w obozie koncentracyjnym nie

przeszkadzała mu nic noga, która w czasie upadku przy ul. Wąskiej weszła mu 10 centymetrów w pewną część ciała. Ja znalazłem schronienie i lizałem się ze swych kontuzji w domu swego przyjaciela Konrada Kołotkiewicza, gdzie pod troskliwą opieką jego mamy i babci Langerowej przyszedłem do zdrowia i mogłem rozpocząć dalszą swoją pracę konspiracyjną.

14 marca po wielu akcjach eksterminacyjnych, wywózkach z Getta i okrutnych mordach łącznie z dzieciobujstwem Niemcy przystąpili do likwidowania Getta Krakowskiego. Wywieźli Żydów autami do Oświęcimia wprost do komór gazowych, częściowo strzelając ich na miejscu. Nieduży procent jaki ocalał przesiedlony został do obozu w Płaszowie jako darmowa siła robocza jeszcze do wykorzystania. Dantejskie sceny rozgrywające się w tym czasie w Getcie przeszły ludzkie pojęcie.

23 kwietnia 1943 r. został dokonany zamach przez Warszawską Grupę Kedywu (Kedywu) na generała polcji i S.S. - Koepgo. Zamach niestety nie udał się.

Z początkiem lipca 1943 roku Niemcy wykryli w kopalni pod Krzeszowicami zapas dynamitu. W związku z tym 3 lipca przeprowadzili pacyfikację w Liszkach i Kaszowie. Ofiar było wiele. Wsie częściowo spalone.

30 lipca Gestapo przeprowadziło rewizję i aresztowania w księgarni Basińskiego przy ulicy Poselskiej. Aresztowano znane postaci Krakowa , jak Dr. Witkiewicza , Dr. Dolińskiego, Gałazego, Tadzia Dalewskiego, Zechentera.



### Pacyfikacja Woli Justowskiej

W noc z 27 na 28 lipca 1943 r. bardzo silne kordony policji, SS i żandarmerii a nawet wojska otoczyły olbrzymi teren Salwatora, Zwierzyńca, Chełmu, Bielan. Specjalnie gęsto zostały obstawione brzegi Rudawy i droga na Woli Justowskiej. Pacyfikacja zaczęła się o godzinie 6.40 rano. Wypędzono ludzi z domów, mieszkania rewidowano i grabiono, podczas gdy mieszkańcy leżeli na łące twarzą do ziemi. W jednym z domów na woli Justowskiej wykryto tajną drukarnię, gdzie wydawany był "Tygodnik Powszechny" i "Biuletyn Informacyjny". Aresztowano sistry Jakubowskie, Jakubowskiego, Korbutową, Porębskiego, dwóch braci Lelito i Grzybowskiego. Gestapo niemiłosiernie znęcało się nad aresztowanymi torturując ich, a o godzinie 18-tej hitlerowcy przeprowadzili egzekucję 21 osób, a parunastu ludzi wysłali do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu,

Poniżej fotografia pamiętnego miejsca straceń.

*Brak fotokopii*

Na rok 1943 przypada największe nasilenie masowych egzekucji wykonanych przez okupanta w Krakowie. Poniżej przedstawiam tabelę wykonanych egzekucji wraz z fotografiami upamiętnionych miejsc straceń w latach 1943-1944.

### W Matni

1942 r. wybraliśmy się razem z Wiktorem do jednej z tych melin gestapo gdzie schodzili się ich konfidenti. Chcieliśmy zobaczyć te gęby aby ich mieć ich obraz w pamięci. Jedną z takich meelin była restauracja "nur fur deutsche" mieszcząca się na narożniku ulicy Dietla a Krakowskiej w hotelu Mullera. Przebywając na sali restauracyjnej brakło nam papierosów, więc wyszedłem po nie do garderoby. Robiąc zakup, na tyle głowy poczułem zimno z równoczesnym ewzwaniem "ręce do góry s.....synie". Jedno co mi pozostało to być posłusznym. Wprawdzie miałem przy sobie pistolecik 6,35 ale nie mogłem zrobić ruchu chcąc żyć, bo każdy mój odruch należał by już do nieboszczyka, a co dopiero sięgnąć po niego. Nie było wyjścia trzeba było wykonać żądanie. Wolno podnosząc ręce chciałem zobaczyć przeciwnika i usiłowałem lekko odwrócić głowę, ale otrzymawszy cios w łeb, otumaniał mnie i dopiero stojąc pod ścianą, z wyciągniętymi do Bozi, mogłem przypatrzeć się swemu prześladowcy, wymoczek o zdegerowanej twarzy ozdobionej rudawym wąsikiem. Ubrany w szarą jesionkę i tyrolski kapelusik. Nie było wątpliwości, to nic które trzymało mnie sterroryzowanego, to nie kto inny tylko Andrzejewski. Wywiadowca kryminalnej pilicji i adent Gestapo, znany na terenie Krakowa ze zwej służalności wobec okupanta i wybijający się w wyłapywanou Żydów i znęcaniu się nad nimi. Mysli przesuwały się szybciej od taśmy fimowej. Co robić ? Jak wydostać się z matni ? ażeby "Wiktor" zaniepokoił się moją dłuższą nieobecnością i wyszedł zobaczyć co się ze mną dzieje było to moim marzeniem. W tym czsie zwyrodnialec ten trzymając pistolet w prawej ręce – lweą podjął słuchawkę telefoniczną

i przytrzymując ją ramieniem przy uchu wykręcał numer. Po otrzymaniu połączenia zarządził przysłanie wozu pod hotel Mullera. Po tej czynności używając różnych epitetów pod moim adresem wysmiewał sięze mnie, że wpadłem i już nie ujdę. Zaraz tu po ciebie przyjedzie wóz sk.....synie.

Były to jego ostatnie do mnie wypowiedziane słowa. Nie miałem nic do stracenia . Z kolei ja zacząłem mu rodzinę rozstawiać po kątach. Między innymi usłyszał ode mnie – ty zdegerowany typie, sługusie szwabski, szmaciarzu itp. Nie wytrzymał tego nerwowo. Przyskoczył do mnie bijąc mnie w twarz. To mi wystarczyło do wykorzystania jedynej okazji. Błyskawicznie lewa ręką podbiłemmu oistolet, prawą zaś uderzyłem go w gardło, równocześnie dając kopniaka w brzuch.

Skutek był piorunujący. Pistolet łukiem wyleciał za ladęszatniarza, żulik znalazł się na drugim końcu pokoju. W tym momencie spełniło się moje marzenie. W drzwiach restauracji ukazał się "Wiktor". Szybko zbiegliśmy ze schodów, ne było ani chwili do stracenia. Ze względu, że nie wiedzieliśmy jaka jest droga odwrotu, czy na schodach nie napotkamy Niemców, nie mogliśmy łotra kropnąć. Zajście to było dla nas groźnym ostrzerzeniem, bo przecież chodząc po ulicach miasta mogliśmy na każdym kroku zetknąć się nie tylko z tym zbirem, bo skoro nas rozpoznał jako poszukiwanych przez Gestapo, tokaždy jeden z nich nas może poznać, dlatego to od tej chwili, gdziekolwiek będąc nie rozstawaliśmy się ani na krok, a tym samym jeden zawsze ubezpieczał drugiego. Andrzejewski w roku 1943 został skazany przez sąd Cywilny sąd specjalny na karę śmierci i pomimo tego, że osobiście chciałem się nim spotkać i specjalnej uwadze poleciłem moim chłopcom, łotr miał na tyle szczęścia i był tak ostrożny, że łajdactwa swoje popełniał nieomal do samego wyzwolenia Krakowa. Został zlikwidowany jak to się mówi "pięć minut przed dwunastą"

bo dopiero 10 stycznia 1945 roku, ale o tym czytelnik przeczyta w wspomnieniach z tego okresu.

**Strona**

**30**

### **Sprzedalem się w jasyr.**

---

---

Z końcem kwietnia 1943 roku ukazało się rozporządzenie, którym okupant wszystkim firmom i przedsiębiorstwom na kazał dostarczyć 10 % zatrudnionego personelu ludzi na wyjazd na roboty do Rzeszy. Przedsiębiorstwa nie chcąc wysłać swoich pracowników szukały ludzi zastępczych , którym płacono od 4 – 10 tysięcy złotych, i tych co mających niewolników dostarczano do punktu zbornego przy ulicy Wąskiej w ramach narzuconego kontyngentu na przedsiębiorstwa. Zakwitł handel żywym towarem na szeroką skalę, bo wynajęty kontyngent to byli cwaniacy i po pokwitowaniu przez Niemców przedsiębiorstwu dostarczano ludzi najczęściej zwiewali z transportu

po to ażeby za parę dni znowu się wynająć. W Spółdzielni Straży Pożarnej przy ulicy Dunajewskiego Nr. 3, gdzie pracowała moja siostra wysłanie i odstawienie takiego pracownika stało się problemem. Kierownik przedsiębiorstwa obywat. Czarnecki Tadeusz parę razy odraczał dostawę kontyngentu ludzkiego ze względu tego, że zachowując swą polskość bojkotował i uchylał się od wykonania zarządzeń okupanta. Był już koniec czerwca a przedsiębiorstwo nie dostarczyło ludzkiego kontyngentu a co gorsza coraz ciężiej było wynająć zastępcę, ponieważ Niemcy zorientowawszy się, że ludzie z transportu uciekają obstawiali teraz transporty i trudno uciec, a nikt nie miał zamiaru nawet za wynagrodzeniem wyjechać do Rzeszy. Ostateczny termin

dostawy człowieka nadszedł, a naprawdę nie można było z tej firmy nikogo wysłać spośród zatrudnionych dziewięci pracowników, a zastępcy nie było. W tych warunkach i takiej sytuacji zdecydowałem się, że mnie odstawią na Waską w ramach narzucanego kontyngentu. Pomimo zdecydowania się i zapewniania ich, że dam sobie jakoś radę i przypuszczam, że zwięzę z transportu tłumaczono mi ażebym się nie narażał, bo uciec nie jest łatwo, ale mając nóż na gardle zgodzili się dostarczyć mnie z tym, że z pewnością, że oprócz parutysięcy wynagrodzenia, które dostaną przez cały czas będą przysyłać mi paczki żywnościowe o ile nie uda mi się uciec. Nawet woźny wdzięczny mi, że jadę w jego zastępstwie, bo w razie gdybym ja się nie zdecydował musiano by jego wysłać przyrzekł, że on będzie przysyłał mi osobno paczki jeśli mnie wywiozą. Tak też któregoś dnia zgłosiłem się do spółdzielni, skąd miano doprowadzić mnie w ramach narzuconego żywca w charakterze wołu roboczego, który pracując w Niemczech miał wzmocnić potencjał zbrojeniowy wielkiej III Rzeszy.

Z otrzymanego wynagrodzenia wzięłem jedynie dwa górale/500 zł okupacyjne/ do kieszeni, resztę zostawiłem na biurku kierownika i powiedziałem, że jutro po moim powrocie mi wypłaci. Nikt z obecnych nie wierzył w to co mówię. Obywatel Nowak, który był zastępcą dyrektora odprowadzi, mnie na punkt zborny przy ulicu Wąskiej, gdzie mieścił się punkt deportacji ludzi do Niemiec.

Słynny na całą polskę, bo przecież Kraków deportowano około 60 % z ogólnie wywożonych do Rzeszy ludzi. Tutaj pod aparatem Rentgena usłyszałem – dichaj wydichaj – zakwalifikano mnie jako nadającego się do uprawiania niewolnictwa w Niemczech. Uciekać jeszcze nie mogłem, bo dopiero przy pociągu szkopy przeliczywszy i sprawdziwszy nas kwitowały firmom dostawianych ludzi. Na drugi dzień dopiero odchodzi transport. Do pociągu odprowadził mnie wzruszony Nowak, któremu pokwitowano dostarczenie człowieka. Po zapewnieniu mnie, że nie zapomną o mnie życząc mi powodzenia odszedł ze złzami w oczach. Zostaliśmy zagnani do wagonu, wprawdzie osobowego ale załadunek nasz odbywał się mniej więcej tak jak ładuje się nierogaciznę, przy pokrzykiwaniu obstawiających nas zonderdiestu. Wagon z dwóch stron został zamknięty a na płatwormach pod drzwiami pełnili straż sondiediestu. Przyznam się, że nie bardzo dobrze się wtedy czułem. Zdeprynowało mnie to, że w przedziałach okna były pozabijane i nie dawały się otworzyć. Otuchy dodawał pistolet uciskający serce, który pierwszy raz spoczywał w tej kieszeni, bo zawsze nosiłem go za paskiem na brzuchu lub w prawej kieszeni płaszcza. Niczym pociąg ruszył, a trwało to około godziny zorientowałem się, że mam broń przy sobie. Ułożyliśmy taki plan – ci co chcą uciekać przejdą do końca wagonu od kierunku jazdy pociągu. Jak pociąg zwolni bieg, gdzieś w polach na zkręcie nagle otworzymy drzwi wagonu, uprzednio otwarte z rygla. Jeśli sondierdista będzie stał z drugiej strony drzwi to wciągniemy go do przedziału rozbroimy, zwiążemy i korzystając z następnego zwolnienia biegu pociągu będziemy skakać. Byliśmy już za Krzeszowicami., ponieważ tam była granica, która została otworzona przez Niemców pomiędzy tak zwanym Generalnym Gubrenatorstwem a III Rzeszą. Wyczekiwaliśmy pełni napięcia odpowiedniej chwili. Drzwi z rygla były już otwarte, wystarczy nacisnąć klamkę by ustąpiły. W końcu nastąpił decydujący moment, pociąg zwolnił bieg. Szybkie spojrzenie przez szyby by zorientować się czy to nie jakiś przystanek kolejowy, mocno lecz cicho naciśnięta klamka i błyskawiczne otwarcie drzwi, które trąciły coś świadczyły o tym że pilnujący wartownik dostał nimi. Jeden za drugim wyskoczyliśmy, mniej lub więcej udanie, ale bez większych obrażeń szczęśliwie. Po paru minutach zebraliśmy się i policzyliśmy czy są wszyscy. Było nas jedenastu. Dwóch chętnych nie było, bo skakać miało trzynastu. Ze względu tego że był mrok już przeszliśmy wzdłuż toru w kierunku biegu pociągu ażeby zobaczyć czy przypadkowo ktoś źle skacząc nie zabił się lub ciężko nie uszkodził, jednak nikogo nie było.

Tych dwóch brakujących musiało poprostu stchórzyć i nie wyskoczyć. Wszyscy byliśmy lekko potłuceni lub podrapani, jeden z nas miał tylko skreconą nogę na której z trudnością mógł stanąć. Podzieliłem ludzi na dwie grupy. Zrobiłem to z tego względu że w mniejszych grupach można prędy i bez zwracania specjalnej uwagi poruszać się w terenie. Do swojej grupy wziąłem delikwenta ze skreconą nogą i jednego chłopaka, który mieszkał pod Krzeszowicami. Chodziło mi o to że chciałem mieć lokum dla kontuzjowanego. Drugą grupę ostrzegłem że za wszelką cenę powinni się starć do Krakowa jak najszybciej ze względu na bezpieczeństwo, naturalnie polami a nie szosą. Rozstaliśmy się. Ze swoją grupą doszedłem do miejsca zamieszkania człowieka pod Krzeszowicami, gdzie ulokowałem chłopca z obolałą nogą i po wipiciu paru szklanek ciepłego mleka, które stawiała uradowana matka, że syn wrócił w towarzystwie trzech pozostałych ludzi, przed świtem byłem w Krakowie. Przespałem się u jednego z nich przy ulicy Józefa. Sen był mocny po forsownym marszu, tak że dopiero około godziny dwunastej w południe przyszedłem do Spółdzielni, gdzie wszyscy z radością i entuzjazmem mnie powitali. Po paru dniach spotkałem jednego człowieka z tej drugiej grupy, który poinformował mnie, że i Oni szczęśliwie i bez przeszkód dotarli do miasta.

Strona

34

### Nardziny "Sardynki"

---

W lipcu 1943 roku zostałem przez "Sochę" wysłany do Warszawy. Wprawdzie lewe moje papiery na nazwisko Kowalski Jan były dość mocne, bo nie brakowało w nich nawet delegacji służbowej wystawionej przez jedną z największych firm niemieckich "Simens". Papiery te jednak nie gwarantowały bezpieczeństwa, ponieważ między innymi czyhającymi zbirami na linii Kraków – Warszawa grasowała specjalna ekipa Gestapo dobrych fachowców, którzy znali swoje rzemiosło i najbardziej wiarygodne papiery kwestionowali. Z Warszawy przywieść miałem radiostację dla Kierownictwa Oporu społecznego w Krakowie. Z krótkofalówki takiej nie można się było wytłumaczyć, dlatego postanowiłem w tej podróży też nie rozstawać się z bronią, chociaż posiadane pistolety stwarzały dodatkowy balast do wiarygodnych dokumentów. Skwapiliwie przeto przyjąłem propozycję sąsiada, który słysząc o moim wyjeździe do stolicy prosił mnie ażeby go zabrać. Chłopak ten był na dobrych papierach, nie należał do konspiracji, więc mu nic groziło, a w razie jeżeli coś się stanie ze mną w drodze da znać. Z napięciem nerwowym, lecz bez specjalnych wrażeń siadłem w pociąg z człowiekiem, który nie mając pojęcia komu towarzyszy był w doskonałym humorze i tryskał dowcipem. Dobrego jego nastroju nawet nie popsulo wejście kilku gestapowców, którzy w przedziale sprawdzali dokumenty. Zrzęda mu dopiero mina, jak za Dulową zaczęły lecieć walizki na głowy, a krzyk przerażonych i zdezorientowanych ludzi zagłuszył huk detonacji. Okazało się, że przed nami wyleciał transport wojskowy zdążający w przeciwnym kierunku. Nasz pociąg nie uszkodzony, ale dalsza droga zatarasowana. Spadające walizki z powodu gwałtownego hamowania ponabijały ludzimi guzów. Wokół było słycać narzekania i klęcia. I tak po około pięciu godzinnym postoju zostaliśmy skierowani przez Rozwadów do Warszawy gdzie dobrnęliśmy z dużym spóźnieniem. Po przybyciu na punkt kontrolny otrzymałem lokum. Zakwaterowałem się tam razem ze Zbysiem. Nazajutrz Zbysiu poszedł zwiedzać Warszawę, a ja załatwiać sprawy konspiracyjne. Kontakty połapałem natychmiast, a ponieważ wszystkobyło przygotowane postanowiłem zaraz po południu wracać do Krakowa. Niemile zaskoczyłem tym swego towarzysza podróży, który

myśla że w warszawie dłużej zabawi. I tak na dworzec wschodni dostarczono mi radiostację zapakowaną w dwie duże paczki. Prądnic, która była ciężka obiecano dostarczyć do Krakowa przez towarzyszy z P.P.S-u. Ktorzy pracując na kolei mieli możliwość przewiezienia tego na lokomotywie. Zapowiedziano, że pociąg podstawiony zostanie z dugodzinnym opóźnieniem, mając bilety w kieszeni wyszedłem na plac przed dworcem i rozlokowaliśmy się na trawniku. Był nie samowity upał. Zdjąłem marynarkę, pod którą wsadziłem pistolet. Zapowiedziany pociąg nie nadchodził. Zaczął zapadać zmrok. O pociągu ani słycho ani dychu. Zniecierpliwiony wyczekiwałem, Zbysiu wyjął pół metra z teczki i otworzył pudełko sardynek na zgrychę. Obserwując bacznie otoczenie spostrzegłem, że dwóch schutz policjantów w towarzystwie beanszuc legitymuje i przetrząca bagaże oczekujących na pociąg ludzi. Wychyliłem kielicha i powiedziałem swemu towarzyszowi. W razie jak będą rewidować nasze pakunki, to nie przyznawaj się do nich. Tak samo nie wiesz kto ja jestem, nie znasz mnie. Zrobił bardzo głupią minę, ale nie miał czasu pytać o nic, bo niewmcy już byli tuż tuż. Należ gorzały powiedziałem głośno i podnosząc zwrok w górę, zwróciłem się do stojącego nademną schultz-policjanta – trinken Si/ i nie czekając na odpowiedź wzniosłem kielich w górę zwyczajowym prosit. Od nalanego kielicha niemiec zaczął się wymawiać ale po porozumieniu się z resztą patrolu wypił. Kolejno wypili wszyscy trzej. W pewnym momencie banszuc trącając nogą paczkę spytał co tam jest. Przyznam się, że nie wiedziałem co mu odpowiedzieć. Wtedy Zbysiu uratował sytuację. Wstał i zwrócił się do banszuc, a może sardynkę? - pan pozwoli – szarmancko częstowaał. Po opróżnieniu butelki patrol odszedł. Ponieważ z podobnie groźną sytuacją mogłem się liczyć w koażdej chwili, a droga do Krakowa daleka, dlatego na zapytanie Zbysia co by było gdyby chcieli zobaczyć co jest w paczkach, bez słowa uchyliłem marynarkę i pokazałem leżący pod nią pistolet, który czernią swą malowniczo odbijał od zielonego trawnika. Krótco i wezłowato powiaedziałem mu, ażeby w drodze w wypadku podobnej sytuacji nie przyznawła się ani do mnie ani do paczek. Wówczas on wyraził chęć pracowania w konspiracji i prosił mnie ażeby go wciągnąć do niej. Dalszy etap podróży odbyliśmy bez większych sensacji. Nazajutrz odebrałem od Zbysia przysięgę a ponieważ nie był zdecydowany na obranie sobie pseudonimu ochrzciłem go "Sardynką". .....

Nie znając Jego odwagi i bojowości, postanowiłem nowicjusza obtrzaskać z niebezpieczeństwem. Zleciłem "Renowi" aby co drugi dzień obstawiał "Sardynkę" i obserwował go, który będzie chodził z Bernardyńskiej na ulicę Gertudy / obecnie Waryńskiego / z walizką. Wręczyłem "Sardynce" walizkę , z której przy potrząśnięciu wydobywały się metaliczne dźwięki i poleciłem udać się z nią na ulicę Gertrudy Nr. 6. "Ren" odbierał pod kamienicą walizkę od "Sardynki" na Gertrudy, wchodził do kamienicy i po chwili dużą cięższą wręczał z powrotem koledze. W czasie trwania tej suchej zaprawy były dwa momenty, z których serdecznie uśmieliśmy się. Pierwszy zdarzył się zaraz na początku. "Sardynka" niosąc walizkę zobaczył patrol niemiecki, zawrócił do "Rena", który szedł za nim i ze słowami – potrzyj walizkę , bo but mi się rozwiązał – przepadł w następnej bramie, z której wyszedł dopiero po przejściu patrolu. Drugi numer wyreżyserował na zakończenie. Było to już wtedy, jak chłopak nie płoszył się na widok patroli niemieckich. Po przyniesieniu walizki do mnie spytałem "Sardynkę" czy wie co nosi w walizce. Odpowiedział mi, że przecież nie jest frajer i wie, że nosił skorupy granatów, a z powrotem granaty. Wówczas otworzyłem walizkę i udowodniłem mu, że był jednak strasznym frajerem, bo w walizce znajdowały się butelki z wodą mineralną. Konaliśmy ze śmiechu, bo przez cały czas nosił on puste butelki w jedną stronę, a pełne do mnie, które "Ren" wymieniał w fabryce wody sodowej Rząca-Cmurski. Nie był to odosobniony wypadek humorystyczny, który zdarzał się w czasie ćwiczenia odwagi przyszyłych dywersantów. Pamiętam, jak jeden z ludzi dotął cegłę zapakowaną do przeniesienia na punkt kontaktowy, a widząc patrol niemiecki wrzucił ją

przez okienko do piwnicy, chcą pozbyć się kompromitującego materiału. Zameldował później, że nie mógł tego przenieść, ze względu na przeprowadzenie reizji i łapanek. Nie wiedział, że w drodze jest obsrewowany. Po złożeniu relacji przez obserwującego wyśmialiśmy go, a na dobitkę poszedłem z nim pod wieczór i kazałem wejść przez okienko do piwnicy by wydobył paczkę. Natrudził się bardzo, a jeszcze więcej wysmarował, poniósł wilemtrudu, po to ażeby przy rozwinięciu paczki ujrzeć nazwyczajniejszą cglę. Nie mając innych możliwości tymi prymitywnymi sposobami zaprawialiśmy chłopców, do przyszłej dywersji. W ten sposób wyrabialiśmy w nich ambicje, otrzaskiwali się z niebezpieczeństwem. Z czasem wyrastali na nieustraszonych bojowców.

strona

38

### Rozbicie mleczarni w Wiśniowej

Pod koniec sierpnia 1942 roku znaleźliśmy soę z "Wiktorem" na przystanku kolejowym w Boguchwałach. Oczekując na łącznika i po przejściu paru kilometrów jesteśmy już ..... na punkcie gdzie było już zgrupowanych dwunastu ludzi z okolicy, w celu przeszkolenia po lini dywersji. Organizacja bardzo dobra. Widać że Wiatr-Zawoja działacz Stronnictwa Ludowego zorganizował. Na miejscu mamy zakwaterowanie, wyzywanie, ludzie z bronią. Jeden ręczny karabin maszynowy, osiem karabinów, trzy pistolety. Przez dzień nie pozwalałam nikomu wychodzić, ze zddględu na bezpieczeństwo. W czasie dnia rolęczujki pełni gospodarz wraz z córkami. Na noc ustalam zmienną wartę. Kurs przebiega sprawnie i spokojnie, a na zakończenie planuję skok na mleczarnię w Wisniowej. Planuję ją rozbić i chłopci na jakiś czas będą mieli spokój z dostawą mleka, a szkopy mniej mleka i masła. Sprawa nie jest jednak łatwa i prosta, mleczarnia znajduje się około dwieście metrów od posterunku, gdzie jest sześciu szwabów i paru granatowych. Poza tym gmina wysłała czterech chłopów, którzy w nocy pilnują mleczarni, a co najgorsze policja kazała im nie chować się w czsie pilnowania, każdemu osobno i w razie podejrzaných ruchów, każdy ze stróży na własną rękę ma alarmować. Zapoznawszy się ze szkicem sytuacyjnym dochodzę do wniosku, że bez wyłapania systemu bezszmerowym tych czterech strażników nie da mi się sparalizować akcji posterunku i uniknąć alarmu. Sprawę bardzo komplikuje fakt, że nie można ich otoczyć, bo są pochowani i nie wiadomo w których miejscach. Myślałem parę dni, aż wreszcie wpadł mi pomysł godny instruktora dywersji. I zaraz nazajutrz przystąpiłem do akcji. A więc: do mleczarni było około dwudziestu kilometrów, jest nas czternastu ludzi. Ażeby nie zrobić sznuru sześciu ludzi pójdzie ze mną, sześciu z "Wiktorem". Spotkanie nastąpi w zagajniku, w odległości około dwustu metrów jest mleczarnia. Ja pójdę pierwszy przez nasyp i stanę koło mleczarni zapalając papierosa. Liczę, że napewno jeden ze strażników podejdzie do mnie i nawiąże rozmowę. Będę się starał ściągnąć na papierosa wszystkich czterech. Wtedy "Wiktor" ze swoimi ludźmi otoczy nas, a jak będą sterroryzowani przysle łącznika po resztę. Przewidywania moje sprwdziły się. Zapalając papierosa koło mleczarni, zauważyłem, że zbliża się do mnie dwóch chłopów. Zagadałem do nich, poczęstowałem papierosem i już po niedługim czsie przyszło dwóch następnych, którzy też chcieli zapalić frajerskie, zazdroszcząc kolegom. "Wiktor" wykonał bezszelestnie zadanie, że nawet ja który byłem przygotowany podskoczyłem, kiedy usłyszałem

cche, groźne "ręce do góry". Kazałem im się położyć twarzą do ziemi. Postawiłem nad nimi wartę a jednego człowieka wysłałem do pozostawionej grupy. Dwóch ludzi wysłałem na szosę jako czójkę, trzech ludzi z R.K.E.-mem podprowadziłem vis a vis posterunku ażeby związać siły policji. Wtedy dałem sygnał rozpoczęcia akcji. Usłyszałem jak forsują masywne drzwi mleczarni. Na posterunku również musiano usłyszeć, bo powstał ruch. Kazałem otworzyć ogień z rkemów, po budynku posterunków, strzelając równocześnie z pistoletu dla zwiększenia siły ognia. Po tej serii zapanowały tam ciemności i cisza. Po jakiej godzinie czasu przyszedł łącznik i zameldował, że w mleczarni jest spirytus, wódka, oraz pięć becek masła po czterdzieści kilo i pyta co z tym zrobić. Chcąc na miejscu zbadać sytuację poleciłem chłopcom w razie jakis podejrzanych ruchów na posterunku zameldować mi, a sam poszedłem oglądając przebieg akcji. Śruby z wirników powyjmowano. Wirniki stłuczone młotami. Motory porozbijane, urządzenia drewniane porabane, nie było ani jednej całej szyby ani okiennicy. Robota fachowa i zniszczenie kompletne. Było nas czternastu ludzi w akcji. Z tym, że chcąc masło i spirytus trzech ludzi pozostawić przez godzinę na miejscu aby trzymali posterunek w szachu. Czterech ludzi nie mogem obciążać ze względu na konieczność zabezpieczenia grupy przed niespodziewanym spotkaniem. Tak, że pozostało nas siedmiu do niesienia plus czterech strażników mleczarni. Wybraliśmy cztery transportery z spirytusem, resztę kazałem rozbić. Uniknęły jedynie nieliczne literki, które chłopcy organizowali po kieszeni dla własnych potrzeb. Beczki z masłem kazałem niesć tym, którzy je pilnowali, i tutaj jeden z tych chłopów, zbudowany jak tur powiedział, że nie będzie niósł, gdyż jest chory. Ci pozostali podszeptowali mi, że on niechce nieść bo się boi żeby niewmcy nie mieli do niego pretensji. Wiedząc, że symuluje chorobę zwróciłem się do niego.

"No nie możecie nieść, jesteście słabi, w takim razie, jak polska powstanie to z takich chłopów nic" "Wiktor" zastrzel go". Był to z mojej strony fortel, jak na to zareaguje. "Panie ja będę niósł" i dla zadokumentowania swojej siły zarzucił sobie beczkę z masłem jak piórko. Po wysunięciu szpicy stanąłem na czele grupy, powierzając "Wiktorowi" zabezpieczenie tyłów i przydzielając mu jednego człowieka. Miałem przed sobą dwadzieścia kilometrów drogi, z dużym obciążeniem i jedynie godzinę gwarantowanego spokoju, bo po godzinie poleciłem ludziom paraliżującym działalność posterunku – wycofanie się. Droga była ciężka, gdyż szliśmy polami, ciemno i do tego z ciężarem. Po półtoiej godzinie ludzie byli wypompowani. Zarządziem postój, a sam dobierając trzech ludzi poszedłem pod zabudowaia szukając podwody. Szczęście mi dopisywało, bo w pierwszej zagrodzie, w obejściu natknąłem się na wóz, co znaczyło, że skoro jest wóz, to i koń być musi.

Po zbudzeniu chłopca i wyklarowaniu mu sprawy o co chodzi, chłop nie tylko z ochotą i szybko się ubrał, ale powiedział "z wami to nawet na koniec swiata pójdę". Zostawiłem człowieka, który miał doprowadzić podwodę, a sam poszedłem do grupy i kazałem naszym "bagażowym" wrócić się do domów, przykazując im nie informowanie po drodze nikogo i zabraniając wskazania kierunku, w którym udaliśmy się. Podwodą tą dojechalismy do punktu, gdzie oczekiwała nas furmanka. Tam przeładowaliśmy zdobyte towary i odesłaliśmy je na punkt. My natomiast maszerowaliśmy drogą. Światało. Mijaliśmy baby z mlekiem które robiły bardzo zdziwione miny. Matka – nie dziwcie się, to nie wieci że polska powstała – pokrzykiwali moi chłopcy.

strona

Pewnego lipcowego popołudnia w roku 1943 przyszedł do mnie Kierownik Oporu Społecznego "Socha" i polecił mi ażebym zorientował się w możliwościach uziemienia znanego polakożercy generalnego gubernatora Hansa Franka, który za siedzibę swoją obrał Zamek Wawelski. Orientowałem się, że dokonanie zamachu na Franka jest bardzo trudne i skomplikowane. Znałem doskonale jego opancerzony samochód, oraz niejednokrotnie widziałem w jakiej asyście jeździł pan gubernator. Zaawyczaj wyglądało to tak, że najpierw jeden lub dwóch ludzi na motore z jego osobistej ochrony, potem odkryty samochód w którym siedziało sześciu gestapowców uzbrojonych w broń maszynową. Za tą ekipą opancerzony Horch, w którym jechał Frank w asyście przynajmniej dwóch stróży. Orszak ten ubezpieczało dwóch lub trzech ludzi na motorach. Jazdy takie były nieregularne, odbywały się na krótkich odcinkach, tak że nie można było opracować żadnego kontreknego planu. Ukrywając się przy ulicy Bernardyńskiej Nr. 9 wpadła mi w oko kamienica stojąca przy ul. Bernardyńskiej Nr. 11 na rogu Bernardyńskiej i Smoczej. Kamienica ta od strony Wawelu ma małą wieżyczkę z okienkami wychodzącymi na Zamek. Z wieżyczki tej powinien być szeroki widok na Wawel. Trzeba by zaobserwować z tego okienka Zamek a może przyniesie jakieś rezultaty. Zameldowałem o tym "Sosze" oraz prosiłem go ażeby polecił jednemu z naszych ludzi z konspiracji który w tym czasie był komendantem ochrony p. lotniczej bloku, do którego ta kamienica należała. Ażeby poszedł ze mną spenetrować ten strych. Pewnego dnia "Edzi", "Zbych" i ja w towarzystwie dozorca znaleźliśmy się na intrygującym strychu. Wspiąłem się do okienka wieżyczki, z którego roztaczał się widok na dziedziniec – przedpola siedziby budynku w którym zamieszkiwał Buller i mieściła się kancelaria administracji Gneralnego Gubernatorstwa. Dałem umówiony znak "Zbychowi" który wiedział że moje kiwnięcie oznacza, że trzeba zrobić odbitkę klucza od strychu. Chcąc ułatwić mu to zadanie zacząłem bajerować dozorcę, odcinając go od drzwi. W ten sposób zdobyliśmy odcisk klucza, a jego wykonanie nie przedstawiało już żadnej trudności. Bez przeszkód mogłem zlecić obserwację. Po trzech tygodniach obserwacji i otrzymanywanych z niej meldunków ustaliłem, że Frank bardzo często w godzinach między 10-tą a 11-tą wychodzi z budynku administracji i przed nim odbiera raport. Ponieważ linia powietrzna od wieżyczki / punktu obserwacji / do budynku na Wawelu nie wynosiła jak 150 metrów, przeto całkiem śmiało za pomocą dobrego strzelca można było go sprzątnąć z k.b.k. Względnie chcąc mieć zupełnie pewny strzał ze sztucera. Zameldowałem o tym "Sosze". Po paru nastu dniach zostałem wezwany przez "Sochę" na posiedzenie przedstawicieli Stronnictw Politycznych, gdzie przedstawiłem szczegółowo opracowany plan, oraz podjąłem się wykonania. Jednak rozkazu wykonania nie otrzymałem, a to z tego względu że rozważywszy na tym posiedzeniu wszystkie za i przeciw, oraz biorąc po uwagę represje jakie Niemcy zastosują wobec ludności polskiej przedstawiciele Stronnictw Politycznych doszli do przekonania, że nie można narażać tyle żyć ludzkich za zgładzenie jednego zbira. Że to się nie opłaca. Przecież na jego miejsce przyjdzie inny łotr, który dalej będzie sprawował funkcję generalnego gubernatora, na t..... istniej ludzkich, które zostałyby zniszczone w czasie akcji pacyfikacyjnej w odwet za uśmiercenie ciemiężcy tak wysokiego urzędnika III Rzeszy jakim był urząd gubernatora nikt nie mógłby zwrócić. Decyzja przedstawicieli Stronnictw nie mogła być inna, nie mogła dopuścić do dnia możliwości Niemcom zdziętkowania mieszkańców Krakowa.

Strona



Wrzesień 1943 roku, jesteśmy w ..... w okolicach Boronowa na kolejnym etapie, gdzie ma się odbyć kurs dywersyjny. Po zoapoznaniu się w dniu dzisiejszym z kursistami nocujemy razem z "Wiktorem" w stodole, która w tym czasie jest pełna snopów i siana. Ludzie rozeszli się do domów, bo wszyscy są miejscowi. Korzystając ze słicznego wieczoru do późna w nocy siedzieliśmy ściągnę papierosy i wspominając dotychczasowe nasze przeżycia, nasze przygody dane w czasie pracy konspiracyjnej. Około godziny pierwszej w nocy wspinaliśmy się na stertę siana gdzie natychmiast zasnęliśmy. Pomimo tego, że byliśmy młodzi po trudach dnia codziennego wydawałoby się że będziemy spać kamiennym snem, a mimo wszystko spaliliśmy czujnie. Około godziny drugiej w nocy budziłem się, wydawało mi się że słyszę strzały. Spytałem "Wiktora" śpisz?. Odpowiedział. Nie słyszałeś strzał?. Przez sen coś mi się zdawało – mówi. Będąc już zupełnie rozbudzony posłyszałem kilka kolejnych strzałów. Natychmiast wciągnęliśmy spodnie. Posłyszeliśmy skrzyp otwieranych wrot stodoły. Z klepiska dobiegł głos gospodarza – Panowie. Panowie, co jest – spytałem. Policja niemiecka przyjechała dwoma autami i przeprowadzają rewizje we wsi. Szukają po chałupach, przetsasają stodoły . Zaraz schodzimy – odpowiedziałem. Jak szybko można było się poruszać w ciemnościach ażeby nie zlecieć z góry na pysk stanęliśmy na klepisku. Był to pierwszy dzień mojego pobytu na tej wsi. Zupełnie nie orientowałem się w terenie. Gdzie tu się można zamelinować?. Gospodarz prowadził nas na dwór i wskazał odległe kopy siana widniejące w blasku księżyca. Dobra – my idziemy w pola, jak szkopy przestaną urzędować i odjadą – dajcie nam znać. Poszliśmy z "Wiktorem" pod te kopy siana, lecz chowaliśmy się do nich. Uważałem to za bezcelowe, ponieważ ze wsi dochodzą odgłosy ujadania psów, co świadczyło, że Niemcy przyjechali z psami. Przesiedzieliśmy tam do rana. Rano przyszedł po nas chłop mówiąc, że Niemcy ze wsi już odjechali aresztując parę osób. Między innymi aresztowali jednego z kursantów, który od dłuższego czasu był poszukiwany przez Gestapo jako działacz Stronnictwa Ludowego. Zastanawiałem się co wobec tego zrobić. Ostrożność nakazywała mi natychmiastowe przerwanie wykładów wdanej miejscowości i wyjechanie stamtąd. Natomiast zapał do pracy budził chęć przeprowadzenia kursu. Po porozumieniu się z miejscowym przedstawicielem władz terenowych i zasięgnięciu opinii o aresztowanym przez Niemców bojowcu o którym dano opinię że można być zupełnie pewnym, że nie załamie się i nie sypnie – postanowiłem rozpocząć wykłady. Na drugi dzień przyszła tragiczna wiadomość. Bojowiec, którego aresztowano nie żyje. Poległ po bohatersku przed wejściem w baranowie na posterunek w następujących okolicznościach, aresztując go Niemcy zakuli go w kajdanki automatyczne / amerykański / wychodząc z auta uderzył w łeb gestapowca z tak wielką siłą, że zabił go na miejscu. Naturalnie sam ponosząc natychmiastową śmierć przeszyty serią z automatu. Bohaterska śmierć ta świadczy o zdecydowanej postawie jaką mieli niektórzy ludzie w walce z najeźdźcą. Świadczy o bezprzykładowym męstwie i pełni świadomości, że prowadząc walkę z okupantem – prowadziliśmy ją na śmierć i życie, zdecydowani na wszystko i świadomi że dla nas pardonu nie ma. Zdawali sobie sprawę, że będąc w rękach Gestapo szybka śmierć jest wyawoleniem, wyawoleniem przed torturami i męką, pewnością zachowania tajemnicy. Kurs przeprowadziliśmy. Wyjeżdżaliśmy podubudowani przykładem bohaterskiej śmierci prostego chłopca, cichego bohatera.

strona

Para przegniętych koni do ciężkiego plutonu moknie na jesiennym deszczu, przy ulicy Bernardyńskiej. Platon ten na dzisiejszą akcję został wypożyczony od właściciela piekarni z ul. Kołetek Nr. 19 – Gądka Władysława – żołnierza "Żelbetu". Na piętrze w bazie dywersji przy ulicy Bernardyńskiej 9 rozdzielałem funkcje. W dzisiejszej akcji prócz żołnierzy dywersji "Zbycha"

"Orszą" "Renem" "Królem" bierze udział na ochotnika "Orlik" – adiutant dowódcy "Żelbetu" i "Sęp" – dowódca piątej kompani z batalionu "Sarmata". Podporucznikowi "Sępowi" przydzielam bardzo ważną i zaszczytną funkcję. W dniu dzisiejszym będzie bawił się w woxnicę. Jest nawet odpowiedni ubrany – w obszernym płaszczu celtowym. "Orlik", "Zbych", "Król" ubezpieczać będą pluton, który jak wszystko dobrze pójdzie w drodze powrotnej będzie dla opanowania hurtowni spirytusu i wódki, bo właśnie w niej dziś chcemy przeprowadzić akcję. Idziemy. Na wszelki wypadek "Rena" i "Zygminta" stawiam przed wejściem przy ulicy Grzegórzeckiej 15. drugim wisiem od ulicy Daszyńskiego 10 wchodzę z "Orszą". Po steroryzowaniu pracowników i opanowaniu hurtowni, ściągam ludzi do środka. "Orsza" daje znak "Sępowi" ażeby podjechał. "Sęp" podzina konie i wjeżdża na niewielkie podwórko, lecz nie mając pojęcia o powożeniu końmi żelaznym zakończenie dyszla wpakował się w bok stojący parterowy domek. Cofając zaś zatrzymał się dopiero na ocembrowaniu studni. Naturalnie właścicielka domku / pani Nalepowa / nie czekał ażeby wjechał jej do mieszkania i podniesionym głosem zaczęła mu wymyślać. Zorientowała jednak się szybko, że ma doczynienia z furmanem nie z tej ziemi i wycofała się, nie robiąc z tego kwestii. Po tych manewrach wreszcie platon stanął pod magazynem. Szybko zaczęliśmy na niego ładować spirytus, bo ten był najcenniejszy. Po wyczerpaniu spirytusu, ładowaliśmy wódkę. W między czasie do hurtowni wchodzi stale klienci, których już się nie wypuszcza z powrotem. Między innymi wchodzi niewiasta, która na widok pistoletu dostaje ataku nerwowego i dopiero wymierzone jej silne dwa policzki przyprowadzają do równowagi i przestaje wrzeszczeć. Naładowaliśmy pluton czterema warstwami transporterów, to jest około 500 litrów spirytusu i 300 litrów wódki. Gumiane koła aż siadają od przeciążenia. Daję rozkaz odjazdu. Platon z ładunkiem ubezpieczony przez obstawę odjeżdża na powisie do naszej kryjówki, gdzie ma być zmagazynowany towar. Ja pozostaję na miejscu wraz z "Renem" i "Orszą". Trzymamy kocioł i w dalszym ciągu zbieramy przychodzących klientów. Po przeszło dwóch godzinach jest wreszcie łącznik na rowerze. Melduje, że wszystko w porządku, że platon został już rozładowany, a konie odesłane do stajni. Wtedy opuszczam hurtownię. W podobny sposób zostały przeprowadzone przez nas dwie akcje na hurtownię cukru przy ulicy Dajwór, gdzie w dwóch akcjach wzięliśmy przeszło 20 ton cukru. Cukier, poszedł do oddziałów partyzanckich, ażeby chłopcom w lesie osłodzić tak ciężkie życie. Spirytus rozsprzedaliśmy a wódka służyła do zalewania robaka nie tylko dywersji, ale całemu zgrupowaniu "Żelbet" w Krakowie.

Strona

49

### Nasz dzień jak codzień

Już z drzew spadły liście. Koniec października 1943 roku. Jesteśmy we frysztaku. znowu prowadzimy kurs dywersyjny. Mieszkamy u właściciela starego młyna na wiatrak, który widoczny jest na całą okolicę. Kursanci do chodzą codziennie na wykłady do nas, gdzie mieszkam razem z

"Wiktorem". Przez te parę dni zżyliśmy się z gospodarzami, bardzo dobrzy ludzie. Żal im jest nas, że tak stała się z miejscami na miejscu po terenie. Robili nam nawet propozycje ażeby zamieszkać u nich na stałe, to jest do czasu zakończenia wojny. Chętnie by człowiek z tego skorzystał na wsi, wypoczął nerwowo no i miał by większe szanse przeżycia tej francuskiej okupacji melinując się na wsi. Ale obowiązek nie pozwala, chęć działania, które coraz częściej nie normalnie bije. Nie jest to strach, lekarze twierdzą że jest to silna nerwica, przepisują Berelgal i zalecają spokojny żywot. Praca konspiracyjna na taki luksus jak spokój nie pozwala, żyjemy jak na wulkanie. Toteż nic dziwnego, że pomimo nadziewania się Berelgaem w akcji lub w silnym napięciu nerwowym czujemy, że mamy serce. Taki już pieski nasz los, co jakiś czas gdzie indziej, nowy teren, nowi ludzie, a obowiązki te same. Zazdrościmy często tym, co mogą żyć i pracować na miejscu. Na kursach spotykamy ludzi mniej i więcej bystrych. Są tacy co wlot pojmują i przyswajają sobie wiadomości i tacy, że trzeba tłuc im do łba ażeby zrozumieli, że cukier nie tylko jest do jedzenia ale zmieszany z chloranem potasu przy połączeniu z kwasem siarkowym wywołuje ogień.

Za zasadę przyjęliśmy z "Wiktorem", że tak długo kładziemy im do głów aż pojmą i zrozumieją. Chodzi nam przecież a to ażeby jak najwięcej ludzi wyszkolić i obznajmić z minerstwem, bo wtedy więcej pociągów będzie lecieć w powietrze, a przecież to jest naszym celem. Dziś dowiedzieliśmy się, że ubiegłego wieczoru kałmucy patrolujący linię kolejową zastrzelili kobietę z tej wsi w której mieszkamy, która parę minut po godzinie policyjnej przechodziła przez tor. Postanowiliśmy przeprowadzić na nich akcję odwetową. Jak na złość nie ma tu ani jednego automatu, ażeby można się po nich przejechać. Posiadamy tylko broń krótką. Któregoś wieczoru ja, "Wiktor" plus trzech ludzi z kursu wybraliśmy się zapolować na kałmuków, do miejsca wcześniej upatrzonego za dnia nie dalej jak dwadzieścia metrów od toru kolejowego, które zasłonięte było przez pagórek, co było osłoną przed rażeniem pociskami od strony toru doszliśmy bez przeszkód. Od tego miejsca około sześćdziesięciu metrów naprzód umieściłem na torach kolejowych latarkę, od której przewód przeciągnąłem jakieś czterdzieści metrów za nasyp. Tam ulokowałem jednego człowieka, którego poinstruowałem że ma świecić i gasić latarkę za pomocą zetknięcia i rozłączenia przewodów, aby tym sposobem zwabić patrolujący w ten odcinek toru kałmuków. Latarka służyła jako przynęta, bo nadejść mogli od stacji, czyli od strony z której my byliśmy przyczajenie w dołku. Polowanie na kałmuka z wabiem rozpoczęło się, co parę sekund błyskało światło latarki. Po dobrym kwadransie usłyszeliśmy stukot ciężkich paru par butów. Z chwilą gdy światło zgasło szybki stukot świadczył, że biegna. Błysk światła powstrzymał ich od marszu i zaczęli wołać "Hat, Halt", wtedy kursista nasz bardzo szybko błyskał światłem. Nie wytrzymali tego nerwowo i grupując się na naszej wysokości zaczęli pruć z automatów do światła. Było ich pięciu lub sześciu zgrupowanych vis a vis nas na torze. Wycelowaliśmy w nich swoje pistolety i na komendę strzeliliśmy parokrotnie. Strzały były skuteczne. Świadczyły o tym krzyki i przekleństwa, które słyhać było między wypuszczonymi seriami przez kałmuków bo strzelali gęsto i na oslep. Bez przeszkód wycofaliśmy się a operator wabien zabrał nawet latarkę, ściągając ją przewodem. W domu obliczyliśmy, że posłaliśmy 28 pocisków, w Belgu czernastostrzałowym brakowało 9 kul, w p-38 brak było 6, a w dwóch parabelkach brakowało 13 sztuk. Na drugi dzień popołudniu miejscowi ludzie przyniesli nam wiadomość, że kolejarze mówią, że tej nocy postrzelonych zostało 3-4 kałmuków/których odwieziono do szpitala. Od tego wieczory, w którym daliśmy nauczkę przystojniakom chodzili patrolując tory w dużych grupach około 15-17 ludzi a dla dodania sobie owagi wydzielali się, że słyhać ich było na całą okolicę. Termin ukończenia kursu zbliżał się. Na zakończenie zrobiliśmy skok na okoliczny Ligenszaft, który poszedł jak z płatka i akcja powiodła się. Zarekwirowalismy kilka koni wierzchowych, które w najbliższym czasie Niemcy mieli zabrać

do Rzeszowa, oraz sześć tuczników, które miały być odstawione na kontyngent, przekazałem to wszystko w ręce miejscowego Komendanta Batalionów Chłopskich, co powiększyło tamtejszy fundusz konspiracyjny.

Strona

52

### Śmieć za śmierć

Z terenu Baranowa nowy rozkaz rzucił nas w okolice Mielca. Okolice te były terenem szczególnie nasilonej walki z okupantem. "Plugseuwerke", czyli zakłady lotnicze w Mielcu jak i doświadczalne zakłady V-1 w Dębciu koncentrowały wokół siebie zainteresowanie obu stron polskiej i hitlerowskiej. Teren między Dębicą i Mielcem był więc miejscem częstych wypadów partyzanckich, nękających zarówno siły zbrojne jak i administracyjne okupanta. W okolicach Przecławia prowadzimy szkolenie bojówek "Batalionów Chłopskich". Żołnierze Ci natychmiast po przeszkoleniu przystępują do akcji dywersyjnej. Jest wrzesień 1943 roku. Właśnie zakończyłem wykonać wraz z "Wiktorem" wyznaczone specjalnym rozkazem zadanie. Czy się uda?. Akcja miała być przeprowadzona w sercu Przecławia na rynku, przeciw Janowi Czaji – komendantowi przecławskiej policji granatowej. Został on skazany na karę śmierci. W całej okolicy było głośno, że Czaja udał się pewnego dnia w towarzystwie policjanta granatowego i zardarma niemieckiego do zagrody poszukiwanego przez Niemców działacza Stronnictwa Ludowego. W chwili przekroczenia obojścia przez policjantów poszukiwany wyskoczył oknem, chcąc ratować się ucieczką. Wówczas Niemiec polecił strzelać z karabinu, asystującemu policjantowi granatowemu. Policjant oddał trzy strzały za uciekającym, nie trafiając go. Uciekający miał szansę uratowania się. Lecz komendant posterunku Jan Czaja wyrwał policjantowi z ręki karabin i strzelił do uciekającego. Strzał był celny. Niemcy nagrodzili Czaję awansem a okręgowy cywilny Sąd Polski Podziemnej skazał go na karę śmierci. Wyroku dotychczas nie wykonano, bo żaden z miejscowych ludzi nie mógł tego zrobić, bo by się zdekonspirował. Dlatego mnie polecono to zadanie. Likwidację miałem przeprowadzić z "Wiktorem" dobierając sobie jednego ze świeżo wyszkolonych bojowców z odległej miejscowości i jednego z miejscowych ludzi jako przewodnika. Z rozpoznania wynikało, że prawie co dziennie około godziny 17-tej Czaja kręci się po rynku. Martwił mnie tylko mój pistolet. Jego pokaźne rozmiary i system kwalifikował go raczej do muzeum. Steyer z roku 1915 od góry ładowany, w dodatku nie miał odpowiedniej amunicji, tak że nigdy nie wiadomo było, czy wystrzeli dwukrotnie, bez zacięcia się. Nazajutrz około godz. 14-tej udaliśmy się do oddalonego o jakieś 10 kilometrów Przecławia. Szliśmy przez pola budząc zainteresowanie wykopujących ziemniaki ludzi. Pod miastem wysunąłem się naprzód z przechodzącym chłosem bojowy kursantem. Mijając stojących grupkami na rynku miejscowych chłopów i przechodniów zwracaliśmy ogólną uwagę jako obcy. "Wiktor" szedł w pewnej odległości za nami. Po blisko dwóch godzinach niebezpiecznego platania się po rynku przewodnik nasz dowiedział się, że Komendant posterunku w towarzystwie policjanta wyjechał na wieś na rowerze. Udaliśmy się we wskazanym kierunku. Przyspieszonym, lecz spokojnym krokiem minęliśmy bielejący po lewej stronie drogi budynek policji. "Wiktor" szedł pierwszy, my w odległości kilkunastu metrów za nim. Wyjąłem pistolet, na którym zawiesiłem kapelusz. Tak z bronią gotową do strzału odeszliśmy około 700 metrów od posterunku, gdy "Wiktor" cofając rękę w tył dał umówiony znak. Istotnie, z dala zbliżają się dwie sylwetki na rowerach. Odległość między nami a

nadjeżdżającymi zmniejsza się. Nerwy napięte drgają. Mineli już "Wiktora". Na podstawie rysopisu i dynstynkcji rozpoznają, że ten z mojej lewej – to Czaja. Wydaje rozkaz. Tego z prawej zatrzymaj i sterroryzuj. Czaję biorę na cel. "Wiktor" wraca w naszym kierunku. Czaja wpadł w pułapkę. Teraz już nie może się wycofać. Musi zginąć. Odległość między rowerzystami a mną stała się mniejsza. Komendant i towarzyszący mu policjant są już w odległości około metrów odemnie. Zrzucam z pistolety kapelusz . Ręce do góry, stać !. Czaja jedzie wprost na mnie sięgając do kabury. Uskakuję z pod koła roweru. Strzelam dwukrotnie. Skutek natychmiastowy. Komendant zwała się z roweru na szosę. Obracam się błyskawicznie, bo z moim drugim strzałem zbiegł się inny straż. Widzę, że drugi granatowy klęczy na szosie z rękami podniesionymi do góry a świeżo upieczonemu dywersantowi drży ręka z dymiącym pistoletem. Podbijając mu drżącą rękę i następny strzał idzie w powietrze. "Darujcie życie" – prosi klęczący granatowy drżąc ze strachu – "ja nie winien". Zalega cisza, scyzorykiem wyjmuję łuskę z zciętego steyera. Dobrze że choć dwa razy wystrzelił. "Nic ci nie będzie" mówię do granatowego, który ponowił błagania o życie. Zabieram dwa zdobyte rowery, w uchwytach na nich tkwią karabiny. nowicjusz podaje mi zrzucony kapelusz. Uwijamy się szybko, przecież do posterunku nie dalej jak metrów. Szosa przelotowa. W każdej chwili możemy być zaskoczeni przez Niemców, którzy często przejeżdżają tą drogą. Parę słów przestrogi dla granatowego i odwrót . "Wiktor" sida na rower. Na drugim rowerze wiezie mnie na ramie mój chrześniak. Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów, następuje nerwowe odprężenie. Pociąg strzelał – pytam kolegę. Pistolet sam wypalił – odpowiada mi. W przyszłości panuj nad bronią a tym czasem ciąć ciąć bo od posterunku wciąż niedaleko. Mimo że w dwójkę na jednym rowerze, pedałowaliśmy ostro. Po pół godzinie zjechaliśmy po las, który rozciągał się po prawej stronie szosy. Zapadał zmrok. Szkopy o zmroku w las nie pójda. Jesteśmy to bezpieczni. Nim jeszcze nie ukryci wśród krzewów i drzew – odpoczeliliśmy, na drodze pojawiło się auto z niemiecką żandarmerią. Siedzieliśmy cich na skraju lasu, obserwowaliśmy szosę, sami nie będąc widoczni. Po upływie około dziesięciu minut żandarmeri przejechali z powrotem. Manewr, ten powtórzyli dwa razy. Czy do rana będą tak defidowali – spytał "Wiktor". Nie czekaliśmy długo, nadjechali wkrótce poraz trzeci. Postanowiliśmy, że jak będą wracać – to ostrzelamy ich. Po pewnej chwili wracają. Ostrzelaliśmy ich . Odpowiedzieli ogniem z automatów – nie ztrzymując się jednak. Przewidywania nasze okazały się słuszne. Auto więcej nie pokazało się, las jak zwykle przygarnął polskich partyzantów. Ludność miejscowa na całym ternie. t.zn. Generalnego Gubernatorstwa nie bez przyczyny z odcieniem młodości i dumy mówiła "nasi chłocy z lasu".

strona

56 brak  
strona 57

### **Polowanie na rogacza**

=====

do nas, gdybyśmy choć trochę podnieśli głowy. Dobrych paręnaście minut minęło jak posłyszeliśmy obok szybkie kroki. "Wiktor" wychylił głowę i w odległości paru metrów zobaczył myśliwego. Chcąc niechcąc musieliśmy działać. Suchy trzask naciągnięcia zamku w automacie i okrzyk: Hunde Hoh – więcej zaskoczył myśliwego jak przed parunastu minutami zaskoczył nas jego strzał. Zdumiony podniósł ręce do góry, myśląc że strzelił do zaczarowanego bajkowego rogacza, który zamienił się w dwóch ludzi. Zastał rozbrojony. Wspaniały sztucer z jego ramienia

powędrował w ręce "Wiktora". Niemiec mówił dobrze po polsku. Okazało się, że jest Ślązakiem i urzędnikiem starostwa. Była bardzo głupia sytuacja. Nie wiedziałem jak z niej wybrnąć i co z nim zrobić. Przecież uziemić go nie miałem powodu, natomiast jak go puszczyć to może zaalarmować Gestapo i pretrząsając las mogą trafić na chałupę, gdzie odbywa się kurs. Pertraktacje o sztucer ułatwiły mi zadanie, a jego stwierdzenie nasunęło mi myśl jak go zahajkować. Widząc, że prócz karabinu mamy automat powiedział – panowie macie dobrze uzbrojony oddział, skoro ma jeden karabin i automat, więc przypuszczam, że odadacie mi mój sztucer. Podchwyciłem to natychmiast i zacząłem grać dowódcę oddziału. Dowiedział się, że na obstrzał rogacza przyszedła sam, że często poluje w tych lasach, tak czy tak miałem nad nim przewagę. Podyktowałem warunki. Sztucer oddam, lornetkę proszę zdjąć bo ją zabieram, rogacza zostawię na kolację dla oddziału, potem pójdzie ścieżką koło lasu nie zagłębiając się w niego. A kolega uprzedzi moich ludzi aby pana nie zatrzymywano. Na lesniczówce nie powie pan nic o tym co zaszło ani słowa, w przeciwnym razie ja do starostwa trafię i potrafię się zemścić. Oddział mój jest w drodze i jutro o świcie ruszamy dalej, tak że jutro może pan polować bez przeszkód. Targował się o lornetkę, motywując to tym, że skoro nikomu nic ma mówić, to co powie jeśli zapytają go, gdzie ma lornetkę.

Strona

58

### **Jak zginął zdrajca narodu b.plk. Władysław Gostyński**

---

Wyrok śmierci wydany przez Cywilny Sąd Specjalny przy okręgowym Kierownictwie Walki Podziemnej brzmiał mniej więcej tak : skazuje się byłego pułkownika Wojsk Polskich Władysława Gostyńskiego zamieszkałego w Krakowie przy ulicy Wąsowicza na karę śmierci za to , że podpisał listę V-Doutscha w roku 1940 przeszedł na współpracę z Gestapo, skutkiem czego zostało aresztowanych kilkunastu ukrywających się byłych oficerów Wojsk Polskich. Gostyński pracując na rzecz Gestapo sporządził listy patriotów polskich, którzy na skutek jego donieśień zostali aresztowani i rozstrzelani lub wysłani do obozów koncentracyjnych. Dopuścić się tym zdrady narodu polskiego pracując na rzecz okupanta. Gostyński został skazany, lecz wykonać wyrok nie było łatwo, przecierz pułkownik to nie naiwniak. Zdawał sobie z tego sprawę, że pomimo tego iż Polska okupowana a naród gnębiony, pomimo tego że Polska nie istnieje na nowoczesnych niemieckich mapach, ale wiedział że żyje w podziemiu. Nie wierzył w zwycięstwo narodu, lecz wiedział że naród walczy. Dlatego też pan pułkownik był bardzo ostrożny, nie otwierał nikomu drzwi swego mieszkania a osobiście był nam nie znany. Ostrożność jego, tchórzliwość i czujność wzmogła się po otrzymaniu pisemnego wyroku śmierci. Daremnie wyczekiwałem parę razy w mnęce jego bramy, bez rezultatu czailiśmy się na klatce schodowej pod strychem. Był dla nas nieuchwytny. Zaskoczyła mnie przeto wiadomość , którą otrzymałem 21 października 1943 roku, że Niemcy w odwet za uziemienie Gostyńskiego przeprowadzili publiczną egzekucję – rozstrzelując dziesięciu Polaków vis a vis boiska "Crakowi" przy ulicy Wąsowicza. Okazało się że jeden z patroli dywersyjnych dojrzał do osoby pana pułkownika, używając takiego podstępu: bojowcy wykorzystując znajomość z dzielnicowym policjantem granatowym, którego Gostyński znał osobiście postanowili pod drzwiami zdrajcy. Ten widząc, że dzwoni znany mu osobiście policjant otworzył drzwi. W tym momencie chłopcy odsunęli granatowego i wdarli się do mieszkania. Dwie kule patriotów polskich skończyły podły żywot pułkownika – zdrajcy – donosiela. I tu nastąpił tragiczny moment. W przedpokoju padły

strzały, cła kamienica została zaalarmowana, a zamieszkała przeważnie przez Niemców. Wykonawcy daremnie usiłowali wyjść z mieszkania. Zatrzaśnięty zamek był skomplikowany i nie znany im. W żaden sposób nie mogli go otworzyć. Mijały sekundy, które w tej tragicznej sytuacji wydawały się wiekiem. Pomimo czynionych wysiłków drzwi nie ustępowały – byli w potrzasku. Gospodyni zliwdowanego pułkownika przerażona weszła pod łóżko i żadne słowa ni groźby nie pomagały. Nie można jej było stamtąd wyciągnąć, by otworzyła zatrzaśnięty zamek. Chłopcy musieli uciec się do ostatecznego środka, wyrąbać zamek, ale siekiery w domu nie było. Do otworzenia tej drogi odwrotu posłużył tasak. Parenaście jego uderzeń zrobiło to, że wyrąbany zamek ustąpił. Naturalnie narobiło to wiele chałasu. Pomimo tego, padły strzały, które było słychać w całej tak akustycznej kamienicy, pomimo silnych uderzeń przy wyrąbywaniu zamka w drzwiach, żaden Niemiec z mieszkania nie wychylił głowy, nie byli odważni, z tego znaleźliśmy ich. Umieili się znęcać tylko nad bezbronnym człowiekiem i to tylko wtedy gdy byli w liczebnej przewadze. Dlatego też nasi bojowcy wycofali się bez przeszkód. Niemcy po bohatersku i świetnie się bawili jak mogli dowoli i bez ryzyka strzelać do ludzi bezbronych. Tak wylądali i postępowali Hanse, Helmuty i Kurty – będąc członkami S.S., Gestapa, Policji, a nawet Wermachtu po wodzą wielkiego furera z pod znaku hitlerowskiej sfastyki. Na drugi dzień Niemcy rozstrzelali dziesięciu Polaków w publicznej egzekucji. Tak, na to i tylko na to było ich stać.

Strona

60

### **Pobierał sto złotych za główkę póki nie został kopnięty w makówkę**

W mieszkaniu "Wiktora" w Bronowicach nastawiony budzik na godz. 5.00 wyrwał nas z głębokiego choć niespokojnego snu. Dopiero wczoraj wróciliśmy z terenu po akcji. Już w drodze zaplanowaliśmy i dziś mamy zamiar szkopom znać o naszej bytności w Krakowie, zmniejszając im stan zatrudnienia o jednego zbira. Myśl zaprzątnięta jest tym czy akcja się uda. Czy przeżyjemy dzień dzisiejszy. Przecież nigdy nic nie wiadomo. Przecierz jest już czwarty rok okupacji a my pracujemy na najbardziej niebezpiecznym wycinku pracy konspiracyjnej jakim jest dywersja i egzekutywa. Dzień dzisiejszy chcemy rozpocząć likwidacją Nowaka, który pracuje w więzieniu św. Michała jako strażnik. To on z pośród wielu podjął się roli kata. To n w kazni więzienia św. Michała zabija wskazanych przez Niemców ludzi strzałem w tył głowy, pobierając wynagrodzenie sto złotych od człowieka. Zdegenerowany morderca, chełpi się tym, drwiąc z wypowiedzianych ostatnich słów swych ofiar.

Przed nami droga daleka, bo z Bronowic musimy dostać się do Podgórze na ulice Wielicką, gdzie zamieszkuje ten degenerat. Na likwidację idziemy we dwóch. Sprawdzone pistolety. Na wszelki wypadek bierzemy po jajku do kieszeni. Robimy to niechętnie, bo granat obciąża i obciąża kieszeń, ale w myśl starego przysłowia lepiej dźwigać niż ścigać – wolimy być bezpieczni. Dochodząc do pętli tramwajowej rozstajemy się idąc pojedynczo. Robimy to ze względu na bezpieczeństwo, ponieważ w ten sposób idąc zaczepiony jeden z nas przez patrol niemiecką dawał drugiemu szansę decyzji obrony. W tramwaju przepelnionym przeżywamy dość humorystyczną scenę, gdyż jakś kobieta ma do mnie pretensję, że czymś ją ugniatam, nie wie żegnienie ją okazałych rozmiarów mój pistolet. Pod pocztą przesiadamy. Zaczepiony zostaję przez patrol niemiecką, ale szczęście tylko legitymują. Nie trwa to zbyt .....brak tekstu.....

która świadczy w pewnym względzie o lojalności wobec władz generalnego gubernatorstwa. Dalszą drogę przebywamy bez przeszkód. Za to na miejscu zostajemy zaszokowani. Okazało się że któryś z patroli dywersyjnych uprzedził nas o 10 minut i wykonał wyrok na tym kacie. Pomimo szybkiego wycofania się ledwo zdążyliśmy ująć cało przed nadjeżdżającą niemiecką policją. W represji za to Niemcy rostrzelali 10-ciu więźniów przywiezionych z Monetelupich. Rozstrzelano ich vis a vis miejsca zamieszkania tego sługusa niemieckiego pod Krzemionkami. Miejsce to upamiętnione jest pomnikiem, a wmurowana w nim tablica, której napis głosi, że 20.XI.1943 roku zginęło 10-ciu ludzi polaków ponosząc męczeńską śmierć z reki hitlerowskiego okupanta jest jeszcze jednym dowodem jeszcze jedną pamiątkę bohaterskiej walki, którą prowadził naród polski z najeźcą, chcąc zrzucić z siebie jarzmo hitlerowskie.

Strona

62

### Po nieudanej akcji Bachuschutz pociechą

Druga połowa grudnia. Zima roku 1943. Okres bardzo ciężkich walk na froncie wschodnim. Za parę dni Święta Bożego Narodzenia. Jedziemy w przeładowanym pociągu z Przemyśla, gdzie po nieudanej akcji Winner Kaffe, cieszymy się że wynieśliśmy całe swoje głowy. Pociąg przeładowany jest do tego stopnia, że dosłownie stoimy na jednej nodze. W przedziałach Nur Fur Douchtze ne lepiej. Każdy Niemiec ucieka ze wschodniego frontu ile mu się tylko uda. Przodują w tym SS-mani, którzy za mordy bezludzkie i bezwzględne postępowanie na tamtych terenach otrzymali urlopy. W kawiarni Winer Kaffe, która była tylko dla Niemców mieliśmy przeprowadzić likwidację konfidentów, /kochana, Moderskiej, NN skryпка, który był tam zatrudniony. NN "Skrzypek" był na miejscu, ale chcąc mieć wszystkich w komplecie czekaliśmy na pozostałych. Było nas czterech – "Piorun", "Wiktor", "Orlik" i ja. Przez pewien czas siedzieliśmy jedząc zamówione dania. Wyczuliśmy jednak że jesteśmy obserwowani przez skryпка i mundurowego gestapowca. W pewnym momencie gestapowiec wyszedł do telefonu. Ogarnęło nas uczucie, że telefon ma związek z nami. Przecież Przemyśl – małe miasteczko i mogły się rzucić w oczy gęby czterech nieznanym ludzi. Zdecydowaliśmy natychmiast opuścić lokal. "Orlik" i "Piorun" wyszli pierwsi, nie zatrzymywani przez nikogo. Po zapłaceniu rachunku wstałem od stolika z "Wiktorem". Nie zdążyliśmy jednak opuścić sali kawiarni jak obserwowujący nas gestapowiec podszedł do nas i spytał mnie – Du bist jude? Nein – odpowiedziałem. Wówczas on powiedział ażebym zaczekał do sprawdzenia i sięgnął po broń. "Wiktor" nie czekał – strzelił do cofającego się szkopa. Po osiągnięciu drzwi sali odbezpieczyłem granat i rzuciłem na środek kawiarni. Uniknęliśmy dzięki niemu pościgu, choć wybóch granatu posłyszeliśmy dopiero zbiegając z drugiej kondygnacji schodów pierwszego piętra. Szybko lecz bez popłochu nie chcąc budzić podejrzeń i zwracać na siebie uwagi oddaliliśmy się wąskimi uliczkami Przemyśla od miejsca draki. Za chwilę byliśmy bezpieczni w sercu starego miasta w rynku. Do mieszkania, które było kontaktowym punktem konspiracyjnym weszliśmy przy zachowaniu jak największych środków ostrożności, uważając czy ktoś się za nami nie wlecze. Wysłałem natychmiast miejscowego człowieka na dworzec aby zorientował się czy gestapo nie obstawi stacji kolejowej, ponieważ postanowiłem ze względu na bezpieczeństwo wyjechać jak najszybciej z Przemyśla. Około godziny 20-tej zameldowano mi, że obserwacja dworca kolejowego, od chwili naszej dekonspiracji tj. od godz. 17-ej do tej pory nie zauważyła nic podejrzanego, dlatego postanowiłem wyjechać najbliższym pociągiem, który odchodził około 21-szej, wyszliśmy



gęsiego, w ten sposób jeden ubezpieczał drugiego. W kasie wykupiłem dwa bilety do Krakowa a dwa do Rzeszowa, bojąc się, że może gestapo dało polecenie, że gdyby ktoś wykupował cztery bilety ażeby kasier dał znać /do jednej miejscowości/. Jadąc w pociągu roztrząsaliśmy te wszystkie okoliczności. Jechaliśmy stojąc na przednim pomoście wagonu. Zmęczeni stanem nie zwracaliśmy uwagi na mijane stacje kolejowe. Na jednej otworzyły się drzwi i wszedł mundurowy Niemiec. Odrazu zaczął się rozbijać, rozdając na prawo i lewo kopniaki, chcąc w ten sposób utorować sobie drogę. "Wiktor" i "Orlik", którzy stali najbliżej drzwi byli najbardziej poszkodowani, bo na nich szwab uzewnętrzniał swoją energię i siłę. Pomimo dużego scisku wokół Niemca, który był w mundurze Banzuhtza zrobiło się trochę miejsca. Mimo to "nadludź" nie był zadowolony i dalej ferfluchtując Polaków rozdawał wspaniałomyślnie kopniaki. Pociąg był w biegu. Minęliśmy czerwone światła semaforów. Do wagonów wdarł się silny powiew powietrza, a z trzaskiem drzwi, które uderzały w bok wagonu zbiegł się stłumiony okrzyk. Jeszcze chwilę wiało. Na tle otwartych drzwi widać było sylwetki "Pioruna" i "Wiktora" jak zmagali się z drzwiami by je zamknąć. Po zatrzasknięciu drzwi nastąpiła grobowa cisza.

Zorientowałem się w sytuacji. Banzutz przy pomocy trzech rewolwerowców wyleciał przed docelową stacją nie unikając swego przeznaczenia. Chłopcy szpsząc żalowali że nie zabrali mu kopyta, ale chcieli go załatwić szybko i po cichu. Udało im się to w zupełności, niemniej najbliższe stojące osoby zorientowały się co się stało. Jeden pytał drugiego co ten szwab się tak uspokoił ?. Padały różne odpowiedzi – przesiadł się na licks torpede bo mu się spieszyło, odkomenderowany został na himel komando itp. Wobec takiej sytuacji postanowiłem na najbliższej stacji wysiąść z tego wagonu. Spytałem czy ktoś z państwa wysiada tutaj? Dowiedziałem się że wysiadają dopiero w Rzeszowie. Przy tej okazji dowiedziałem się, że dojeżdżamy do Przeworska. Wysiedliśmy w Przeworsku, z którego jechaliśmy na buforech do Rzeszowa. Dpoiero w Rzeszowie zdobyliśmy miejsce w innym wagonie. Do Krakowa przyjechaliśmy bez dalszych przygód, przeżywając jedynie wiele emocji, ale do nich byliśmy przyzwyczajeni z racji drogi jakąśmy obrali, a której imię brzmiało – wolność ojczyzny.

Strona

65

### **Jak Szkotom zabrałem 500.000 zł**

---

Lipiec rok 1944. wychodząca grupa dywersyjna 5-ciu ludzi jest uzbrojona w pistolety, ale cóż one znaczą w porównaniu z uzbrojeniem, jakie posiadają patrole szkopów. Przecież nasze pistoleciki nie mogą się równać z ich automatami. Poza tym Niemcy noszą broń na wierzchu, podczas gdy my w kieszeni, lub za paskiem od portek. Dobrze jest nam znany slogan "Kto pierwszy strzela ma więcej z życia". My dywersanci chcąc żyć musimy strzelać pierwsi, ale w ostateczności. Nerwowo musieliśmy wytrzymać każde zatrzymanie przez Niemców, a nawet przeprowadzenie rewizji osobistej. I póki reka rewidującego szkopa nie trafiła na pistolet, najmniejszym gestem nie wolno było nam się zdradzić. Walka była ciężka – ceną nasze życie. Sama akcja przedstawia się dość łatwo, lecz nie jest rozpracowana ze względu na brak czasu. Nie było czasu na zapoznanie się z terenem, bo wiadomość o możliwości zabrania Niemcom 500.000 złotych dostałem wczoraj wieczór. Dowiedziałem się, że sumę tą Niemcy zdeponowali w kasie "społem" przy ulicy Dietla. Wiadomość była pewna, bo pochodziła od kolegi z konspiracji "Harego", który był tam zatrudniony. Do tego dostałem parę skąpych informacji, że kasa mieści

się w oficynie na drugim piętrze, oraz że w instytucji tej pracuje około 100-tu osób. Postanowiłem zrobić skok zaraz o godz. 8-ej rano ażeby flota nie odpłynęła. Nazajutrz planowo, be przygód po drodze o godzinie 8.10 wszedłem do budynku dyrekcji "społem" wraz z "Orszą" i "**Pikiem**". "Zbychowi", który do pomocy miał "Zygmunta" i "Józka" zleciłem obstawę. "**Pika**" pozostawiłem na korytarzu, a sam z "Orszą" steroryzowaliśmy paru ludzi w pokoju kasowym, żądając wydania pięciuset tysięcy złotych. Spotkał nas zawód. Okazało się, że pieniądze o które mi chodzi są zamknięte w szafie pancерnej, a klucze od niej ma kasjerka, która do tej chwili nie przysłała do biura. Co gorsza nikt z pracowników nie umiał powiedzieć, nawet w przybliżeniu kiedy kasierka przyjdzie, bo wprost z domu miała iść do banku załatwiać służbowe sprawy. Po chwili zastanowienia podjąłem decyzję czekamy . Czekanie nawet w cukierni, przy kawie nie należy do przyjemności. Czekać na akcji, gdy ewsząd grozi niebezpieczeństwo – to koszmar. W dodatku, co chwila pawda ktos do pokoju kasowego, a my zmuszeni jesteśmy mu tłumaczyć ażeby sobie siadł, bo do czsu , gdy my jesteśmy nie może wyjść. Niektórzy uważają to za żarty. Dopiero pokazanie pistoletu przekonuje o prawdzie moich słów. Czekamy 40 minut, w pokoju mamy uwięzinych kilkanaście osób i stan ich stale się powiększa, na dobitek co chwilę niepokoją nas telefony, odbiera sie je uważając ażeby nikt się nie zorientował co się tu dzieje. Czekamy już 70 minut, ze stale wzrastającym napięciem nerwowym. Denerwują się nawet sami uwięzieni . Przecież to Polacy i zdają sobie sprawę kim jesteśmy i co nas czeka w razie wpadki. Dochodzi do tego, że niektóre niewiasty proszą mnie ażeby nie czekać i nie narażać się. Równocześnie klną, że kasjerka do tej chwili nie przychodzi z kluczami. Po 90-ciu minutach czekania ściągnąłem "Zbycha" i "Józka" z obstawy, bo byłem zmuszony zająć przyległe pokoje. Stan uwięzionych przekracza .... osób. Na dobitkę wchodzi cywil w asyscie schulpolicjanta. Otworzywszy drzwi zrobili bardzo głupiem miny., ale mój pistolet i wezwanie "hande hoch" zorientowało ich co się dzieje. Okazao się, że cywil – to komisarz "Społem", a policjant to jego kolega. "Orsza" odpiął policjantowi pas z kaburą, a rewidując cywila wyciągnął mu z kieszeni piędziesiąt tysięcy złotych. Ponieważ miałem informację, że Niemiec, który był komisarzem "Społem" zachowuje się lojalnie wobec Polaków, przeto po stwierdzeniu, że pieniądze są jego osobistą własnością poleciłem mu je zwrócić. Jesteśmy żołnierzami, tłumaczyłem zdumionemu Niemcowi, dlatego proszę schować pieniądze, ktore są pańską własnością. Mu tu przyszli po pieniądze niemieckie. Wszyscy zebrani spojrzaniem swym wyrazili pełne uznanie za przyjętą postawę. Po tym fakcie schutzpolicjant zwrócił się do mnie z prosibą ażeby oddać mu pistolet, ponieważ w przeciwnym razie Gestapo natychmiast go zamknie. Błagając mnie pokazał mi zdjęcie z żoną i dwojgiem dzieci, tłumacząc że do policji został powołany. W tym momencie wchodzi wyczekiwana kasjerka. Na żadną kobiecie nie czekałem godziny. Wszyscy zebrani odetchnęli. Zaczęli dopingować ażeby szybko otworzyła kasę, tak że w pierwszej chwili była zupełnie zdezorientowana co się dzieje. Teraz akcja odbywa się błyskawicznie. "Orsza" pakuje do teczki paczki banknotów a ja wystawiam pokwitowanie. "**Pik**" i "Zbych" wychodzą z pieniędzmi, a ja pozostaję z "Orszą" i "Józkiem" jeszcze około 10-ciu minut. W między czsie oddaję rozładowany pistolet Niemcowi przy głośnej aprobacji zebranych. Wychodząc ostrzegam, że w ciągu -ciu minut nie wolno robić alarmu i za wykonanie tego robię odpowiedzialnych dwóch szkopów. Do punktu zbornego docieramy bez przeszkód, gdzie z niecierpliwoscią łączniczka "Kozaczek" oczekiwała nas, ponieważ pieniądze miała odnieść do dowództwa. Wracając z punktu zbornego spotkałem rozbrojonego przed godziną schutzpolicjanta, z daleka bardzo grzecznie uklonił się nam salutując. Nie był to moje ostanie z nim z nim spotkanie. W dwa miesiące później wracając z akcji z " Orszą" , wysiedliśmy z tramwaju Nr. Na rogu ul. Stradom i Bernardyńskiej. Okolice Wawelu były często obstawione patrolami policyjnymi, był dzień, w którym prawdopodobnie

Himler był w Krakowie. Skręcając w ul. Bernardyńską zostaliśmy zaczepieni przez jeden z patroli, który zażądał od nas kenkarty. Wręczyliśmy żołnierzowi dokumenty, w tym podszedł znajomy podoficer ze "Społem", poznał nas i bez oglądania papierów wręczył je nam s powrotem mówiąc "gehst sie wo".

Odchodziliśmy bardzo ostrożnie, bojąc się podstępów, ale on, dla zadekumentowania swojej lojalności zawrócił w przeciwnym kierunku.

Strona

69

### Likwidacja garbarni w Dobzycach

Z cichym skrzypem kół, poskakując na wyboistej drodze – wjechaliśmy w las sierpowski koło Dobzyc dwa dobrze załadowane wozy. Obok wozów – jakby pilotując furmanów, szła romadka uzbrojonych ludzi. To dywersanci wracali z kolejnej awojej akcji na niemieckim zapleczu. Było to późną jesienią 1943 roku. Wieczorem – ze Świętyni órnych wyjechały w stronę Raby dwa drabiniaste wozy. Na jakieś 300 metrów przed mostem zatrzymały się. Furmani udawali, że coś poprawiają przy zaprzęgu, a tym czasem z krzaków okalających drogę wysunęło się 16-tu ludzi. Usiedli na wozach. Trzeba było przejechać przez most na Rabie. Na moście dwóch uzbrojonych strażników, dalszych dwóch stało na przyczółku mostowym. Według planu akcji, w wypadku gdyby wartownicy zaczepili przejeżdżające furmanki musieli zostać zlikwidowani. Punktualnie o godzinie 21-szej – dowódca akcji "Para" jeden z dowódców Oddziału Oporu Społecznego daje po cichu rozkaz. Gotowe. Jedziemy. Z głuchym dudnieniem kół wozy wjechały na most. Szesnastu oczu wlepiło się w wartowników. Wystarczy jesen podejrzanym ruch z ich strony. Wartownicy jednak zdziwieni i przestraszeni przylepili się do bariery mostu, robiąc nam miejsce. Również dwu następnych schodzi nam z drogi. Przyglądają się nam uważnie. W świetle księżycy widać nas wszystkich doskonale. Widać również, że jesteśmy uzbrojeni. Za chwilę most zostanie za nami. Tylko niedawne dudnienie kół po drewnianej nawierzchni dzwoni jeszcze w uszach. A tu po przejechaniu jakiegoś kilometra, jadąca przed nami furmanka zatrzymuje się. Na środku stoi człowiek z rowerem. Szybko rozpoznajemy. To jeden z naszych, który teraz będzie nas pilotował, że do garbarni w Dobzycach. Na jakieś około 300-ta metrów przed nami i razie spotkania nieprzyjaciela winien dać umówiony znak świetlny. Drog naszczęście pusta. Niemców ani na lekarstwo. Nawet samochodów nie ma. Widać nie nadarmo wzdłuż drogi stoją tablice z ostrzegającymi napisami "Achtung Banditen!". Podbiwszy Europę Niemcy boją się wiejskich dróg w Polsce boją się polskich nocny. W pewnej odległości od garbarni – furmanki zjeżdżają w polną drogę, gdzie mają czekać na dalsze rozkazy. Grupa 13-tu ludzi ma za zadanie cicho obstawić obiekt akcji. Dowódca "Para" wraz z dwoma pozostałymi idzie wprost do mieszkania kierownika garbarni po klucze. Ostre pukanie do drzwi, które się otwierają i po bardzo długich 20-tu minutach wychodzą razem z kierownikiem. Otwarcie drzwi do hali produkcyjnej garbarni i do magazynów jest kwestią kilku minut. Sygnał świetlny sprowadza pod bramę garbarni furmanki. Z obstawy przychodzi 6-ciu ludzi, którzy sprawnie ładują na wozy całe zwalę skóry twardej i miękkiej. Pozostali systematycznie i dokładnie niszczą urządzenia garbarni. Niektóre urządzenia – jak na przykład noże – idą na wozy. Po blisko 4-ch godzinach takiego dywersyjnego urzędowania i po wykonaniu rozkazu – dowódca daje rozkaz powrotu. Znowu pilot i szpica z trzech ludzi wysuwa się do przodu w charakterze strażnicy przedniej. Reszta ubezpiecza tyły i cenną zdobycz. Będą z nich buty, pasy i torby dla członków

Oddziałów Dywersyjnych. Woźnice ostro podcinają konie batami. Szybkość w wycofaniu się zdecyduje o całkowitym powodzeniu. Na szczęście księżyc zaszedł. W ciemnościach słychać tylko skrzyp kół, ciężko załadowanych wozów i szum niedalekiego lasu. Woźnice nie żałują koni, my swoich własnych nóg. Idziemy raźnie, bo mamy nie tylko zdobycz, ale i przeknanie, że minie parę dobrych tygodni zani garbarnia zacznie pracować dla okupanta. Wreszcie las. Można zwolnić tempo, można obetrzeć pot z czoła, zapalić papierosa. Po siedmiu godzinach akcji – las, gęsty, ciemny, przytulny, Polski las – to jednak dobra rzecz. Dał nam schronienie.

strona

72

### Zabawa w fryzjera

W roku 1943 po przeprowadzeniu kursu dywersyjnego na terenie Piasków Wielkich wolne jesienne wieczory wypełniałem sobie, oraz grupie bojowej Stronnictwa Pracy podstrzyżynami. Na terenie Swoszowic, Golskowic, Soboniewic by było wiele panien, które uważały że włączenie się z Niemcami nie uwłaszcza polce. Na tym terenie również był urzędnik z gminy Swoszczowice, który nie zachowywał godności polaka i dawał się we znaki ludności polskiej. W tym rejonie również zamieszkiwał Tomczyk, który był pracownikiem cegielni w Łagiewnikach i ze względu na jego szkodliwą działalność w czasie okupacji nazwisko jego wyieniłem. Ponieważ kierownik tamtejszego terenu reprezentujący Stronnictwo Pracy zwrócił się do mnie z prośbą ażebym chłstą, względnie strzyżeniem ukarał wyżej wymienionych – postanowiłem to wykonać. Zajęło to mi parę jesiennych wieczorów. Pamiętam, jak w Swoszowicach zamieszkiwała rodzina, gdzie ojciec wychodził do pracy, a matka puszczała się z niemcami i łaskawym okiem patrzyła jak intymne stosunki niemcy utrzymują z jej dwoma nieletnimi córkami. Pewnego wieczoru podeszliśmy po dom. Na ostre pukanie otworzył drzwi mąż ojciec wymienionych. Oświadczyłem mu że jestem z kierownictwa walki podziemnej i przyszedłem wymierzyć karę chłosty dwum jego córkom. Wprowadził mnie do pokoju, gdzie na jednym łóżku spały obie smarkule. Wejście naszej grupy wyrwało je ze snu. Błysk latarki elektrycznej i rozkaz – wyłazić z łóżka podział. Wyskoczyły jak na sprężynie. Zapalono lampę. Na srodek pokoju wystawiono stołek. Widząc małe dupiny zastosowałem ulgową taryfę – po piętnaście batów. Pomimo taryfy ulgowej nie wytrzymały i tego, bo już po piątym kiju sikały. Wtedy kazałem przerwać egzekucję i do dzieła przystąpił nadworny fryzjer "Moczarski". Po ostrzyżeniu i napomnieniu kazałem im wyjść do kuchni razem z ojcem, mówiąc ojcu że chciałem porozmawiać z jego żoną. Nic nie powiedziałem mu, że ona również otrzyma karę chłosty, bo nie chciałem psuć harmoni małżeńskiej. Z chwilą gdy zakomunikowałem jej, że otrzyma dwadzieścia pięć, tylko żeby zachowywała się cicho bo mąż jej nic nie wie o tym że ona dostaniem, prosiła ażeby pozwolić jej owinąć gowę pierzyną, bo będzie krzyczeć to nie będzie słychać. I rzeczywiście, pomimo moczenia nóg zaledwie z pod piezryny wydobywał się guchy harkot. Drugi etap, to niedleki domek, gdzie też mieszka jedna z wielbicielek wojsk okupacyjnych. Pukamy, otwierają nam natychmiast. Kłopot będzie z jej ostrzyżeniem, bo stanęła w koncie i mówi możecie mnie panowie zabić, ale ostrzyć się nie pozwolę. Nie miałem zamiaru szarpać się z nią i obewładniać jej, bo na ogół strzyżenie przebiegało spokojnie. Każda jedna wiedziała że jest winna i musi ponieść karę. Dlatego też zbliżyłem się do niej i użyłem takiego fortelu – mówiąc, że wolisz ażeby cię zabić? Tak odpowiada dziewczyna. Wówczas błyskawicznym ruchem wyrwałem z kabury pistolet. Nie zdążyłem, go podnieść na wysokość jej głowy jak krzyknęła – panie, dam się ostrzyć nie strzelaj. Strzyżenie więc odbyło się jak z płatka.

Następnym razem wielbicielka banszuca zamieszkała w domku do którego wejście prowadziło przez oszkloną werandę, podeszliśmy i znowu grzecznie pukamy. Na oszkloną werandę wchodzi sama winowajczyni. Na moje – proszę oteorzyć – rozgląda się naokoło i na werandzie krzyczy; Hans, choć tu, przyszedź mnie ostrzyć, strzelaj. Naturalnie natychmiast brkło szyb w werandzie, bo na ten okrzyk jak rozjuszone lwy wpadliśmy na werandę forsując drzwi. Okazało się że niemca ani śladu w domu. Przebiegła dziewczyna myślała, że okrzykiem tym wystraszy nas i zrezygnujemy z jej włosów. Lecz w tym mieszkaniu natrafilismy jeszcze na drugi opór. Zrządna jej siostra zerwała się z łóżka i oświadczyła nam, że nie pozwoli nam jej ostrzyć. Wtedy powiedziała jej, że nie tylko pozwoli, ale sama ją ostrzyże, za to że staje w jej obronie, w przeciwnym razie zostanie ukarana karą chłosty, . Bez sprzeciwu starsza siostra ostrzygła swoją pupilkę, ale ponieważ ostrzygła ją protekcyjnie, zostawiając zbyt długie włosy, znowu nasz fryzjer przystąpił do dzieła.

W tym czasie zostało ostrzyżonych wiele innych, lecz bez większych przygód i trudności. Również został ostrzyżony wspomniany urzędnik gminny i ukarany karą chłosty. Przygodę natomiast mieliśmy chcąc wymierzyć karę chłosty Tomczykowi. Podeszliśmy pod dom. Pukaliśmy. Daremnie. Z chwilą kiedyśmy zaczęli forsować drzwi, przez odsłonięte dachówki na dachu ukazała się jego głowa i rozpaczliwy krzyk przedarł powietrze: hilfe polica!, Hilfe polica!, lub Ratunku, Policja. Po niemiecku i po polsku wzywał przybycia policji. Nie zrażaliśmy się tym. Po około dziesięciu minutach drzwi zostały sforsowane. Poszliśmy do sieni. Ponieważ wiedziałem, że winowajca znajduje się na strychu, poleciłem ażeby "Dąb" sprowadził do na dół. "Dąb" wychodził po stromych schodach w górę. Oświetlałem mu drogę latarką, w lewej ręce trzymałem Waltera. Z chwilą gdy głowa "Dęba" zrównała się z wejściem na strych w świetle latarki zobaczyłem błysk unoszącej się siekiery. Natychmiast strzeliłem. Nie było czołu na ostrzeżenie "Dęba". Po strzale natychmiastowy krzyk. Okazało się, że cienie strzeliłem, postrzelając Tomczyka w udo, który chciał uderzyć siekiarą "Dęba" w głowę. Ponieważ był ranny zaniechałem kary chłosty, zrobiłem mu prowizoryczny opatrunek, poleciłem nazajutrz jechać do szpitala, oraz napomniałem, że jeżeli nie zmieni stosunku do ludzi i w dalszym ciągu będzie wykopywał ludzi z cegielni za drobne przewinienia na wyjazd do Rzeszy, przyjdziemy jeszcze raz. Strzyżenie nie raz w terenie miały swój oddźwięk i swoją wymowę. Najlepszym tego dowodem jest, że do kiedyś ostrzyżonej podjechałem w nocy ażeby ułatwić mi wejście do jej domu swojej koleżanki, która parę razy już unikęła strzyżenia bo nie było jej w domu. Ze względu tego że znalazłem się w tej okolicy jedynie w towarzystwie jednego człowieka, chciałem bez przeszkód dostać się do niej. Z chwilą gdy kiedyś strzyżona zobaczyła przez okno, że to ja poznała mnie i zaczęła płakać. Panie, po co pan tu przyszedł, przecież ja już od tego czasu z Niemcami nie chodzę, niech się pan zlituje, co pan odemnie chce. Dopiero jak wytłumaczyłem jej, o co chodzi otworzyła mi, chętnie się ubrała i powiedziawszy – no jej to się już dawno należy – ułatwiła mi otwarcie drzwi koleżanki. W tym czasie jak przeprowadzałem akcję na tym terenie do "Konrada" zwrócili się policjanci granatowi pełniący służbę w Prokocimiu, a którzy byli w konspiracji z prośbą ażebym podał hasło jakim mają się posługiwać z chwilą gdyby namnie natknęli się w nocy. Powiedziałem wówczas że do godziny 22-giej żadnemu nie wolno platać się poterenie, ca hasła nie będę podawał i nie będę zwazał czy to nasz czy nie bo nie chcę ryzykować swego życia i życia swoich ludzi.

### Uciecha dywersanta w kinie "Uciecha"

w lutym w 1944 roku członek Kadywu "Aga" zaproponował mi ażebym wziął udział w akcji w dniu ..... lutego, w którym to dniu miały być zniszczone aparaty do wyświetleń we wszystkich kinach Krakowa. Podjąłem się wówczas, że dzieła zniszczenia dokonam w operatorni kina "Uciecha" przy ulicy Starowiślanej. Akcja w tym kinie nie należała do łatwiejszych. Do operatorni bowiem wejście było trudne. Z podwórca kręte żelazne schodki ciągnęły się na wysokości półtora piętra. Poza tym w tym właśnie kinie ostatni seans kończył się najpóźniej co stworzyło dodatkowo niebezpieczeństwo. Ponieważ akcja była zaplanowana masowo i gestapo może się zorientować, że jest to akcja zorganizowana po wcześniejszych meldunkach z innych kończących program wcześniej może "Uciechę" ostawić. W "Uciesze" bowiem kończył się program o 30 minut później jak w pozostałych kinach. Godziną policyjną była godzina dwudziesta trzecia. Program w "Uciesze" kończył się o godzinie 22.30 i te trzydzieści minut mieliśmy do dyspozycji na przeprowadzenie akcji i dojście do domu. Nadszedł zaplanowany dzień akcji. Czym bliżej oznaczonej godziny wykonania tym bardziej wlekły się minuty wyczekiwania. Spacerując w pewnej odległości od kina od czsu do czasu rozcieraliśmy rece zeszytyniałe z zimna palce, które marzły na rekojeści pistoletu. Było zimno i bardzo dokuczał mroźny wiatr, nie mając litości. Tak, tak biednemu zawsze wiatr w oczy wieje – zacytował któryś. Było nas trzech młodych rewolwerowców, biednie i marnie odzianych, ale wielkich duchem. O godzinie 22.25 powoli starając się jak najciszej pieliliśmy się w górę po oblodzonych schodach. Na dobiek na drodze napotkaliśmy przeszkodę. Żelazną bramkę zamykającą dalszą część schodów. Była za wysoka ażeby się przez nią wspiąć. Przeszedłem za balustradę i wykonując ewolucję obszedłem ją. I tak minąłem tą niespodziewaną przeszkodę. W moje ślady poszedł "Aga". "Zbych" pozostał z drugiej strony bramki. Nie zdążył, a teraz nie mógł wykonać tej akrobacji, bo w podwórku z trzaskiem otworzyły się drzwi i ludzie zaczęli z kina wychodzić. Zaczekaj aż ci "Aga" otworzy – wydałem polecenie i szybko pokonując parę schodków dzielących mnie od drzwi operatorni, pomału naciskam ustępującą klamkę. Czy drzwi są zamknięte? Nie. Tu się nas nie spodziewano. Pchnięcie drzwi i skok na środek po cichu lecz groźnym "Ręce do góry" zrobiło swoje. Troje ludzi będących operatorami zostało steroryzowanych, dwóch ustawiłem po ścianą, a trzeciemu kazałem wskazać, gdzie znajduje się klucz od bramki. Wydał żądany kluczyk. "Aga" otworzył bramkę torując drogę "Zbychowi", teraz akcja odbywa się błyskawicznie. Wykręcanie obiektywu, uszkodzenie aparatury i żmudne wymontowanie adapteru Palart, którego żal mi było zostawić. Jeden z tamtejszych ludzi podpowiada mi, gdzie trzeba młotem uderzyć ażeby niszczenie było doszczętne. Akcja została wykonana. Pomimo tego, że staraliśmy się zejść jak najszybciej, głuchodudniły żelazne schodki po naszych ciężkich butami. Klucz wszystkiego to było, że na drugi dzień "Zbych" który był zatrudniony w niemieckiej firmie "Symos" dostał polecenie ażeby we wszystkich kinach krakowskich założyć instalacje alarmowe. I tak "Zbych", który był z nami na akcji w parę ni później z ramienia "Symonsa" nadzorował montaż dzwonek alarmowych. Bardzo często po tym człowieku, który podpowiadał mi jak mam dokonać dzieła zniszczenia spotykałem na ulicy. Poznawał mnie, kłaniał się, lecz nigdy do mnie nie podszedł. Dopiero po wyzwoleniu w roku 1945 podszedł do mnie i przedstawił się. Jest to jeden z seniorów operatorów kinowych – obywatel Czech. Po wojnie powiedział mi, że mieliśmy wówczas bardzo szczęścia, bo z chwilą, gdyśmy

schodzili z operatorni gestapo już było w biurze kina, lecz w biurze nic nie wiedzieli że w operatorni akcja trwa.

Strona

79

### Polska rodzina karze zdrajców

Jesienią na Grabi u wody Wisły wyrzuciły zwłoki człowieka. Oględziny i protokół policyjny stwierdzał, że człowiek ten po uprzednim zastrzeleniu został wrzucony do wody. W tym mniej więcej czasie w Dzienniku Polskim, który wówczas wychodził konspiracyjnie w /krakowie w rubryce "zlikwidowani zdrajcy i konfidenci Gestapo" między innymi figurowało nazwisko Chlipała

Stefan. Nieliczna grupa ludzi była zorientowana, że wyłowione zwłoki mężczyzny z nurtów Wisły i wzmianka o zlikwidowaniu Chlipały w piśmie konspiracyjnym mają ze sobą ścisły związek. Był to trzeci rok okupacji. Niemcy chcąc zupełnie wyniszczyć naród polski niszczyli go również biologicznie, ograniczając do minimum przydziały mięsa, tłuszczu dla ludności polskiej, równocześnie zabraniając handlu mięsem i tajnego uboju pod karą śmierci. Przez cały czas okupacji w Piaskach Wielkich, która to wieś graniczyła z Krakowem tamtejsi mieszkańcy prowadzili ubój bydła i nieograniczony na wielką skalę handel mięsem. Bezwzględni, że głównym motywem i bodźcem do takiego handlu były zarobki, ale przecież ryzykowali życiem i nie rzadko nim płacili. Trzeba przyznać, że dostawiając pokryjomu mięso do Getta ryzykowali bardzo. Prowadząc handel na taką wielką skalę uprawiali dywersję gospodarczą przeciwko okupantowi, dostarczając na czarny rynek tak bardzo poszukiwanych artykułów jak mięso i tłuszcze, w które zaopatrzyć się mogła ludność miasta. Stosując to nowe fortele i pomysły dostarczano nieraz do Getta po parę sztuk bydła naraz. Piaszczanie zakupowali bydło w okolicznych powiatach i nocami gnali dosyć duże stada, bo około 40-stu sztuk na jedno miejsce uboju do Piasków Wielkich. Tak było też i z tym razem jesienią 1943 roku. Zakupione bydło w okolicach Dąbrowy Tarnowskiej w liczbie 32 sztuki gnało nocą 17-tu oiaszczan. Nastrój był dobry. Byli już na Wałach Wislanych w Niepołomicach. Do Piasków niedaleko. Zapowiadało się, że i ta wyprawa się uda. Nagle na Wałach

Wislanych zostali ostrzelani z pistoletów automatycznych. Zupełnie nie spodziewanie, bez żadnego ostrzeżenia, czy wezwania do zatrzymania się. Kule raziły ludzi i bydło. Ludzie rzucili się do ucieczki. Tych pięciu, którzy skoczyli do Wisły zostało uratowanych, bo przepłynęli wpław korzystając z ciemności nocy. Dwóch z nich ; Czort Józef, Wajda Adam zostali zastrzeleni na miejscu. Z dziesięciu pozostałych, trzech Niemcy zastrzelili, a siedmiu wysłali do obozu koncentracyjnego. Poranione bydło zostało zabrane przez okupanta. W dwa tygodnie potem leżące zwłoki nad brzegiem Wisły świadczyły o tym, że Polska podziemna karze donosicieli i zdrajców. Zdradził i wydał okupantowi tych ludzi, między którymi znajdował się jego rodzony brat. Poniósł zasłużoną karę. Z wysłanych siedmiu ludzi do obozu koncentracyjnego żaden nie powrócił.

Poniżej zamieszczam fotokopię obwieszczenia w piśmie konspiracyjnym o wykonaniu wyroku. Dziennik Polski z dnia ..... Nr. .... .

### Aresztowanie "Wiktora"

W kwietniu 1944 roku Wiktor Cierniak, którego czytelnik znał z poprzednich moich wspomnień i akcji, członek egzekutywy Oporu Społecznego wysępujący w konspiracji pod pseudonimem "Wiktor" został wysłany przez kierownictwo Walki Cywilnej do Warszawy, ażeby zawiózł ważne dokumenty konspiracyjne. Wybór padł na niego, albowiem on był w tym czasie jednym z nielicznej grupy naszej, który posiadał prawdziwe papiery pracując w tym czasie na kolei – P.K.P. Kraków. Mundur kolejarza, prawdziwe dokumenty w pewnym procencie zapewniały bezpieczeństwo w podróży. Przecież był to rok 1944 i Gestapo bardzo często przeprowadzając ścisłe kontrole na linii Kraków-Warszawa miało rutynę w rozpoznawaniu "lewych" dokumentów. Bibuły konspiracyjne było sporo i w żadnym wypadku nie mogła wpaść w ręce nieprzyjaciela. Zdawał sobie z tego sprawę "Wiktor", który był starym konspiratorem i niejednokrotnie już jeździł, ze znacznie niebezpieczniejszym ładunkiem. Pomimo wszystkich tych niebezpieczeństw nie niepokoliliśmy się o niego, bo nie była to pierwsza jego podróż i nikt się z nas nie spodziewał, że człowiek ten, co miał na swym koncie tyle poważnych i niebezpiecznych a szczęśliwie przeprowadzonych akcji wpadnie przy takim głupstwie. Dlatego też wiadomość, że "Wiktor" został aresztowany zaszokowało nas. W pierwszej chwili przekonani byliśmy, że wpadł razem z "bibułą", dopiero później z relacji "Wiktora", któremu z więzienia Montelupich udało się przesłać gryps z początkiem czerwca tegoż roku, dowiedzieliśmy się wszystkiego. Relacja "Wiktora". Powierzone mi papiery zaszyłem w jasiak, który w wagonie wyjąłem drzemiąc na nim. W pociągu było duszno, jechaliśmy przy otwartym oknie. Za Częstochową zostałem wyrwany ze snu, w przedziale dwóch gestapowców, dwóch banschutz policjantów na korytarzu. Gestapowcy w przedziale przeprowadzali rewizję. Z chwilą, gdy gestapowiec sięgnął po mój jasiak, wyrzuciłem go oknem z biegnącego pociągu, za co dostałem po mordzie. Naturalnie z miejsca założono mi manele i odprowadzono do przedziału służbowego. W radomiu wysiedli ze mną. Przez tydzień siedziałem w radomiu. A oni bezskutecznie poszukiwali wyrzuconego przezemnie jaśka. Przesyłki nie znaleźli, a ja w tej chwili jestem na Montelupich. W późniejszej korespondencji jaką nawiązałem z nim dowiedziałem się, że pracuje w zakładzie *rololów* jako malarz. Doprowadzany do roboty jest po eskortą dwóch wartowników. Wtedy powstała u mnie myśl możliwości odbicia go. Jednak pomysł spalił na panewce, ponieważ przestano wyprowadzać do na roboty, jak również został ..... przerwany z nim wszelki kontakt. Najprawdopodobniej rozstrzelany został w forcie w Krzesławicach, gdzie niejednen z patriotów polskich w tym czasie stracił tam życie. Pozostała po nim świetlana pamięć bojowca, który niczym złożył swe życie na outarzu, jakim jest wolność ojczyzny dał przykład walki, przeszkolił kadry zaprawiając je do boju. Cześć jego pamięci.

**Zamiast do Berlina 10.000 dolarów amerykańskich przechodzi w ręce dywersji**



Przy ulicy Straszewskiego mieścił się Zarząd Niemiecki zrabowanego mienia pod nazwą "Trauchand Verwaltung". Policja niemiecka, obsługa więzień i obozów koncentracyjnych przekazywała tej instytucji obcą walutę znalezioną przy tych nieszczęśliwych, którzy wpadli w ich ręce. Naturalnie zostawały przekazywane znikome te ilości, co już zapobiegliwi gestapowcy i SS-owcy nie mogli schować do własnej kieszeni. Pieniądze te co pewien czas "Trauchand Verwaltung" przekazywał wprost do Berlina by zasilić skarbiec III-ciej Rzeszy. W instytucji tej zajmującej cały budynek pracowało 80-ciu Niemców zaufanych pracujących w mundurach NSDAP. Na dole bezpieczeństwa pracy stale strzegło trzech strażników z dywizji SS. Zarazna początku czerwca 1944 roku dowiedziałem się, że w kasie tej instytucji mieszczącej się na II-gim piętrze znajduje się około 10-ciu tysięcy dolarów amerykańskich, które w najbliższym czasie mają być przekazane do Berlina. Zastanawiałem się jak zdobyć te pieniądze. Sprawa jednak nie była prosta. Minęło zaledwie dwa dni od otrzymanej informacji jak w sobotę otrzymałem wiadomość, że szkoda mi cokolwiek planować, bo dolary w poniedziałek rano zostaną już odprowadzone do banku. Wprawdzie był już to piąty rok wojny. Konspiracja okrzepla i miała siłę bojową, ale z pieniędzmi w dalszym ciągu było krucho. Wdywersji miałem ludzi, którzy przeważnie byli zmuszeni do ukrywania się, bez możliwości jakiegokolwiek zarobkowania, stąd też były ciągle braki finansowe. A przecież wykonując tą najczarniejszą robotę i najbardziej niebezpieczną robotę jaką była dywersja i egzekutywa w sercu generalnego gubernatorstwa w Krakowie trzeba było być jako tako odzianym ażeby nie rzucić się zbytnio w oczy gestapu. Dlatego wiadomość, że tak wielka suma pieniędzy wymyka mi się z rąk zmartwiłamnie bardzo, bo planowałem z tych pieniędzy stworzyć fundusz dywersyjny. W sobotę więc po rozważeniu a "Sochą" i z tronem dywersji co by i jak to było, gdybyśmy mieli tyle forsy, postanowiłem podczas krótkiego czasu i braku ..... planu odebrać te pieniądze. Przeprowadzić akcję. Wierzyłem w powodzenie jej tak dalece, że rozstając się z "Sochą", w sobotę wieczór powiedziałem aby w niedzielę około godz. 10 -tej przeglądnać i przeliczyć dolary. Nazajutrz rano zebrało się siedmiu ..... dywersji w mieszkaniu przy ul. Bernardyńskiej Nr. 9 zdecydowanych na wszystko. Na chybicka ustalałem plan akcji. Opanowanie budynku wzięłem na siebie, biorąc do pomocy – "Orszę" i "rena". Ubezpieczał "Zbych" w asyście "Józka", "Zygmunta" i "Pika". Wychodząc około godziny 10-tej "Ren" pogwizdywał, "Płyn łódka moja". Rzeczywiście była śliczna słoneczna niedziela. Oczekiwałem na dogodny moment wejścia do iętego na cztery spusty budynku. Sąsiedztwo dyrekcji policji, która mieściła się dwie kamienice obok, oraz koszary SS nie przerażały mnie, lecz komplikowały trochę sytuację. Przypadek przyszedł nam z pomocą. Chłopak roznoszący gazety zadzwonił do bramy kamienicy, wraz z "Orszą" stanąłem we wnęce bramy, w tym momencie strażnik po odebraniu gazet od roznosiciela chciał ją zamknąć. Teraz nacieram ostro, wsunięty but między drzwi uniemożliwia zamknięcie bramy. Wyciągnięta legitymacja policji niemieckiej z groźnym powiedzeniem "Doucze policaj" i pchnięcie drzwi ramieniem robi swoje. Jesteśmy już wewnątrz. Zbaraniały strażnik nie wieco począć. Zostawiłem go pod opieką "Rena". Z "Orszą" wpadam na wartownię, gdzie bez trudu terroryzujemy i rozbieramy dalszych trzech wartowników grających w karty. Obstawę wciągamy do wewnątrz by pilnowali wejścia i strażników. Nasza grupa uderzeniowa wraz z jednym strażnikiem idzie na górę szukać piniędzy. Rozwalamy biurka i i pancerne szafy, w końcu po blisko godzinnej robocie trafiamy na walizkę, w której są dolary. Nie ma czym rozwalić kufrów pancernych, gdzie według zeznań strażników są zegarki. "Zbych" z "Józkiem" doprowadzają na górę dwóch opasłych Niemców w mundurach NSDAP. Jest to dyrektor i jeden z urzędników, który z gorliwością nawet w niedzielę przyszli urzędować. Znalezione butelki wina węgierskiego "Orsza" chowa do teczki dyrektora i oznajmia mu, że wypijemy je za powodzenie dzisiejszej akcji. Jedną z butelek otwieram na miejscu z oświadczeniem – patrzcie szkopy, jak zrabowane przez nas wino pije

dywersja – wręca mi pełną szklankę. "Zbych" i "Pik" z dolarami odpływają do bazy. Przecież akcja jeszcze nie skończona, jeszcześmy się nie wycofali. Muszę dbać o zabezpieczenie zdobytej fortuny. Dyrektora zabieram ze sobą, ażeby nas odprowadził kawałek. W jego towarzystwie bowiem jak pójdziemy nie odważy się nas zaczepić żaden patrol. Będziemy bezpieczni idąc z tym bykiem w mundurze partii hitlerowskiej. Chłopcom bardzo podoba się ten pomysł, natomiast niemiast jest ciężko przestraszony. Resztę szkopów polecam związać. Zwalniając Niemca, tłumaczę mu że może już wrócić i uwolnić swoich współziomków, grożąc mu jednak, że nie wolno mu się oglądać, gdyż może dostać kulę. Po przejściu paruset metrów, jesteśmy już na ulicy Bernardyńskiej w naszej bazie, gdzie entuzjastycznie nas witają. Patrzę na zegarek, przepraszam "Sochę" za spóźnienie albowiem zegarek mój wskazuje godz. 12.40. widać jednak nie pogniewał się na mnie bo sciska mnie serdecznie i nie mogę z jego uścisku się wyrwać. Cieszymy się wszyscy. Nasze plany będą mogły być zniszczone. Fundusz egzekutywy Oporu Społecznego i Centralnej dywersji "Żelbetu" istnieje. Istnieje i to nie w byle jakiej kwocie, bo 9879 dolarów amerykańskich, co wówczas w przeliczeniu stanowiło przeszło milion złotych. Powstał komisja rozliczeniowa funduszu w składzie "Socha", "Odwet", "Kordian", ja, "Zbych", "Konrad". Wówczas nie wiedzieliśmy sami jak bardzo te pieniądze będą użyteczne, przekonaliśmy się o tym dopiero później. Z chwilą, gdy w Warszawie wybuchło powstanie. Krakowska Delegatura została pozbawiona środków finansowych. W związku z tym, z funduszu tego, prócz normalnych wydatków, na które się składały: etaty dywersji, dozbrajanie i utrzymywanie oddziałów partyzanckich "Żelbetu", zapomogi dla rodzin aresztowanych, finansowanie, dostarczanie chleba do obozu w Płaszowie, musieliśmy dofinansować w czasie powstanie warszawskiego akcję tajnego nauczania w Krakowie, opieki społecznej i wydawnictwa prasy konspiracyjnej, finansowanie tych akcji za żadną cenę nie mogło być przerwane, ponieważ wielu ludzi znalazłoby się w rozpaczliwym położeniu. Ludzie prowadzący te akcje, oraz ci co korzystali z akcji społecznych najczęściej byli bez dachu nad głową, często poszukiwani przez gestapo, więc brak środków finansowych pozbawił by ich chleba. Z pieniędzy tych również wydatkowaliśmy pewne sumy – na zwolnie ludzi z obozu w Płaszowie, połapanych 6 sierpnia w tak zwaną "czarną niedzielę".

strona

83

### Agent Gestapo w łonie Organizacji

Już z końcem 1942 roku w rozmowie z kiereownikiem bojówki G.L. P.P.S. Marianem Bombą dowiedziałem się, że w stosunku do niejakiego Karola Tajchmana ma podejrzenia, że pracuje dla Gestapo. Człowiek ten kręcił się wokół pewnych grup konspiracyjnych. Nieliczni jedynie podejrzewali go o współpracę z Gestapem, ze względu na to, że wokół niego Gestapo przeprowadziło aresztowania. W tym czasie w terenie szkoliłem bojówki Stronnictwa Ludowego wyjeżdżając z Krakowa, więc nie miałem czasu bliżej zająć się tą sprawą. Dopiero w roku 1943 już będąc dowódcą Centralnej Dywersji "Żelbetu" nazwisko Tajchmana padło w rozmowie między mną a dowódcą "Żelbetu" – "Kordianem". Okazało się, że typ ten wkręcił się również w szeregi armii Krajowej. Najważniejsze jednak było to, że wokół jego kontaktów konspiracyjnych w naszych szeregach odbywały się aresztowania, a o donosicielstwo podejrzewano Tajchmana. "Nawara" i "Bicz" podjęli się przeprowadzić generalną próbę. Na niezamieszkałą przez nikogo

kajutkę pod strychem przy ulicy Potockiego sprowadzono Tajchman i tu pokazano mu parę sztuk pistoletów schowanych w rozlatującej się stojącej tam kanapie. Powiedziano mu również, że jest to zbrojownia dywersji. Naturalnie bezpośrednio po jego wyjściu natychmiast broń usunięto. Na wynik nie trzeba było długo czekać. Już na drugi dzień w nocy Gestapo wpadło do wspomnianego pokoiku. Jasne wtedy było, że nie jest to kwestią przypadku, tylko, że łotr ten jest na ich usługach. Mając tak bardzo obciążające zarzuty wobec niego dostałem polecenie z dowództwa "Żelbetu" przesłuchania go. Wystawili mi go na kontakt na Wałach Wiślanych. W dniu ..... 1943 roku skontaktowałem się z nim. Już przy pierwszym wejrzeniu nie podobał mi się. Rozbiegane jego spojrzenie nie uchwyciło ani razu mego badawczego wzroku. Powiedziano mi, że kontakt ze mną ma nawiązać, bo będzie pracował w dywersji. Ciężko na nim poważne podejrzenie o donosicielstwo, ale przecież nie mieliśmy stu procentowej pewności i dowodów. Spotkałem się z nim nad Wisłą i przeszedłem ulicą Zwierzyniecką do kina "Świt" i z powrotem plantami. W między czasie byłem obserwowany przez swoich ludzi, czy nie wlecze Tajchman za sobą jakiegoś szpicla. Z chwilą, gdy dano mi znak na plantach, że powietrze czyste, czyli, że Tajchman na spotkanie ze mną przyszedł sam oświadczyłem mu, że wejdziemy pogadać do pobliskiego warsztatu, bo płatać się po ulicach jest niebezpiecznie. Przystał na moją propozycję. Wziąłem "Ducego" i "Kadeta". Po wejściu jedno moje mrugnięcie wystarczyło, by tego dobrze zbudowanego chłopca o dużej sile fizycznej obezwładnić i związać mu ręce w tył. Wtedy powiedziałem mu, że jest konfidentem Gestapo i wyklada ludzi. Liczyłem na to, że w tej sytuacji załamie się. Pomyliłem się jednak. Zachował zupełny spokój i zaczął tłumaczyć, że przecież my nie możemy go podejrzewać o coś podobnego, skoro on ukrywa się przed Niemcami i chodzi na lewych papierach. Przyznam się, że pomimo tego, że nie podobał mi się od pierwszego wejrzenia, tłumaczenie jego byłom na tyle dobre i mówił tak opanowanie, że straciłem wiarę w prawdziwość tego podejrzenia. Miałem oddział partyzancki oporu społecznego w powiecie myślinieckim, zatanawiałem się czy nie przekazać go do niego, względnie do oddziału partyzanckiego w Naramie, gdzie był oddział "Żelbetu" chciałem ażeby w oddziale wzięli go pod obserwację, nie miałem sumienia go uziemić. Przecież był Polakiem i do tego żołnierzem A.K. A stu procentowych dowodów zdrady nie miałem. Ponieważ w czasie zeznań nadmieniłem że chodzi na lewych papierach kazałem mu je wyjąć, gdyż chciałem je oglądać. I tu znowu zacząłem się umacniać, że podejrzenia w stosunku do niego są słuszne. Wyciągnięto mu bowiem dwie kenkarty z kieszeni. Zdawałem sobie z tego sprawę, że żaden z nas nie powolił by sobie na to żeby nosić dwie kenkarty na różne nazwiska ze swoją fotografią. Wtedy poleciłem zrewidować go dokładnie. Rewizja przebiegała, wyjmowano różne przedmioty z kieszeni, a on zachowywał spokój. Dopiero zaczął krzyczeć i stawiać opór, jak któryś z chłopców zaczął zdejmować buty. Wierzgał i nie chciał pozwolić na ich zdjęcie. Naturalnie w tym wypadku musiałem już wydać polecenie ażeby zatkano mu głowę. Każdy z chłopców wiedział, że za ścianą warsztatu, w którym przebywamy stacjonuje lotnicza jednostka niemiecka. Buty zdjęto siłą. Okazało się że łotr miał się czego obawiać. W bucie znajdowało się zaświadczenie Siecherhain Policai /Gestapo/ twierdzące, że Karol Tajchman jest funkcjonariuszem i wszystkie władze cywilne i wojskowe zobowiązane są do udzielenia mu jaknajdalej idącej pomocy. Po ujrzaniu tego jasnego dowodu powiedziałem krótko. Wykończyć. Tajchman przestał być szkodliwy. Trupy nie gadają. Już nie mógł nikogo zdradzić. Z łona organizacji usunięty został kapuś. Był najbardziej szubrawym i szkodliwym konfidentem, bo działał w łonie konspiracji. Ponieważ zakopano go pod podłogą melinę naszą nazwaliśmy "kryptą zasłużonych". Na tym nie kończyły się moje obowiązki, nazajutrz musiałem przesłać meldunek do dowództwa, napisać akt oskarżenia do Wojskowego Sądu Specjalnego, dołączając dowód zdrady z prośbą o zatwierdzenie wykonanego wyroku śmierci na agencie Gestapo.

### I tym razem miałem szczęście.

dzień 6 sierpnia w roku 1944 był ślicznym upalnym dniem w Krakowie. Korzystając z tej pięknej niedzieli mieszkańcy miasta gromadnie wychodzili na spacer za miasto a bardziej leniwi, zalegali brzegi /rudawy i Wisły. Tłumem wypełnione zostały planty i parki. W tym czasie jak nic nie przewidujący Krakowianie zażywali słonecznych kąpieli rozkoszując się pogodą, w gmachu SS na Oleandrach pochłeni nad planem krakowa oficerowie SS, policji i gestapo, ostawiali miasto numerowanymi chorągiewkami. Z pruską dokładnością, z hitlerowską perfidją i wprawą plan miasta został pokryty chorągiewkami, a każda z nich w planie operacyjnym oznaczała kompanie SS, policji lub wojska. My ludzie z konspiracji nie mieliśmy również pojęcia o zamierzonej w tym jakiegokolwiek akcji przez Niemców. Najlepszy dowód w jakiej tajemnicy musieli to trzymać, bo wiadomości o zamierzonych na większą skalę akcjach prawie zawsze przeciekały do nas. Siedziałem w bazie dywersji przy ulicy Bernardynskiej spokojnie, gdzie gościło parę osób. W tem około godziny 16-tej, przez okno wychodzące na brzegi Wisły zobaczyłem podjeżdżające samochody niemieckie. Wyskakujący z nich żołdacy wzdłuż brzegów ustawiali karabiny maszynowe. Byłem pewien że ten teren oprawcy obrali sobie na jedn a z kolejnych publicznych egzekucji. Wyraziwszy to nawet słowami "no będzie jakaś grubsza rozwałka, zapewne za chwilę przywiozą ludzi i będą rozstrzeliwać szubrawcy". Z podwórza dobiegł krzyk – Alle Maunner rraua. Kamienice wypełniały odgłosy ciężkich butów i stuk podkutych butów. Grozę sytuacji potęguje przeraźliwy krzyk. To Niemcy wyciągają siłę z mieszkania z drugiego piętra ułomnego człowieka. Co robić ?. W mieszkaniu jest pełno broni, skrzynka granatów pod łóżkiem. Na prędcie chowamy trzy automaty, które nie są w skrytkach. Zbych melinuje jeden w stojaku zegara dwa następne idą do szfy w damskie suknie. Swoje dwa pistolety "Waltery" umieściłem na nogach, wsuwając za gumy od skarpet. Chcieliśmy ze Zbychem wyjść, ale mama nam nie pozwala. Otwiera na oścież drzwi i ze słowami "Jak przyjdą po Was to pójdziecie a gdy znajdą broń to zginiemy razem", rozkłada talię kart na stole. Na dobitkę słychać eksplozję granatu. Co do cholery się dzieje?. Zupełnie to nas dezorientuje. Minuty wleką się w nieskończoność. Myśli biegnąć szybko. Najważniejsze ażeby nie przeprowadzali rewizji. By uratować dom. Jak nas ze Zbychem wezmą to frajer. Z auta będziemy się wybijać. Takie myśli przebiegały do chwili kiedy powoli gwar w kamienicy cichł. Ile ta branka w kamienicy trwała ?. Czy dwadzieścia minut, czy szesdziesiąt tego nie można określić. Za bardzo myśl była zaprzątnięta czym innym, a nerwy w napięciu. Są już pierwsze wiadomości: Niemcy opóścili kamienicę. Granat eksplodował na poddaszu, gdzie nie było nikogo w mieszkaniu i tym sposobem szkopy otwierali drzwi. W każdym mieszkaniu byli oprócz naszego. Jesteśmy ze Zbychem jedynymi mężczyznami, którzy w kamienicy nie zostali zabrani. Teraz zaczynamy się martwić jak przeżyli to inni nasi ludzie. Kobiety znoszą coraz bardziej ponure wiadomości. Niemcy zgarnęli wszystkich mężczyzn bez względu na wiek i posiadane dokumenty, nie wyłączając młodzieży. Do późnej pory nawet po godzinie policyjnej krażyły łączniczki by zorientować się jak duże spustoszenie ta łapanka zrobi wśród ludzi z konspiracji. Wiele uniknęło tej akcji będąc na wycieczkach za miastem. Pomimo tego, że w niedzielę tą nazwano później przez krakowian "czarną niedzielą" zagarnęli Niemcy około ..... tysięcy mężczyzn – nie osiągnęli swego celu. Ruchu wolnościowego - organizacji podziemnych nie

rozbili, czyniąc w nich zaledwie pewne wyrwy. Kontakty i praca podziemna nie została przerwana, czego najlepszym dowodem jest, że już drugi dzień cywile jak i wojskowe władze organizacji podziemnych robiły wszystko ażeby jak najwięcej ludzi wyrwać z obozu z Płaszowa. Udało się to w bardzo wielu wypadkach, praca reklamowanie osób zatrudnionych w niemieckich instytucjach, lub też za pomocą przekupstwa, albowiem Niemcy byli łasi i nie gardzili okupacyjnymi "góralami" / banknot okupacyjny pięćset złotych /. tak i w tą czarną niedzielę dopisywało mi szczęście – uniknąłem branki będąc w jej środku. Nie zagarną mnie zarzucony sach. Nie złapano rekina, choć mieli już go w swojej sieci bez wody. Mieli mnie bez środków możliwości działania i obrony.

strona

93

### M-pi 42

Upalny lipcowy dzień 1944 roku. Manifest lipcowy – a z nim front coraz bliżej. Z murów Krakowa zniknęły napisy w rodzaju "Deutschland siegt an allen Fronten". Okupant fortyfikuje miasto. Gdzieś się zapodziała pycha, pewność siebie i typet. Na rogach krakowskich ulic coraz więcej żelbetonowych bunkrów. A z dworca głównego raz po raz odjeżdżają przepełnione pociągi, które w stronę wielkiej Rzeszy wywożą nasz majątek i przerażonych Niemców służby cywilnej wraz z rodzinami. Uważnie obserwując wojska niemieckie stacjonujące w Krakowie rychło spostrzegliśmy rozluźnienie dyscypliny i niezbyt pewną minę dowódców. Wobec takich spostrzeżeń nie zdziwiłem się zbytnio, gdy jeden z moich dowódców patrolu dywersyjnego "Ren" powiedział mi, że sztuzpolicjant dozoru jednostkę "luftschutzu" wyjeżdża w tych dniach do Rzeszy i chce sprzedać swój pistolet maszynowy typu MP-42. Informacja ta ucieszyła mnie, jako że pistoletów maszynowych nie mieliśmy dużo, a jeśli chodzi o walkę w mieście – była to najskuteczniejsza broń. A trzeba było liczyć się z tym, że cofający Niemcy swoim zwyczajem będą mscili się na ludności cywilnej miasta. Każdy pistolet maszynowy zatem może nie jeden raz pomieszać szyki okupantowi.

Nikt z nas wtedy nie przypuszczał, że przez przemyślane, taktyczne okrażenie i zaskoczenie Armii Radzieckiej – Kraków zostanie wolny bez walk na terenie miasta. Z uwagą zatem wysłuchałem relacji "Rena", według której automat sztuzpolicjanta był zupełnie nowy. Wymieniona przez niego cena nie przerażała mnie, chociaż była wygórowana. Opiewała na kwotę 26-tu tysięcy złotych, wtedy to było bardzo dużo, nie mniej nie mogłem oprzeć się pokusie posiadania takiej broni. Umówiliśmy się z "Renem", że przyprowadzi tego Niemca na Wały Wiślane pod Wawelem i tam spróbujemy dokonać transakcji. Jakoś w dwa dni po tej rozmowie powiedziano mi, że Niemiec będzie czekał w umówionym miejscu o godzinie 17-tej. Poszedłem zachowując naturalnie wszelkie środki ostrożności, z obstawą czterech ludzi. Tak trzeba było, bo znane były wypadki prowokacyjnej sprzedaży broni, które nie jeden Polak przepłacił życiem. Gdy szkop wyciągnął swój automat z brzozy futerału – zbielało mi oko. Dużo broni przeszło przez moje ręce – ale takiego dziwnego i nowego jeszcze nie widziałem. Nie targowałem się długo. Zapłaciłem szybko 24 tysiące złotych i cacko to wraz z czterema magazynkami amunicji stało się własnością dywersji. Cieszyliśmy się z tego nabytku, tym bardziej że, dotychczas najczęściej walczyliśmy starymi gratami w rękę, które nieraz w najważniejszym momencie zacięły się. Uciecha nasza nie trwała długo. Po czterech dniach, gdzieś około godziny 7-mej rano przyszedł "Ren" roztrzęsiony i blady. Okazało się, że ten

Niemiec, który sprzedał nam broń przyszedł do niego i powiedział, że jeśli do godziny 12-tej w południe nie otrzyma broni z powrotem zaaresztuje "Rena" . Co za s.....

- zakląłem głośno. Sprawa była paskudna. Jak niedźwiedź w klatce, krążyłem wściekły po pokoju i dopiero po kilkakrotnym zapytaniu "Rena" – co zrobię – zdecydowałem. Dobrze. Nie ma rady. Trzeba dać mu broń. Na twarzy "Rena" obito się zdziwienie. Zaskoczyła go moja uległość. Z kolei on zaczął mi radzić, żeby pistolet jednak zatrzymać – a on spali się z Krakowa, gdzieś w teren, bo szkoda i forsy i pistoletu. Przerwałem mu. Trudno – w tym wypadku musimy stracić. Pójdziez do sk..... i przyprowadzisz go o 10-tej nad Wisłę. Nie będziesz narażał się niosąc automat przez miasto. Wyjedziesz od siebie o 9.30 – tłumaczyłem mu dalej. "Orsza" będzie was obserwował czy nie jesteście śledzeni, a teraz skocz po "Orszę" – niech natych miast przyjeżdża do mnie. "Ren" wyszedł bardzo zmartwiony i przygnębiony. Parę mknut po 8-mej wpadł jak bpmba do mojego pokoju "Orsza". Widoczne od "Rena" dowiedział się o wszystkim, bo już od drzwi zaczął pytać czy tego Niemca – drania – nie możnaby krponać nad Wisłą. Nie. Nie można – przerwałem mu. W każdy razie zastrzelenie go nad Wisłą będzie ostatecznością.

Zazlkwidowanie podoficera Schutzpolica Niemcy mogą rozstrzelać kilkunastu, albo nawet kilkudziesięciu złapanych zakładników lub więźniów polskich. Ale – tłumaczę "Orszy"dalej – tak czy tak Niemca uziemić musimy, bo nawet gdybyśmy oddali pistolet to i tak nie mamygwarancj czy nie będzie szantażował "Rena", lub czy go nie każe zaaresztować. Niemiec musi zginąć cichutko, bez śladu. I tu przedstawiłem"Orszy" następujący plan działania. "Ren" jest przekonany, że pistolet oddamy i przyprowadzi Niemca nad Wisłę spokojnie. Gdyby wiedział o naszym planie mógłby się zdradzić bodaj grymasem twarzy. Ostatecznie i wśród Niemców były też szczerwane lisy. Ob zaś – to znaczy "Orsza" bedzie śledzić "Rena" z Niemcem. Jezeli Niemiec będzie czysty, to znaczy bez obstawy – "Orsza" uda się szybko do naszego pomieszczenia – a ja tam Niemca przyprowadzę. Jezeli natomiast Niemiec nad Wisłą przyjdzie z obstawą, to w momencie spotkania się – ja kropnę w Niemca, a on w jego obstawę. Za ścianą warsztatu, gdzie mieliśmy nasze lokum stacjonowali lotnicy niemieccy. Dlatego też ubezpieczyłem lokum "Zbychem" i "Pikiem". Plan mój udał się całkowicie.

Niemiec widząc kręcących się po powórku swoich lotników – nie zawahał się wejść do warsztatu. Nie obawiał się niczego widząc wokół "nadludzi" w mundurach. Nie przypuszczał nawet, że warsztat ten po nie długim czasie opuszczą wszyscy. Zostanie w nim tylko on. Nie przypuszczał że jego legitymacja wachmaistra Schutzpolica opiewająca na nazwisko kurta Albrechta, oraz zdobyty dodatkowo pistolet w niejednej akcji pomoże później żołnierzom Polski Podziemnej. Kutrt zajął jedno z miejsc w lokalu pod podłogą, który mysmy nazwali "kryptą zasłużonych". Uziemiony został planowo – systemem bezszmerowym.

strona

97

### Likwidacja Anielicy

---

Gorąco robiło się w sierpniu 1944 r. coraz goręcej, zdawało się nam, że hen od lasów janowskich dochodzi nas odgłos niekończącej się kanonady artylerii, że słyszymy szcęk gąsiennic czołgów niszczących umocnienia okupanta, detonacje bomb kruszących bunkry wroga. W ślad za tym odnosiliśmy wrażenie, że temperatura krwi rosła i że tłoczące się w mózgu myśli doprowadzą do stanu wrzenia. Minał ku mojej radości okres, kiedy z braku zajęcia na początku okupacji szukałem dla siebie pola działania poza Krakowem prowadząc kursy dywersyjne i

wykonywać szkolne akcje dla przecwiczenia kursantów. Po wpływie wiadomości z pola walk rósł ruch wolnościowy. Organizacje podziemne urastały zwiększając swoją liczebność. To z kolei ułatwiało przenikanie do ruchu podziemnego prowokatorów i konfidentów Gestapo. Jako kierownik Egzekutywy Oporu społecznego i dowódca Centralnej dywersji zgrupowania "Żelbet" nie mogłem się teraz uskarżać na brak zajęcia. W momencie, kiedy w gorczakowym pośpiechu przygotowałem parę akcji likwidacyjnych zjawiała się u mnie w mieszkaniu w którym się ukrywałem w Krakowie przy ul. Bernardyńskiej Nr. 9 łączniczka dowódcy zgrupowania "Kordiana" – "Kozaczek". Od progu relacjonuje mi zajście, które miało miejsce w nocy w sąsiednim mieszkaniu jednego z naszych konspiratorów. W czasie odbywającej się tam zabawy powstała awantura. W mieszkanku naszego kolegi z konspiracji – Godziemby – przebywał policjant granatowy, który również był członkiem organizacji niepodległościowej i interweniując był członkiem organizacji niepodległościowej i interweniując w powstałej awanturze w przyległym mieszkaniu wylegitymował wszystkie znajdujące się tam osoby. Między innymi jedna z przebywających tam niewiast okazała mi legitymację agentki Gestapo wydaną przez Gochai Polica i Distrikt Lemberg na nazwisko Lili Ardfiew. W legitymacji tej znajdował się wykaz jedenastu nazwisk osób. Przy nazwiskach były dokładne adresy. Okazało się, że tych jedenastu nazwisk tobyli wszyscy znani ludzie z Ruchu Oporu, a jeden z nich zajmował wówczas bardzo wysokie stanowisko. "Kordian" i "Nawara" – relacjonowała dalej "Kozaczek" – uprzedzili te osoby, które nazwiska miała wynotowane konfidentka o grożącym niebezpieczeństwie, a ty masz ustalić jej miejsce zamieszkania i zlikwidować ją. Mówiąc to wręczyła mi legitymację konfidentki i dodatkowo podała szczegół, że zapytany właściciel mieszkania przez "Dęba" /nasz granatowy", wyjaśnił, że poznał ją w restauracji na rogu Pijarskiej i Ślawkowskiej. Nie było to zbyt wiele informacji, jeśli się uwzględni, że kilkuset tysięczny Kraków i tak bardzo ruchliwy w okresie okupacji był już wtedy rozedrgany nalotem różnych ludzi w związku z sytuacją na froncie. Przybywali członkowie Ruchu Oporu, ale ciągnęli z nimi prowokatorzy i konfidenti. Mogłem liczyć tylko na przypadek. Ale, myśl że szybkie przeprowadzenie akcji zapewnić może bezpieczeństwo całemu szeregowi ludzi pobudzała moją energię. Celowość akcji zależna była od szybkości w jej wykonaniu – zanim konfidentka zdąży zawiadomić Gestapo o zajściu i przekazać informację. Zarządziłem natychmiast alarmową zbiórkę sewego oddziału w lokalu przy ulicy Grockiej 6, gdzie nasz zaufany J prowadził pracownię krawiecką. Lokal nadawał się dobrze do tych celów. Wchodzenie i wychodzenie do niego nawet większej ilości ludzi nie budziło podejrzeń. Zanim zebrało się 22-u ludzi stanowiących komórkę Egzekutywy Oporu społecznego – miałem już w ręku 22 odbitki jej zdjęć. Wparowałem się w zdjęcie, z którego patrzyło na mnie dwoje dużych wyrazistych oczu stanowiących silny akcent na tle ślicznej twarzyczki, tchnącej wyrazem niewinności i kształtnej główki, ozdobionej parą jasnych grubych warkoczy zapiętych w kok na tyle głowy. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że to ma być twarz agenta Gestapo. Co za kolosalny kontrast między jej wyglądem Anielicy a funkcją jakiej się podjęła. Nie było czasu na dalsze refleksje, członkowie mej grupy już się zgromadzili. Wręczyłem im fotografię z poleceniem odnalezienia konfidentki, oraz ustalenia jej adresu. Polecając równocześnie wykonanie meldowania mi natychmiast przez punkt alarmowy. "Orszy" i "Renowi" zleciłem obserwację restauracji, w której poznano poprzedniego dnia Lili. Mimo przedsięwziętych kroków niewiele miałem nadziei na szybkie odnalezienie jej. Tymczasem wbrew oczekiwaniom na drugi dzień około godziny 16-tej zjawił się mój adiutant "Orsza" i zameldował, że poszukiwana przez nas Lili mieszka przy ulicy Długiej 52 pod nazwiskiem – Janina Malicka. W jej mieszkaniu znajduje się już "Ren", który ją poznał i został przez nią zaproszony. Nie było czasu na dalsze wyjaśnienia szczegółów. Polecam zawiadomić : "Zbycha", "Zygmunta" i "Pika", aby jak najszybciej przybyli na wskazany adres. Ja z "Orszą" udajemy się

tam natychmiast. W drodze "Orsza" opowiada – Do godziny 14-tej "Ren" miał obserwować knajpę przy ul. Sławkowskiej. Od 14-tej miałem go zmienić. Na miejsce przybyłem o 14.20. "Rena" już nie zastałem. Stałem na rogu rozglądając się za nim. Po jakimś czasie zobaczyłem "Rena" idącego od strony ulicy Długiej. Powiedział mi, że poznał ją, przedstawił się jej jako dziedzic z /kazimierzy Wielkiej. Izuje u niej przyjęcie i właśnie w tej chwili wyszedł po ciastka i wino. Lili powie. Że spotkał po drodze kolegów i zaprosił ich. Więc daj znać dowódcy i przyjeżdżajcie. To wszystkie informacje podano w stylu telegraficznym uzyskuje stojąc na pomoście tramwaju, obserwując jednocześnie jadących w przedniej części zarezerwowanej nur fuhr deutsche "nadludzi". Wreszcie jest przystanek. Wsiadamy, dokonując zakupów godnych dziedzica. Wchodzimy do domu, w którym mieszka Lili. Na drzwiach wizytówka – "Janina Malicka". Przyciskając guzik dzwonka nie wiemy: czy Lili nie zawiadomiła Gestapo, czy nie jest w jej mieszkanku zastawiona już na nas pułapka, czy "Ren" nie został w międzyczasie obezwładniony. Na myślenie nie ma niestety czasu. Dzwonek naciśnięty. Ściskamy pistolety. Drzwi otwierają się. Wita nas "Ren". Zwalniamy uścisk na naszych kopytach. "Ren" wprowadza nas do przedpokoju. Przez uchylone drzwi widać w pokoju siedzącą dziewczynę. Za chwilę siedzę już naprzeciwko Lili. Przypatruję się jej. Jest jeszcze ładniejsza niż na zdjęciu. W miejscie biało czarnych światłocieni fotografii – grają kolory: błękit oczu, złociste pukle włosów. Ładna cera, zgrabna dziewczęca figórka. I znowu dręczy mnie myśl – diabeł w postaci anielicy. Szukam w jej twarzy jakiegoś piętna. Myślę całym wyrazami, błyskawicznie przebiegającymi przez mózg. Co zrobić z tym około siedmioletnim chłopcem, który znajdował się w pokoju, czy "Zbych", "Zygmunt" i "Pik" są już pod domem. Myślę o tych jedenastu nazwiskach, które lili miała zanotowane, o jedenastu rewizjach, które gdyby nastąpiły spowodowały by aresztowanie dalszych ludzi, o ich terturach i może być o ujawnieniu dalszych członków Ruchu Oporu. Lili odgadła widocznie w moich oczach wydany na nią wyrok. W pewnym momencie powiedziała "niech pan tak na mnie nie patrzy" . Dlaczego ? Przecież pani zdaje sobie sprawę ze swej piękności.

"niech pan tak na mnie nie patrzy bo będę krzyczeć" – zawołała. W tym momencie dziecko zaczęło płakać. Wobwc tego "Ren" zabrał je do kuchni, meldując mi, że drzwiami od podwórka wchodzi jakaś kobieta. Okazało się że to matka dziecka. Poleciałem "Renowi" zamknąć od kuchni drzwi i zatrzymać tam oboje. "Orsza" siada na tapczanie przy konfidentce, ja wyglądam przez okno i widzę swoich ludzi pod domem. Skinieniem wzywam ich do środka. "Jak długo pracujesz w Gestapo" – rzucm pytanie Lili. "Nie pracuję tam" – pada odpowiedź. Wyjmuję legitymację jej, podchodzę do niej i pytam. "A Lili Arafiew- znasz". Konfidentka kocim ruchem zrywa się z tapczanu. Wyrzywa mi legitymację i usiłuje ją zjeść. Silny chwyt za rękę i przyciśnięcie szczęki przywraca nan cenny dowód. Widząc z jej zachowania, że jest gotowa do oporu – każę jej związać ręce i przystępuję do przesłuchania. Pytam o różnych konfidentów, z którymi jak sądziłem miał kontakt. Odpowiada, przyżeka że żadnych materiałów nie dostarczy Gestapo, a równocześnie prosi aby darować jej życie, bo jest młoda i chce żyć. Niestety oto już pani prosć nie może. Za długa jest kista osób, które dzięki tobie giną w obozach i więzieniach. Dosięga cie ramię sprawiedliwości. W tym momencie zadzwonił dzwonek. "Ren" wygląda przez judasza i melduje mi, że dzwoni oficer Gestapo. Po cichu wydają rozkazy. "Zbych" niech otworzy drzwi i idzie za nim, "Orsza" w przedpokoju. "Ren" wyjmuje pistolet i rękę cofa poza siebie, ja ściskam mocniej Waltera. W przedpokoju słyhać pytanie oficera w języku niemieckim o panią Malicką. "Zbych" potwierdza, że jest w domu i wprowadza go do przedpokoju. "Ren" wyciąga pistoletz okrzykiem "Hende hoch". Nie szpanuj – odzywa się wysoki, tęgi oficer Gestapo. "Hande hoch" powtarzam i uderzam go w twarz. "Polaczki nie strzelaj" krzyczy oficer i podnosi ręce do góry. W tym momencie któryś z chłopaków zdjął mu pas z kaburą i zrewidował czy nie ma



zapasowych pistoletów. "Kim jesteście? - pyta nas. "Polakami" odpowiadam – "przyszliśmy wykonać wyrok". "A ja jestem ruski pułkownik Markow" = zaczął łamana polszczyzną. Niemcy wzięli mnie do niewoli – opowiada Markow – a ponieważ jestem chirurgiem zrobili mnie lekarzem więziennym i ubrali w mundur Gestapo. Weście mnie zesobą, ja chcę walczyć przeciwko nim. A po coś tu przyszedł? Zapytał jeden z chłopaków. Ona jest chora na syfilis – odpowiada i Gestapo kazało ją leczyć. Przyszedłem jej dać zastrzyki. Istotnie zastrzyki z bizmutu ze strzykawką znajdowały się w jednej z szuflad. Polecilem "Renowi" i "Orszy" wykonanie wyroku. "Ren" prosił aby zwolnić go z tego. Rozumiałem jego skrupuły. On ją zwabił do pułapki – uważał, że to nie będzie z jego strony w porządku. A może dziewczyna zrobiła na nim zbyt silne wrażenie? pozostał do załatwienia sprawa wyekspediowania z mieszkania matki z dzieckiem i powzięcia decyzji co do Markowa. Rozmawiając z nim doszedłem do wniosku, że trzeba zaryzykować, wciągnąłem go do oddziałów partyzanckich. Nie miałem przecież żadnej pewności, czy jego opowiadanie jest prawdziwe i czy nie przygotowuje jakiejś pułapki. Nie mniej jednak polecając mu wrócić i pozbyć się ile tylko może broni i narzędzia chirurgiczne – umówiłem się z nim na drugi dzień na godzinę jedenastą. Wychodzącemu wydałem pas z kaburą – pistolet zatrzymałem u siebie. Teraz miałem czas na rozmyślanie. Miejscem spotkania miał być róg ulicy Limanowskiego i Rękawki. Pierwotnie ustaliliśmy, że aby uniknąć zaskoczenia ze strony Niemców zorganizowaliśmy obstawę ze strony Krzemionek, gdyż dawało to dużo możliwości obrony i ostrzeliwania Niemców z góry. Teraz doszedłem do wniosku, że w razie nieuczciwości Makarowa, taka obstawa na nic się nie zda, bo nie Niemcy mogą obstawić całe Krzemionki i wówczas całemu mojemu oddziałowi groziłaby zagłada. Nie mogłem zgodzić na takie ryzyko, będąc świadom, że grupa moja jest jedną z najbardziej zdyscyplinowanych i najbardziej aktywnych na terenie Krakowa. Postanowiłem wobec tego, że na spotkanie z Markowem pójdę sam, bez żadnej obstawy, tylko z jednym obserwatorem. Uzbroiłem się po zęby. Mając nieodłącznego przy sobie Waltera, za pasek wsadziłem Belga czternastostrzałowego, biorąc również dwa granaty. Postanowiłem drogo się sprzedać. Obserwatorem był "Zbych", który miał dobre papiery, jako pracownik Symensa. O oznaczonej godzinie przyszedłem na ustalone miejsce. Markow oczekiwał już na mnie, nie mniej zdenerwowany ode mnie, gdyż obawiał się, że się nie zjawię, a miał już za sobą mosty spalone. Zabrał bowiem z sobą około 1000 sztuk amunicji pistoletowej, dwa pistolety i cały zestaw narzędzi chirurgicznych. Idąc z nim przez miasto odczuwałem dużą radość na widok honorów wojskowych oddawanych nam przez przechodzących Niemców, nie przypuszczających, że za parę dni za tym gestapowcem rozpisane zostaną listy gończe. Przebywałem z nim do momentu kiedy przebranego na cywila zabrała go podwoda z terenu i pod osłoną moich ludzi odwiozła do oddziałów partyzanckich. Przebywał tam /O.Part."Owicza" do momentu dopuki nie pojawiła się na Turbaczu partyzantka Potiomkina. 10-go listopada 1944 roku został przez dowódcę naszego oddziału partyzanckiego przekazany do oddziału Potiomkina, gdzie walczył do chwili wyzwolenia. Przeżył wojnę, przeżył partyzantkę i w tej chwili jest jednym z wybitnych chirurgów Związku Radzieckiego.

**Strona**

**104**

### **"Orlik" w potrzasku**

---

Jest czerwiec 1944 roku. Niemcy stosują coraz większy terror, codzienne rostrzeliwania, coraz to

owe listy zakładników, na ulicach miasta i w okolicach Krakowa serie karabinów maszynowych dają znać, że okupant rozstrzeliwuje polskich patriotów, giną po cichu. Perfidni hitlerowcy murują usta gipsem. Walka trwa. W tym czasie oddziały partyzanckie zgrupowania "Żelbet" przeprowadzają akcje odwetowe w powiecie myślinieckim. W takiej sytuacji zameldowało się u mnie dwóch ludzi z oddziału partyzanckiego "Wagi" po podręczniki szkolenia dywersyjnego "Orlik" i "Szum". Chłopcy z wesołymi minami opowiedzieli mi że po drodze na wysokości Łagiewnik rozcroili dwóch pilotów, zdobywając dwa pistolety P-38. Cieszyły się chłopaki i byli dumni z tego, że do oddziału powrócą z taką zdobyczą. Około południa wyruszyłem ich w drogę powrotną. Zdziwiłem się mocno, jak około godziny 16-tej zobaczyłem ich spowrotem u siebie. Okazało się, że w Łagiewnikach przy koncyu linii tramwajowej Niemcy zrobili obławę i z trudem chłopakom udało się żywcem wydostać. Naturalnie musieli się gęsto ostrzeliwać i dzięki temu, że strzelali dobrze i celnie uszli z życiem, bo raniąc dwóch fryców – reszta zaniechała pościgu. Uzupełniłem im zapas amunicji, bo nie żalowali jej wypróżniając po dwa magazynki z rano zdobytych kopyt. Tak zaopatrzeni z życzeniem "złamcie pysk" wyruszyli o godzinie 20-tej do oddziału. Droga była daleka i nie bardzo bezpieczna, gdyż okoliczne wsie podkarpackie były pełne stacjonujących jednostek niemieckich. Nazajutrz, już o godzinie 6-tej rano zostałem zbudzony i widząc zapłakaną swoją siostrę wiedziałem, że coś się stało. W pierwszej chwili nic się od niej dowiedzieć nie mogłem, bo płacząc w kółko powtarzała jedno i to samo "Adama zastrzelili" /Adam miał pseudo "Orlik" i był moim bratem/. Dopiero jak wsiadłem na nią z krzykiem, ażeby nie robiła hysterii – opowiedziała mi co następuje. "Orlik" po drodze wstąpił do niej -zamieszkiwała na terenie Łagiewnik/ i zastał tam z oddziału kolegów "Nuškę" i "Skoka". Postanowili, że razem będą wracać, bo "Szum" chciał odwiedzić rodzinę i dopiero na zajutrz miał się zameldować w Oddziale. Około 23-ciej wyjechali od niej. A o godzinie 3-ciej rano byli spowrotem "Nuška" i "Skok", oświadczając że zostali zaatakowani w Swoszowicach przez wzmocniony patrol niemiecki i "Orlik" został c zastrzelony. Wypytyując się o szczegóły, ubierałem się, postanowiłem bowiem jechać na miejsce by dowiedzieć się czegoś więcej. Na motorze, naturalnie takim dywersyjnym, nigdzie nie rejestrowanym pojechałem z "Orszą" do Swoszowic. Komendantem tamtejszego terenu "Komenderze" poleciłem żeby natychmiast dowiedział się bliższych szczegółów. Po trzech godzinach zameldował mi, że w nocy była strzelanina, ale trupa żadnego nie było. Miejscowi ludzie przeszukali z jego polecenia okoliczne krzaki, lasek i zabudowania gospodarcze wołając "Orlika" po imieniu, bo myślałem, że ranny schronił się gdzieś, ale bez rezultatu. Oświadczenie, że nie było żadnych zwłok pocieszało mnie i natchnęło otuchą. Przecież ten chłopak już tyle razy był w krytycznym położeniu i zawsze jakoś wybrnął. Może i tym razem dopisze mu szczęście. Tak też był. Wracając na moście Piłsudzkiego dowiedziałem się, że żyje. Konduktorka tramwajowa dała znać do ojca, że jakoś pan transportowany przez czterech policjantów niemieckich prosił ażeby dała znać, że Adam jedzie do obozu do Płaszowa. Z obozu z Płaszowa został przewieziony na Gestapo na ulicę Pomorską a stamtąd na Montelupich. Po trzech dniach został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Langefeld. Na tym historia ta kończyłaby się, gdyby nie to, że mimo wszystko szczęście nie opuściło go. Udało mu się przeżyć w Langefeld, Flossenbirg. Dlatego można uzupełnić to zamieszczając jego relację: Jechaliśmy we trójkę w kolejności na rowerach – ja, "Niuška", "Skok". Z chwilą gdy na drodze błysnął silny reflektor i usłyszawszy wezwaniw "Hende hoch" natychmiast zeskoczyłem z roweru do rowu. W tym czasie z wypuszczonej przez Niemca serii z automatu dostałem jedną kulę w udo. Przycupnąłem w rowie cicho czekając na to, że "Niska" i "Skok" ukryją się i strzelając do Niemców owrócą ich uwagę, a ja będę mógł zwiąć. Tym czasem panowała cisza, a szkopy reflektorem zaczęły jeździć po szosie. Nie było na co czekać wyprułem czy magazyn 138 w ich stronę, strzelając równocześnie z f-mki. Naturalnie

zaraz po pierwszych strzałach zapanowały ciemności, a mnie po tej kanonadzie został jedynie jeden magazyn zdobytego rano P-38. Ponieważ było zupełnie cicho zacząłem się czołgać w tył aby się wycofać. Po przeczołganiu się paru metrów w tył wycofałem się w pola. Trafiłem jednak na druty kolczaste, które przechodząc wywołały hałas. Niemcy zaczęli strzelać. Byłem już za drutami i żywopłotem. Odszczeknąłem się im, wypróżniając ostatni magazyn. Wykorzystując załamanie terenu, jak najprędzej oddalałem się od miejsca strzelania. Z chwilą gdy poczułem się już bezpieczny zdziwiłem się bardzo, jak zdjawszy portki, przy świetle zapalki zobaczyłem siną nogę, lecz nie krwawiącą. Pomimo tego potargałem gacie owijając ranione udo. W magazynku został mi tylko jeden nabój, drugi tkwił w lufie. Wobec tego zniszczyłem rozkazy jakie miałem przy sobie, a pistolety zakopałem pod krzakiem. Przecież i tak z dwoma nabojami nic nie nawojuję. Tym bardziej że noga coraz więcej zaczynała mnie boleć. Mimo tego że nie krwawiła, i tak byłem wielki frajer – opowiada "Orlik" – bo zamiast zapukać gdzieś do chałupy i porosić o nocleg, szedłem w kierunku Krakowa. Przy szosie zakopiańskiej zostałem zatrzymany przez patrol. Zatrzymali mnie za to, że szedłem po policyjnej godzinie i odstawili rano na cztery dni do Płaszowa. Było by wszystko dobrze, gdyby nie to, że na trzeci dzień przyjechało Gestapo, zabierając mnie na Pomorską. Oni nie byli frajerzy i połączyli moje zatrzymanie policyjne z tą strzelaniną, chociaż byłem w odległości około szesnastu kilometrów od miejsca strzelaniny. Przesłuchując mnie zbili mnie, lecz moje szczęście było to, że nie zauważyli, że jestem postrzelony, a to że kulałem to byli przekonani, że od wycisku jaki mi dali. Po dwóch dniach Zondeiericht skazał mnie na koncentrat i zostałem odwieziony na Monte. Nie masz pojęcia – ciągnie dalej opowiadanie "Orlik" jak skatowali Harego i Błędowskiego. Harego skatowali do tego stopnia, że leżał na noszach i zupełnie nie mogłem go poznać. Natomiast Błędowskiego wywieźli razem ze mną do obozu, do flossenbirg gdzie znaleźliśmy się pod koniec września 1944 roku. Stamtąd przewieziono nas do SS Komando Langfeld, skąd podczas ewakuacji w kwietniu 1945 roku zbiegłem. Marian Kowalik pseudo "Błędowski" prawdopodobnie w czasie ewakuacji został zabity.

poniżej fotokopie Polskiego Czerwonego Krzyża o przebywaniu w obozie. / fotokopii brak /.

Wyjaśniam, że "Harry" – żołnierz naszej dywersji wpadł w ręce Gestapo przy prowokacyjnym zakupie broni i widząc sytuację bez wyjścia wyskoczył z drugiego pietra łamiąc obie nogi. Pomimo tego, że był ciężko ranny Niemcy przesłuchując go niemiłosiernie bili go, chcąc wydobyć od niego nazwiska ludzi z konspiracji. Pomimo tortur, jakie przeszedł nie wydał ani jednego nazwiska, ani adresu. Zamordowano go. Poległ na posterunku, w walce o wolność ojczyzny. "Błędowski" został aresztowany w lipcu pod zarzutem handlu bronią. Był członkiem dywersji batalionowej zgrupowania "Żelbet".

Jeszcze przed wojną znana była firma Władysława Klimka, który przy ulicy Mogilskiej Nr. 74 posiadał odlewnię metali. W ciężkich latach okupacji, które przeżywał naród polski odlewnia ta z dnia na dzień rozrastała się, a właściciel obrastał w piórka zbijając majątek. Działo się to na skutek tego, że podjął się pracy dla przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy, oraz, że kolaborując z okupatem setki tysięcy złotych pobudziły w nim fantazję, że w jego żyłach płynie krew jankiesów – podpisał wolkssdoiczza zawieszając wielki portret Filera (Führera) nad fotelem w gabinecie w którym urzędował. Przecież Niemcy chcieli pobić świat, prowadzili wojnę na paru frontach, przeto skwapliwie przyjmowali usługi sprzedawczyków różnych narodowości. Pan Klimek wiedział, że uruchomienie w jego przedsiębiorstwie produkcji zbrojeniowej wzmocni potencjał niemiecki, pomimo tego uruchomił takową, między innymi odlewając skorupy do granatów. Zdawał sobie sprawę że granaty zostaną użyte przeciwko jego rodakom, przeciwko ludziom, którzy walczą o wolność, chcąc zachować swoją niepodległość i tym co chcą wyzwolic się z pod jarzma hitlerowskiego. Dla niego jednak to wszystko nie miało znaczenia. Kolaborant zbijał majątek, rozbudowywał fabrykę. W roku 1943 dostałem polecenie zlikwidowania odlewni kolaboranta. Ze względu na silną ostawę udało mi się jedynie w czasie 1943-1945 przeprowadzić trzy sabotaże, które dały niewiele, bo w sumie 16 dni przestoju i parę tysięcy braków. Natomiast w roku 1944 dostałem polecenie zlikwidowania syna kolaboranta Karola Klimka, który przez Wojskowy Sąd

Specjalny został skazany na karę śmierci, za to że prowadząc z ojcem odlewnię obrał sobie dodatkową formę współpracy z okupantem i doniósł na gestapo, że na terenie sąsiedniej firmy przy ulicy Mogilskiej jest zakopana cysterna z bronią. Spowodował tym aresztowania właścicieli firmy braci Sypniewskich i Jakubowskiego. Sam zostając przez Niemców mianowany Treuchandlerem / zarządcą mianowanym przez Niemców/. Pewnego wieczoru przed godziną policyjną wyruszyła patrol dywersyjna złożona z trzech ludzi, mocno ściskając pistolety. Pomimo gestu krążących patroli policji niemieckiej dobrnelismy na Dębniaki. Wieczorną ciszę przerwały strzały macą spokój Generalnego Gubernatorstwa. Tym razem kula wprawdzie niemiecka, bo wyprodukowana przez nich, lecz wystrzelona przez bojowca zlikwidowała zdrajcę. Polska Podziemna jeszcze raz dowiodła, że bezkarnie nie można w ręce Gestapo oddawać polskich patriotów. Nieuchwytni dywersanci przepadli w mroku, ażeby nową akcją czy likwidacją dać znać, że Polska walczy o wolność i karze sprzedawczyków. Pogrzeb jego odbył się z wielką pompą przy udziale władz niemieckich, przedstawicieli N.S.D.A.P. Imponujące wieniec ozdobione swastykami, a wśród nich odbijający się wieniec od władz Generalnego Gubernatorstw świadczyły, jak bardzo Niemcy boleją nad utratą swego współpracownika.

Strona

111

### Znany dr. Dentysta – konfidentem Gestapo

*Eugeniusz Pietroń*

Ponury, deszczowy dzień. Jeden z tych dni, co to nawet psa szkoda wygonić na taką pogodę. Jest jesień w pełni, przecież to 11-ty październik. Przygotowuję pięciu ludzi, a w tym jedna dzielna dziewczyna "Kozaczek". Ona rozpracowała tryb życia Dr. P....., który dziś ma być zlikwidowany przez naszą komórkę Dywersyjną – Egzekucyjną. Akcja nie jest łatwa, ju z dwa razy usiłowały inne grupy dywersyjne wykonać wyrok na donosicielu, zanim powierzono mnie likwidację. Wiadomo, że na złodzieju czapka gore, tym bardziej na konfidentcie gestapo, a on jest

ostrożny, albowiem ostrzeżony nieudanymi zamachami. Zainstalowane dzwonki alarmowe urtudniają wykonanie zadania, okienko wychodzące z gabinetu na klatkę schodową, przez które Dr. P..... ma możliwość obserwowania każdego człowieka wchodzącego do poczekalni gabinetu, może ustrzec go, że wchodzi nieznanymi pacjentami. I może umknąć, ponieważ z gabinetu jest przejście do mieszkania. Są ostatnie chwile przed wyruszeniem na akcję. Każdy sprawdza pistolet gotowy do strzału, czy nabój tkwi w lufie. Przecież jest to rok 1944. na ulicach miasta gęste patrole niemieckie nie tylko legitymują, ale przeprowadzają rewizje osobiste. Samo dojście na odległe miejsce akcji stwarza poważne niebezpieczeństwo. Kraków – stolica G.G. naszpikowany jest różnymi formacjami policji i S.S. Cóż znaczy nasza grupa ludzi w porównaniu z potęgą niemiecką?

Nie można popełnić żadnej gafy, bo taka walka z przemocą hitlerowską, a stawką jest nasze życie. Wydaję ostatnie rozazy. Idziemy dwójkami za względu na własne bezpieczeństwo. Tym sposobem jedni ubezpieczają drugich. Po drodze mijamy dwa patrole szkopów, ocierając się o nich – trzecia mija nas po drugiej stronie ulicy. Dochodzimy do ulicy karmelickiej, gdzie pod Ermitażem wzmocniona patrol niemiecka rewiduje ludzi trzymając ich z rękami do podniesionymi góry. Jeden z moich ludzi nerwowo nie wytrzymuje i skręca w plauty. Wracam po niego, zawracamy i bez wstrząsów dochodzimy do bramy kamienicy, w której przeprowadzić mamy likwidację agenta Gestapo. "Kozaczek" i "Ren" idą do poczekalni zajmują tam miejsca jako pacjenci. "Pik" i "Sardynka" zostają w bramie na obstawie. Ja z "Orszą" wchodzimy przez poczekalnię do gabinetu, gdzie "Kozaczek" skinieniem głowy daje znać, że wszystko w porządku. W gabinecie na fotelu dentystycznym siedzi pacjent, wokół niego krzątają się dwie pracownice Dr. P..... w głębi pokoju za biurkiem siedzi nasz cel naszej wizyty. Podchodzę do biurka. Heiluję Dr. P..... wstaje podnosi rękę w górę, odpowiadając "Heil Hitler". Pyta po niemiecku o cel naszej wizyty. Oświadczam, że jestem z policji niemieckiej, podsuwając oryginalną legitymację pod nos doktora, dla udokumentowania prawdziwości moich słów. Pietroń ponownie zapytuje mnie, po niemiecku czego sobie życzę. Jest spokojny, policji niemieckiej nie obawia się. Chowając legitymację, lawiruję tak ażeby znaleźć się pomiędzy nim, a biurkiem, gdzie tkwi przycisk dzwonka alarmowego. Udaje mi się to. Błyskawicznie wyciągam pistolet ze słowami "Hande hoch Pietroń". Podnosi posłusznie ręce, na jego twarzy maluje się zdziwienie. Nie spodziewał się takiego potraktowania go przez policję niemiecką. W tym momencie "Ren" wszedł do gabinetu. Po jego opieką zostawiłem Piertronia pod ścianą z rękami podniesionymi, a sam biję siedzącego na fotelu dentystycznym Niemca w pysk, który na wezwanie "Orszy" Hande hoch drze się "ich bin auch Vonder Policai". Moje "holte Maul" poparte dwoma cisami podziało, bo zapanowała cisza. W tym momencie do gabinetu "Pik" przyprowadził służącą, którą złapał w bramie. Okazało się, że zbiegła kuchennymi drzwiami i chciała zaalarmować policję. Poleciałem "Pikowi" przejąć przyległe mieszkanie i wszystkich zamknąć w łazience. Do poczekalni ściągnąłem "Sardynkę" i wspólnie z "Kozaczkiem" terroryzujemy pacjentów w poczekalni, rewidujemy i z trudem zamykamy w łazience, tak dużą ilość ludzi / około 15 osób /. Rewiduję Niemca, który siedzi dalej na fotelu, tylko już ze związanyymi rękami. Nie znajduję broni, ani przy nim ani w jego płaszczu. Wyjęta legitymacja stwierdza, że jest urzędnikiem /Beamter/. Oprócz szkopa w gabinecie są jeszcze dwie pracownice, którym "Orsza" symbolicznie wiąże nogi. Dr.P..... wykańczamy w przyległym do gabinetu pokoju. Karząca ręka Polski Podziemnej dosięgnęła zdrajcę. Z organizmu społeczeństwa polskiego został usunięty jeden z tych, który dostarczał surowca III Rzeszy, na wyrób mydła i galanterii skórzaney, nie licząc ubocznej produkcji. Do bazy wróciliśmy szczęśliwie, mogąc na swym koncie jako grupa egzekucyjna Oporu Społecznego i Centralna Dywersja "Żelbetu" zapisać jedną pomyślnie wykonaną akcją. Na drugi dzień otrzymuję

szokującą wiadomość. Okazało się, że Niemiec, który dostał ode mnie po mordzie, to nie kto inny tylko sam Hamann, były szef Gestapo z Nowego Sącza / *Heirich Hamann* /. Plułem sobie w brodę, że wymknął mi się z rąk ten kat ludności polskiej, ale skąd mogłem przypuszczać, że Hamann chodzi na lewych papierach, w cywilu, z niewinną legitymacją i bez broni. Nie ma jednak tego co by na dobre nie wyszło . Po paru dniach wpadł w ręce Gestapo żołnierz z mojej dywersji – "Kruk". Aresztowany został w swoim mieszkaniu przy Placu Kleparskim. Gestapo znalazło przy nim pistolet, oraz rozkaz podpisany przezemnie. Wiedziałem, że Gestapo dobrze zna moje pseudo, bo na każdej akcji zostawiałem im swoją wizytówkę, dlatego też zdawałem sobie sprawę jak będą znęcać się nad "Krukiem" ażeby otrzymać od niego jakieś informacje. Dlatego też zostałem zaskoczony jak w dwa dni po aresztowaniu "Kruka" spotkałem go na mieście. Przeszliśmy obok siebie jak nieznajomi. Zorientowałem się, że tym razem zastosowali inną metodę. Wodzi go Gestapo po mieście by wskazał znajomych z dywersji. "Kruka" byłem pewny, że nie sygnie nikogo. Na drugi dzień w sile dwóch patroli wyszedłem na miasto, ażeby "Kruka" odbić, lecz już nie spotkaliśmy go. Dopiero na w parę dni później na punkt kontaktowy zgłosił się "Kruk" i tu zameldował mi, że Gestapo zobowiązało go, żeby mnie wydał, a przy tym zagroziło mu jeśli ucieknie i nie wywiąże się z nałożonego zobowiązania to – rozstrzela jego starych rodziców. Sytuacja była ciężka. Jasne było, że "Kruk" musi zniknąć z Krakowa i to jak najprędzej, ale co stanie się wówczas z jego rodzicami? Znałem szkopów i zdawałem sobie sprawę że rozstrzelają staruszków. Nie miałem złudzeń i wpadłem na pomysł. Wysłałem do Gestapo list tej treści" "Zawiadamiam, że żołnierz mojej dywersji K..... Antoni pseudo "Kruk" w dniu dzisiejszym został rozstrzelany, ponieważ zobowiązał się wydać mnie jako dowódcę dywersji -/-/ Halszka. Podstęp się udał, "Kruk" przeżył końcowe dni wtereni, a Gestapo nie ruszyło jego rodziców, bo przekonane było, że został rozstrzelany. Jak dowiedzieliśmy się potem "Kruk" zawdzięczał zwolnienie Hamannowi, który pamiętając nieudane spotkanie ze mną, za wszelką cenę chciał mnie dostać w swoje łapy. Hamann nie uniknął sprawiedliwości. Siedzi obecnie w Warszawie. Mnie pozostała satysfakcja, że e czasie strasliwego terroru i gwałtu stosowanego przez "nadludzi" szef Gestapo. Kat i morderca ludności polskiej, był bity w pysk przez bojowca Polski Podziemnej.

Strona

116

### Gryps z Montelupich przyspiesza likwidację

Był październik roku 1944. potęga hitlerowska, które w roku 1939 siłą armii pancernej i liczebną przewagą złamała bohaterski opór żołnierza polskiego okupując nasze ziemie – dziś po kłęsce po stalingradem cofała się na wszystkich frontach bezładnie do tyłu jak bestia z przestrażonym kręgosłupem. Niczym nie przypominając hasła sprzed paru tygodni, a głoszonych przez 5 lat – "Deutschland Siegt an allen fronten". Armia radziecka parła do naprzód a przy jej boku żołnierz polski miał możliwość odegrać się na zniechęconym wrogu za wrzesień 1939, za Westerplatte, Warszawę, za popełnione zbrodnie na okupowanych terenach, śmierć i męczarnię setek tysięcy ludzi, których reżim hitlerowski wykończył w swoich obozach i kaźniach. Jasnym już wtenczas było, że "nadludzie" przestali panować nad europą – że dzień wyzwolenia bliski. Zazdrościliśmy tym wszystkim, którzy zamieszkiwali tereny już wyzwolone, przeciesz oni byli już poza zasięgiem hitlerowskiego terroru – perfidnych zbrodni. Nad Krakowem unosił się coraz częściej swąd pochodzący z obozu w Płaszowie, gdzie Niemcy masowo palili zwłoki pomordowanych

wcześniej ofiar, oblewając je benzyną. W ten sposób okupant usuwał i usiłował maskować ślady popełnionych zbrodni na naszym terenie. Z zaciętością ranionego gada chcieli Niemcy zniszczyć wszystko co polskie stosując coraz większy terror. Jako dowódca komórki egzekutywy "Oporu Społecznego" i Centralnej Dywersji "Żelbetu" roboty miałem bardzo wiele. Musieliśmy obstawiać transporty, które coraz częściej szły do naszych oddziałów partyzanckich w pow. Mysłenickim. Przeprowadzaliśmy akcje dywersyjne zdobywając broń, odzież i żywność. Likwidowaliśmy konfidentów i agentów Gestapo. Każda akcja była coraz trudniejsza do wykonania, bo Kraków jako stolica G.G. Coraz więcej był naszpilkowany różnymi formacjami S.S. I policji, likwidacja konfidentów i agentów była utrudniona, bo ci stali się bardzo ostrożni, zmienili swe miejsca zamieszkania lub grupowo zamieszkiwali, chcąc uniknąć karzącej reki Polski Podziemnej, jak to zrobili znani agenci Gestapo u nas – Diamant Ferster, Apel – zamieszkając przy ul. Sławkowskiej 6. w tym czasie od dowódcy "Żelbetu" "Kordian" – dostałem ponaglenie wykonania wyroku na dawno już zawyrokanego agenta "Gestapo" – Mariana Jodłowskiego. Był to agent, który miał ścisły kontakt z grupą Diamanta. Ponaglenie wykonania wyroku nastąpiło ze względu na przejęty gryps z więzienia na Montelupich od naszego oficera broni Juliana Dzierżymierskiego, który donosił, że bezpośrednim sprawcą jego aresztowania i paru ludzi jest właśnie Jodłowski. Gestapo konfrontowało go z Jodłowskim na Pomorskiej i ten oskarżał go o handel bronią, czego naturalnie Dzierżymierski się wyparł. Planując likwidację poleciłem "Zbychowi", "Orszy" i "Lili" obserwację rozpracować tryb życia sprzedawczyka. Po trzech dniach zameldowano mi, że podane swego czasu mnie informacje przez oficera wywiadu "Sprężynę" są ścisłe. To znaczy, że Jodłowski wychodzi o godzinie 7-jej rano z domu jadąc do gmachu Gestapo przy ul. Pomorskiej – przebywa często przy ul. Sławkowskiej Nr. 6 gdzie gapo ma swoją melinę, mieszka przy ul. Orzeszkowej Nr. 6 chodzi uzbrojony i częstotowarzyszy mu duży pies wilk.

Za najdogodniejsze miejsce do likwidacji uznałem odcinek drogi od jego miejsca zamieszkania do przystanku tramwajowego przy ul. Krakowskiej. Likwidację wyznaczyłem na dzień 14-go października, w której miało wziąć udział 4-ch ludzi plus łączniczka "Jola". Czas zbiórki minął, a w bazie zameldował się dotychczas tylko "Orsza" i "Jola". Mijały minuty pełne napięcia – nieuchronnie zbliżała się ostatnia chwila wyjścia na akcję – a chłopców nie było. Co mogło im się przydarzyć? Nie było chwili do zastanowienia. Nastąpił moment, w którym trzeba było podjąć ostateczną decyzję – albo odroczyć likwidację, względnie podjąć się likwidacji w tak małym gronie, co było dużym ryzykiem. Na moje pytanie "Orsza" – czy idziemy robić? Otrzymałem odpowiedź – z panem na Him el Komando. Po otrzymaniu takiej odpowiedzi zdecydowałem. Idziemy. Dwa szczęknięcia żelaza przerwały ciszę. Pistolety zostały zarepetowane. Do kieszeni po jednym jajku, dwa następne granaty "Jola" chowa w torebce, wychodzimy. Chłodny ranek październikowy. W drodze ustalam plan akcji, który ze względu na nie stawienie się trzech ludzi musi ulec zmianie. "Orsza" z "Jolą" staje na chodniku przy ulicy Dietla przed rogiem ulicy Augustiańskiej – ja lokuję się za kioskiem Róg Dietla-Augustiańskiej – udając zaczytanego w obwieszzeniach. Mijają minuty wyczekiwania. Z chwilą, gdy Jodłowski ukaże się z za rogu ul. Orzeszkowej "Jola" poprawieniem włosów da mi znać. Pomimo zachartowania i praktyki, mając poza sobą lata walki, koło serca robi się jakoś dziwnie. Nie odczuwam lęku, a jednak nerwy są napięte do stateczności, poczuciem bezpieczeństwa jest uciskający pistolet za paskiem u spodni i ten drugi w prawej kieszeni, którego delikatnie głaszczę bawiąc się bezpiecznikiem. "Orsza" rozmawia z "Jolą" na chodniku, trzymając rękę na pistolecie tkwiącym na brzuchu. Patrząc parokrotnie na zegarek, pomimo posuwającego się sekundnika wydaje się że stoi. Mijają minuty wyczekiwania. Jest "Jola" poprawia włosy. Idzie. Nastąpiła chwila decydująca. Jest diabelnie ostrożny. Parenaście metrów przed "Orszą" schodzi z chodnika

na jezdnię, trzymając prawą rękę w kieszeni. Mijając ich odwraca głowę nie spuszcza z nich oka. Zdaje sobie sprawę, że w tej sytuacji "Orsza" nie może wyciągnąć pistoletu. Wyskakuję z za kiosku z pistoletem w ręku. Ułamek sekundy decyduje. Zdrajca słysząc hałas odwraca głowę w moją stronę – "Orsza" strzela. Po prawej stronie w odległości 50-ciu metrów widzę trzech żołnierzy niemieckich, którzy z ulicy Krakowskiej idą w naszą stronę. Podbiegam parę kroków w ich kierunku, strzelając z pistoletu. Uciekają w popłochu. O to mi chodziło. Zawracam. "Orsza" już wszedł z "Jolą" w ul. Augustyńską. Planowo wycofuję się. Chowam pistolety. Wyciągam zawleczkę z granatu, trzymając łyżkę w rozdygotanej dłoni. Na ulicy Paulińskiej za rogiem "Orsza" czeka we wnęce bramy. "Jola" jest przedziesiąt metrów w przodzie. Wolno wycofujemy się. Sprawiedliwości stało się zadość. Do bazy wracamy cali. Założenie na miejscu zawleczki do granaty trwa chwilę bo ręka się trzęsie. Zrzucam marynarkę. Wypalenie papierosa uspokaja. Krótki meldunek o wykonaniu wyroku daje poczucie spełnionego obowiązku, że nie można bezkarnie zdradzać narodu. Trzech chłopców nie zameldowało się w tym dniu na akcję ze względu na duże nasilenie łapanek, które Niemcy w dniu przeprowadzali od godziny 6-tej rano.

strona

120

### Więcej ziarna w polskich chatach

---

Mglisty październikowy ranek. Na dworze zaledwie szarzeje. Pomimo tego w jednym z oddziałów partyzanckich "Żelbetu" – Opart III panuje niebywały ruch jak na tak wczesną porę. Oddział ten ma za sobą piękną kartę walki z okupantem, a ludzie zaprawieni w akcji. Jest to dawny oddział kierownictwa oporu społecznego, który wyruszył z Krakowa w teren rok temu, gro chłopaków to stare wygi – partyzanci w każdym calu. Przeszli nie jeden chrzest ogniowy w potyczkach z Niemcami. To też odprawa na akcje poszczególnych patroli idzie szybko i sprawnie. Każdy dowódca patrolu melduje d-cy oddziału gotowość do wyjścia – otrzymuje rozkaz, miejsca i godziny obstawienia jednej z dróg i polecenie zatrzymania i odstawienia na punkt chłopskich furmanek, które w dniu dzisiejszym wiozą zboże by odstawić Niemcom wyznaczony kontyngent. Akcja zakrojona na szeroką skalę. Przeprowadzenie jej bardzo śmiało i ryzykownie ze względu na to, że nie dysponujemy zmotoryzowanymi środkami transportu. Zdajemy sobie sprawę, że samo wykonanie to znaczy zbranie tych furmanek i sprowadzenie ich na punkt zborny w lesie potrwa kilka godzin, a odskoczenie od miejsca akcji drugie tyle. Pomimo tego, że zdajemy sobie sprawę, że akcja ta będzie prowadzona wbrew zasadom partyzanckim, które głoszą szybko wykonać, jeszcze szybciej odskoczyć / wycofać się /- przeprowadzamy z całą premedytacją. Tym więcej będzie szkopów krew zalewa na bezczelność poliniszce bandit – bo takim mianem darzą polskich partyzantów. Nie nadarmo w całym powiecie myślenickim przy szosach umieszcili okupant tablice ostrzegawcze z napisem "Achtung banditen". W powiecie tym prócz naszych czterech oddziałów partyzanckich "Żelbetu" są oddziały terenowe, jest duży oddział "Odweta". W terenie tym oddziały nekają stałymi akcjami okupanta. Szosy obstawione. Po dwu godzinnym nerwowym oczekiwaniu na ustalony punkt zwózki podjeżdżają pierwsze furmanki załadowane workami ze zbożem. Wyładowuje się od razu segregując na trzy kupy – pszenica, żyto, owies. Z godziny na godzinę rosna sterty worków. Jest już godzina 10.00 rano. Chłopi otrzymują pokwitowania zarekwirowania zboża przez oddział Armii Krajowej. Każdy z chłopów prosi ażeby mu dać ziarno, którego w chałupie brakuje, ponieważ okupant wyznaczył zbyt wysokie kontyngenty. Każdy z nich otrzymuje coś zboża i ojeżdża zadowolony. Przed władzami wykaże



się kwitem, że wyznaczony kontyngent wiózł i zabrali partyzanci. Do chałupy zaś przywiezie część zborza spowrotem i nie będzie biedy w domu. Partyzanci są hoini, przeważnie 1/3 tego co wiózł każą chłopu zabrać spowrotem. Na własne podwozy ładujemy pszenicę, która jedzie do młyna by oddziały miały pod dostatkiem chleba. Zabieramy też parę fur owsa, który zostanie ukryty na naszych punktach dla wyżywienia naszych koni. Około godziny 12-tej podjeżdżają puste furmanki to okoliczni chłopci dowiedzieli się, że partyzanci oddają zboże i każdy z nich chce coś dostać. Ponieważ zboża jest jeszcze duża sarta w zależności od zamożności rozdaje się je. Decyduje tutaj Lubończyk – ile komu dać. Jest miejscowy, zna wszystkich ludzi doskonale. Wie kto biedny i zasługuje na naszą pomoc. Obdarowani rozplývają się w podziękowaniach, niektórzy z nich przyjechali z małymi dziećmi, by pokazać ile rabiaty mają do wyżywienia. Trzeba przyznać, że widok dzieci działa na psychikę partyzantów. Miekną woskowate i dobre serca tych twardych ludzi, gdzie dużo dziatwy, chłopcy dorzucają na furmankę jeden czy dwa worki zboża z własnej inicjatywy, ponad wyznaczoną normę przez Lubończyka. Panuje przyjemny nastrój. Partyzanci dziś obdarowują. Spełniają rolę Świętego Mikołaja. Polana lasu pustoszeje. Słońce już nisko. Godzina piętnasta z minutami. Konni gońcy rozjeżdżają się z rozkazem do patroli ustawionych na szosach. Koniec akcji. Zameldować się na miejscu postoju oddziału. Znikły sterty worków, odjeżdżają ostatnie furmanki. Pobieźnie obliczamy ilość zabranego Niemcom zboża. Jest tego sporo 10 ton zrekwirowaliśmy na swoje potrzeby. Przeszło 30 ton zostało rozdane. Doliczając zarekwirowany owies dla koni – około pięćdziesięciu ton zboża nie do niemieckich magazynów. Z naszej pomocy skorzystało około osiemdziesięciu chłopów. W chatach tych nie będzie głodu. Na przeciąg parudziesięciu dni zaopatrzone są nasze oddziały w mąkę. Jest to bilans dnia dzisiejszego. Na krótkim biwaku, który rozbijamy, ponieważ ja z "Orszą", "**Pikiem**", "Parą" wracam do Krakowa, a "Waga", który jest dowódcą oddziału musi dołączyć do niego z ludźmi w których jest asyście cieszymy się z dziś przeprowadzonej akcji. Mamy pełne poczucie satysfakcji, że dwadzieścia kilometrów od Krakowa, od stolicy Generalnego Gubernatorstwa, prowadzą akcję przez około dziesięć godzin Niemcy nie odważyli się nas zaatakować. Przecież jasne jest, że z chwilą gdy na punkt dostawy kontyngentu nie przyjechały furmanki zorientowali się, że my je rekwirujemy, poza tym napewno zostali poinformowani co dzieje się na drogach, bo w czasie trwania akcji na drodze sieprawskiej przejeżdżało auto z żandarmerią niemiecką, która jednak nie miała odwagi zaatakować naszych patroli i widząc je zawróciła. "Waga" jutro czy pojutrze nową akcją w terenie da znać Niemcom o swojej bytności, natomiast wracamy do Krakowa by w srecu Generalnego Gubernatorstwa prowadzić dalej dywersję i egzekutywę uziemiając tych, którzy się najwięcej dają się we znaki mieszkańcom naszego miasta. *Pogoda* niesie nas do domu. "Orsza" głośno wyraża swoje uznanie. Podoba mu się teren, podoba mu się oddział. Nie dziwię mu się. W terenie wróg jest widoczny z daleka nie to co w mieście. Na każdym kroku, za każdym rogiem ocieramy się o Niemców. W mieście jest więcej nerwowa praca, nie można przewidzieć kiedy dojdzie do starcia. No ale cóż i w mieście trzeba prowadzić robotę.

strona

124

### Cjanek potasu

Z końcem sierpnia 1944 roku zostałem wezwany do dowódcy VI Dywizji pułkownika

"Odwetu", który oświadczył mi, że chce mi powierzyć likwidację pewnego gościa, a która to likwidacja musi być zrobiona bardzo delikatnie, bo za niego mogły by być duże represje. Człowiek ten pochodzi z inteligencji Krakowa - tłumaczył mi "Odwet" profesor rzeźbiarz, obracający się w tych sferach, między innymi wydał Gestapo paru ludzi z kurii biskupiej. Obracając się w środowisku inteligentkim jest bardzo niebezpiecznym donosicielem. Na moje oświadczenie, że będę starał się rozpracować go i wykonać likwidację jak najprędzej "Odwet" podał mi, że chodzi tu o profesora Bieleckiego zamieszkałego w Krakowie przy ulicy Odrowąża Nr. 20. Idąc ulicami Krakowa zastanawiałem się jak rozpracować, by sprawnie przeprowadzić likwidację. Za parę dni, a było to z początkiem września do mieszkania, gdzie ukrywałem się przyszedł "Zygmunt" – brat mego zastępcy, również żołnierz dywersji i powiada – Jasiu zejdź na dół do ogrodu do Kazka / również człowiek z konspiracji / przyszedł dawny jego kolega i opowiada pierwszorzędną kawałkę o Niemcach. Zejdź a posłuchasz, bo warto. Zachęcony takimi słowami "Zygmunta" poszedłem do ogrodu. Przyznam się, że mimo tego że byłem odporny i bardzo opanowany nerwowo serce uciekło mi do gardła, gdy Kazek przedstawiając nas wymienił nazwisko swego gościa. Okazało się bowiem, że padło nazwisko które przesładowało mnie od pamiętnej rozmowy z "Odwetem". Znajomy Kazka nazywał się – Bielecki. Usiadłem i nawet w pierwszej chwili słyszałem, co się mówi, tak byłem zaszokowany tą wiadomością. Po paru minutach, kiedy opanowawszy się mogłem brać udział w rozmowie, przy nadarzającej się okazji – zapytałem go gdzie mieszka. Odpowiedź – Odrowąża Nr. 20 upewniła mnie, że tak bardzo poszukiwana przeze mnie okazja spotkania Bieleckiego – wpadła mi w ręce. Trzeba było działać. Odwołałem Kazka na bok i powiadomiłem go, że ten człowiek jest agentem Gestapo. Nie może stąd wyjść, jak na pół godziny wychodzę, ty musisz go zatrzymać do mojego powrotu za wszelką cenę i odpowiadasz mi za to głową. W czasie tej pół godziny chciałem zawiadomić "Odweta", że Bielecki wpadł mi w ręce i można by go nawet przed wykończeniem przesłuchać, oraz chciałem dobrać do siebie dwóch ludzi. "Odwet" został zawiadomiony i odpowiedział, że za półgodziny będzie u mnie. Dotychczas sprawa wyglądała tak, że dzika bestia znajduje się w klatce i wystarczy tylko zamknąć drzwi, by udaremnić mu dalsze zbrodnie. Ale okazało się, że przewidywania moje były przedwczesne. Zanim powróciłem dzikiego zwierzęcia nie było już w klatce. Bielecki najspokojniej odszedł, nie zatrzymywany przez nikogo. Kazek, mimo że był żołnierzem podziemia – rozkazu mego nie wykonał. Co gorsza pan profesor odszedł z pewnymi nowymi informacjami, bo błyskawiczne przesłuchanie Zygmunta – stwierdziło że Kazek nie omieszkał zaraz na początku, przed ostrzeżeniem go przezemnie- pochwalić się przed dobrym jak sądził znajomym, że czyta gazetki prasy podziemnej, oraz słucha radia zagranicznego. Wezwany przezemnie Kazek potwierdził słowa Zygmunta, tłumacząc się że Bieleckiego zna od przed wojny jako profesora i starego legionistę i nigdy nie przypuszczał, żeby do takiego człowieka nie mieć zaufania. A dlaczego mimo mego zakazu wypuściłeś go? Zapytałem. Tłumaczył to tym, że po moim odejściu rozmowa się nie kleiła i nie wiedział jak go ma zatrzymać. Nie masz żadnego tłumaczenia – oświadczyłem i zacząłem się zastanawiać, co zrobić ażeby wiadomości jakie zabrał Bielecki nie zostały przekazane do Gestapo. Sytuacja była bardzo poważna, pomijając już to, że bezpośredni był zagrożony Kazek, który był kawalerem i mógł zniknąć na parę dni, unikając w ten sposób rezultatów swego gadukstwa, ale przecież w kamienicy tej, nie tylko że ja się ukrywałem w swego zastępcy, który mieszkał wraz z rodziną, ale ponadto w mieszkaniu tym była baza dywersji "Żelbetu", której byłem dowódcą i jako kierownik Egzekutywy Oporu Społecznego miałem kontakty ze wszystkimi władzami cywilnymi. Zagrożenie było poważne. W tym momencie, jak myślałem jak zapobiec wsypie na całość, wszedła pułkownik "Owed". Kiedy dowiedział się co się stało i jakie może pociągnąć

skutki za sobą zwrucił się do Kazka "Czy wy jesteście żołnierzem. Tak jest – Czy wiecie że "Halszka" jest dowódcą? Tak jest panie pułkowniku. Czy "Halszka" dał wam rozkaz zatrzymania Bieleckiego i mówił wam, że jest to agent Gestapo? Tak jest. Tak jest. I wyście tego rozkazy nie wykonali? Tak jest – padła kolejna odpowiedź Kazka. Mało żeście nie wykonali rozkazu, ale jeszcze natraziliście nie tylko siebie, ale bazę dywersji na likwidację przez Gestapo. Ja nie chciałem – zaczął tłumaczyć się Kazek. Nie mówcie – przerwał "Odwet" – za nie wykonanie rozkazu w czasie wojny żołnierzowi grozi kara śmierci – powiedział. I z tymi słowami wyszedł do drugiego pokoju zabierając mnie ze sobą, co ty teraz zrobisz "Halszka" zwrócił się do mnie. Przedewszystkiem ewakuuję wszystkich domowników – panie pułkowniku. Poza tym zbiorę swoich ludzi. Którzy znają moje miejsce postoju i jak Gestapo przyjdzie dam im solidny wycisk i drogo sprzedam im to mieszkanie. Bo nigdy nie będą się spodziewali takiej siły ognia w jednym mieszkaniu. Skrzynkę granatów mam pod łóżkiem. Wezmę sześciu ludzi, ściągnę wszystkie automaty. Będziemy mieli po dwa pistolety i w razie jak przyjdą – wykropię wszystkich. Poza tym będę się starała jeszcze dzisiaj kropnąć Bieleckiego, żeby żadnych informacji nie zdążył przekazać. No życzę powodzenia "Halszka" a uważaj na siebie – powiedziała "Odwet" pożegnał się wyszedł. Wszedłem do drugiego pokoju, gdzie znajdował się nieszczęsny "Kazek" wraz z "Zygmuntem" i przybyłymi "Zbychem" oraz "Orszą". Wszyscy mieli grobowe miny. Kiedy wszedłem "Orsza" spytał. Kiedy go uziemiemy? - wskazując na Kazka. Trzeba będzie to zrobić odparłem całkiem poważnie, chociaż śmiać mi się chciało, patrząc na przestraszoną bladą twarz delikwenta. Czy mielibyście sumienie mnie kropnąć? spytał Kazek. Po co cię kropnąć, jak można z powodzeniem cię udusić, oszczędzając kuli – powiedział "Orsza". I w tym momencie podszedł do Kazka, oglądając mu szyję – stwierdził fachowo że trzeba go będzie robić dwójką. Było to fachowe określenie zakładania pętli. Zacząłem straszyć Kazka, że nie ma dla niego ratunku w tym momencie "Zbych" wziął mnie do drugiego pokoju i zapytał, co naprawdę mam zamiar robić. Muszę go nastraszyć, żeby wiedział, że to nie żarty, a wtedy jakimś cudem ściągnie Bieleckiego. A co będzie, jeżeli Bielecki już przekazał wiadomości Gestapo – spytał "Zbych". Właśnie z tym się musimy liczyć i dlatego powiedz mamusi, żeby spakowała się razem z cysią muszą aż do wyjaśnienia sprawy opuścić mieszkanie. Jeżeli chodzi o nas to my też dziś nie będziemy tu spali jeżeli do godziny policyjnej nie dostaniemy w ręce Bieleckiego, natychmiast jutro zrobimy tu kocioł na Gestapo. Będzie to numer nie z tej ziemi. Raz się oszukają, a dobrze, tylko wówczas wszyscy będziecie musieli się ukrywać, aż do końca wojny, lecz innej rady niema, bo w mieszkaniu jest tyle rzeczy pochowanych po kontach, że my nie jesteśmy w stanie wszystkich obszukać. No a co z Kazkiem – ponowił pytanie "Zbych". Zobaczymy odparłem i wruciłem do pokoju, gdzie siedział delikwent z "Zygmuntem" i "Orszą". Kazek – rzekłem jedyny twój ratunek, to sprowadzić pod jakimkolwiek pozorem tutaj Bieleckiego, względnie tak go wyprowadzić z domu żeby go można było kropnąć. Jeżeli go kropnę – to ci przebaczę, ale musisz działać bo teraz chodzi o twoją głowę. Zrobię wszystko co pan każe – odpowiedział Kazek. Wtedy przedłożyłem swój plan: pójdziesz z "Orszą" do Bieleckiego, jeżeli go zastaniecie, to przyprowadźcie go tutaj. Jeżeli go nie będzie w domu, to zostawisz mu kartkę ażeby w bardzo pilnej sprawie był u ciebie jutro rano. Tu zrobiłem teatralny gest – wyciągnąłem z kieszeni Waltera i dałem go ostentacyjnie "Orszy", mówiąc że gdyby Kazek nie chciał wykonać rozkazu i robił jakieś rzeczy na ulicy – strzel mu w łeb. Z chwilą gdy wychodzili odwołałem "Orszę" na bok. Odebrałem pistolet, bo nie chciałem chłopaka narażać by sam płatał się mieście z bronią. Poszli nastąpiły chwile nerwowego wyczekiwania. W międzyczasie poleciłem "Zbychowi" zawiadomić "Pika", "Rena" i "Józka" ażeby jutro rano zameldowali się u mnie, z tym że nie wiadomo jak długo akcja potrwa, gdyż nie miałem zamiaru puścić ich do domu przed wyjaśnieniem sytuacji – to znaczy, że albo uziemiemy Bieleckiego i wówczas będzie spokój i cisza,

albo drogo sprzedamy swoją kwaterę. Wreszcie słyszymy kroki na schodach, wracają. Bieleckiego nie było w domu. Kazek jednak w myśl polecenia zostawił kartkę, umawiając się z nim u siebie w domu na godzinę dziesiątą. Zbliżała się godzina policyjna. Wprawdzie dysponowałem lewą przepustką nocną, ale po policyjnej godzinie bez ważnej przyczyny nie płać się po mieście z bronią, przynaglałem ewakuację domowników. Postanowiliśmy spędzić noc u krewnych matki "Zbycha" w Podgórzu. Zamukając drzwi mieszkania nie wiedziałem co przyniesie jutro. Po nie spokojnie przespanej nocy zaraz rano poszedłem na ulicę Bernardńską ściskając mocniej Waltera – ostrożnie podchodziłem pod dom. Odetchnąłem z ulgą, kiedy w bramie zobaczyłem "Zbycha", "Orszę" i "Rena". Weszliśmy do mieszkania. Za chwilę nadeszli "**Pik**", "Zygmunt" i "Bolek". Wyciągnąłem z pod łóżka granaty. Nasze polskie popularnie zwane jajka, i parę niemieckich granatów zaczepnych. Rozdałem pistolety automatyczne, wyznaczyłem stanowiska dla każdego, wydałem polecenia strzelania tylko na wyraźny mój rozkaz bo chciałem Niemców ściągnąć na ganek i klatkę schodową i tam zrobić z nich jatkę. Po ustaleniu czynności posłałem "Zbycha" na dół do "Kazka". Okazało się jednak, że Kazka w domu nie ma. Zdziwiony, gdzie mógł wyjść o tak wczesnej porze, bo było dopiero po siudmej godzinie rano, oczekiwałem w takim zespole na dalszy przebieg wypadków. Przez cały czas jeden z nas siedział w oknie, obserwując wejście do kamienicy i drzwi mieszkania Kazka. Tak zeszło do godziny dziesiątej, kiedy to obserwator zameldował mi, że jakis mężczyzna, który przyjechał na rowerze puka do mieszkania Kazka. Natychmiast zbiegłem na dół. Okazało się, że mężczyzną tym jest we własnej osobie Bielecki. Spotkałem go, jak wracał od drzwi mieszkania Kazka nie zastawszy go w domu. Dzień dobry powiedziałem – witając się z nim i zaraz oświadczyłem, że Kazka nie ma w domu, bo poszedł na nasłuch krótkofalowy i szybko dodałem. Zapewnie orientuje się pan, że to chłopak z konspiracji, jeżeli pan chce to pójdziemy do niego tam gdzie jest krótkofalówka. Starałem się mówić to jak najspokojniej, mimo że byłem bardzo zdenerwowany była to z mojej strony "va banque", bo chciałem Bieleckiego zaciągnąć na melinę, do warsztatu "**Pika**", gdzie po podłogę był cementarzyk jemu podobnych. Bardzo chętnie pójść odparł Bielecki i chciał brać rower, na to ja powiedziałem, żeby rower dał na podwórze, a ja skoczę i powiem w domu żeby go pilnowano. Wyszedłem na górę, ale tylko po to żeby wysłać na melinę "Orszę" i "**Pika**". Sam zbiegłem pierwszy nawiązując z Bieleckim rozmowę, powoli skierowaliśmy się na ulicę Powiśle. Szliśmy wałami Wisły po Wawelem. Bielecki był podekcytowany wiadomościami, jakimi go karmiłem. Celowo podawałem mu rozmaite wiadomości o dywersji, tajnych audycjach, zbrojeniach. Widziałem jak chętnie wchłaniał. Byłem już zupełnie spokojny, albowiem Bieleckiego wykreśliłem z grona żyjących. W dłoni sciskałem Waltera i byłem pewny, że tym razem już mi się nie wymknie. W drodze spostrzegłem jak "Orsza" z "**Pikiem**" wyminieli nas szybkim krokiem. Tak doszliśmy na miejsce. Zapukałem umówionym sygnałem. Drzwi otworzył "**Pik**", pierwszego wpuściłem Bieleckiego, wchodząc za nim skrzętnie zamknąłem drzwi na klucz. Musiałem dbać o to by akcja odbyła się w ciszy, albowiem za ścianą były warsztaty jednostki wojskowej Luftwaffe. Po wejściu Bielecki zmieszał się. Stracił pewność siebie na widok osobliwego pomieszczenia. Rzeczywiście niecodzienny był to widok dla konfidenta Gestapo. W samym sercu miasta, za ścianą wojskowa jednostka niemiecka, a tu przy palącej się żarówce elektrycznej na stole stoi radioaparat. Na ścianach broń. Gdzie Kazek – zapytał bielecki nerwowym głosem. Siadaj pan odpowiedziałem – pogadamy Bielecki z początku wypierał się nie tylko donosicielstwa, ale nawet jakiegokolwiek kontaktu z Niemcami, tłumacząc się że jest oficerem Legionów, dobrym patriotą i nie wie na jakiej podstawie możemy go o cokolwiek podejrzewać. Do piero po moich słowach – panie Bielecki – wszystkie tłumaczenia i wypieranie się donosicielstwa życia panu nie uratuje, nawet gdyby pan był niewinny żywy pan stąd wyjść nie może bo nie mamy do pana zaufania. Wtedy Bielecki załamał się i zaczął

zeznawać. Do maszyny do pisania usiadł "Sprężyna", który skrzętnie notował zeznania Bieleckiego. Bielecki przyznał się, że zaczął pracować dla gestapo jako tłumacz języka rosyjskiego, a ponieważ Gestapo naciskało na niego wiedząc że ma kontakty z ludźmi z inteligencji zgodził się pracować dla nich jako agent, za co Niemcy wynagradzali go pieniędzmi, oraz podpisał Volks listę. W czasie przesłuchania zapytałem, czy wczorajsze informacje zostały przekazane Niemcom, zaprzeczył temu – tłumacząc zbyt krótkim czasem. Po podpisaniu swoich zeznań wypił podany mu cianek potasu. Pomimo tego, że wierzyłem że w godzinie śmierci powiedział prawdę i nie przekazał wiadomości zdobytych u Kazka gestapo – dywersja trzymała kocioł jeszcze dwa dni w mym mieszkaniu. Po dwóch dniach wszystko wróciło do normalnego życia. Jedną rzecz mnie niepokoiła – to tajemnicze zniknięcie Kazka, które trwało już parę dni. Zniknięcie to wyświetliło się wesołym epilogiem w dniu 9-go września. Dowódca VII Komarii z Piasków Wielkich "Konrad" zaawizował mi, że u kierownika szkoły w stwa. No i co teraz Wrząsowicach czy też Swoszowicach – dziś sobie już nie przypominam – jest gość, który musi ukrywać się przed Niemcami i chce pójść do oddziału partyzanckiego. Powinien go pan znać mówił "Konrad" bo mieszkał w tej samej kamienicy co pan – wymienił mi nazwisko Kazka. Oswiadczyłem "Konradowi" że przyjdę na miejsce by pogadać z tym gościem zabraniając mu podać mojego pseudonimu. I tak na umówioną godzinę wraz z "Orszą" przybyliśmy do kierownika szkoły. Poprosiłem ażeby przyprowadził mi tego gościa, który chcąc iść do partyzantki. Nie da się opisać, jak głupią minę zrobił Kazek, gdy po wejściu do pokoju zobaczył mnie z "Orszą", który bawiąc się kręcąc pistolet na karku – spytał go – daleko uciekłeś? Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Stał jak skamieniały, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. No i co teraz będzie? Spytałem. Do partyzantki ci się zachciało? Nadal panowała grobowa cisza. W końcu żal mi się zrobiło chłopaka i powiedziałem – no do partyzantki już nie musisz iść bo Bielecki już dawno uziemiony. Wracaj do domu. Wtedy dopiero Kazek odzyskał władzę w nogach, usiadł i zaczął wypytywać o szczegóły. I tak zamiast oddziału partyzanckiego – Kazek wrócił do domu z nami do dnia dzisiejszego cieszy się dobrym zdrowiem, nie zniszczonym w oddziałach partyzanckich, będąc profesorem na jednej z wyższych uczelni w polsce.

strona

133

### Skrzynka Kierownictwa Oporu Społecznego zagrożona

w październiku 1943 roku dostałem wiadomość, która poruszyła mnie do głębi. Skrzynka Kierownictwa Oporu społecznego przy ul. Gockiej Nr. 6 rozkspirowana. Taka wiadomość mogła przerazić nawet nas – ludzi obytych z niebezpieczeństwami. Przecież na Grodzkiej po Nr. 6 na pierwszym piętrze w pracowni krawieckiej jest główny punkt kontaktowy Kierownika oporu społecznego "Sochy". Tu zbiegają się wszystkie nici i powiązania ze stronnictwami politycznymi. W tym punkcie koncentrują się kontakty na powiaty w całym województwie. Stąd idą w teren całe paki bibuły, tu też jest główny punkt przyjęcia prasy konspiracyjnej przychodzącej z Warszawy. Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia na podstawie otrzymanych wiadomości ustaliliśmy co następuje. W kamienicy tej prócz wymienionego punktu kontaktowego była ustalona skrytka, która mieściła się pod schodami. Ze skrytki tej wtajemniczeni łącznicy o pewnych określonych porach dnia zabierali prasę konspiracyjną i rozkazy. Paczki zaopatrzone były kryptonimami, tak że każdy łącznik zabierał swoją przesyłkę. Dzisiaj rano jeden z łączników chcąc pobrać codzienną pocztę ze skrytki zauważył, że przy

skrytce stoi jakaś kobiet i przegląda jej zawartość. Usalono, że tą kobitą jest dozorczyńni tej kamienicy, która sprzątając natrafiła na zamaskowaną naszą skrytkę. Sytuacja była nie wesoła. Przecież trzeba się liczyć ze wszystkimi ewentualnościami. Jeżeli dozorczyńni ujawni swoje odkrycie policji narazi wielu ludzi na niebezpieczeństwo aresztowania. Pomimo tego, że nawet obstawiamy kamienicę z obu stron ulicy, nie wiadomo czy uda się nam spostrzec kazdego i w porę go ostrzec, że skrytka nakryta. Była by to żmudna i bardzo niebezpieczna robota ze względu na ruchliwość tej okolicy. Poza tym trzeba było zlikwidować punkt kontaktowy na I piętrze, bo w razie ujawnienia skrytki Gestapo w pierwszym rzędzie zainteresuje się lokatorami i przeprowadzając rewizję znajdzie masę kompromitujących materiałów na tym punkcie. Debując nad tym co robić w tej sytuacji doszliśmy do wniosku, że jeszcze dzisiaj w przebraniu policji niemieckiej musimy odwiedzić dozorczyńni i rozmawiając z nią, krążąc wokół tematu pracy konspiracyjnej zorientujemy się czy ona sypnie. Jeśli sypnie – trzeba ją będzie natychmiast zlikwidować. Przecież było zagrożone życie parunastu bojowców kontaktujących się na tym punkcie, a ich kontakty rozciągały się na dziesiątki innych ludzi. Z poczuciem obowiązku lecz bez entuzjazmu wyjąłem ze szkrzynki pistolety dla "Zbycha", "Rena" i "Orszy", którzy mieli mi towarzyszyć w tej akcji. Zadanie nie było przyjemne. Byłem zły. Na akcję tą szedłem bez zwykłego zacięcia, które odarniało mnie z chwilą postanowienia wykonania czegoś. Zdawałem sobie sprawę, że idę do człowieka, który przypadkowo odkrył coś, że nie jest to konfidentka i denuncjatorka zawodowa. Ale osoba, która przypadkowa natknęła się na nasze materiały. Ne mniej przez gadulstwo, złośliwość, czy też strach może spowodować niepowetowane szkody w ruchu konspiracyjnym. Idąc z tak ciężkim sercem po drodze skłamałem parę razy "Orszę", który jak zwykle w drodze na akcję dowcipokował. Drażniło mnie wszystko, przez cały czas myślałem myślałem o jednym, ażeby nie sypała. Żal mi ją było zlikwidować. Do celu doszliśmy bez przeszkód, chociaż nie bez wrażeń, ponieważ często mijano patrole niemieckiej policji, które gęsto krążyły po mieście wywoływały pewen dreszczyk emocji, pomimo, że uchodziliśmy za nieustraszonych. Weszliśmy do mieszkania, aby upewnić dozorczyńni z kim ma doczynienia pokazywałem legitymację policji niemieckiej i udając, że słabo mówię po polsku zacząłem wypytywać ją czy nie wie coś o jakichś organizacjach i co może powiedzieć na ten temat o lokatorach. Odpowiedzi które padały, że nic o niczym nie wie i że w tej kamienicy mieszkają sami porządni ludzie, nie tylko zadawałały mnie, ale budziły radość. "Orsza" w pewnym momencie dość brutalnie szarpnął kobietę i kazał jej mówić prawdę, strasząc że ją zastrzeli. Nie załamała jej nawet to, skamlała, że nic o niczym nie wie. Odetchnąłem pełną pierśią. Postawą swoją ocaliła swoje życie, w przeciwnym bowiem razie wbrew swojemu sumieniu, lecz w poczuciu obowiązku musiałbym je skrócić. Wyszliśmy z ulicy wrucił się do niej "Zbych", który rozmawia z nią jeszcze 15 minut mówiąc jej, że wprawdzie on pracuje w policji, ale musi jej powiedzieć, że bardzo dobrze zrobiła mówiąc tak niemcom, bo lepiej do tych spraw się nie wtrącać, bo jak coś powie, to z jednej strony samo Gestapo może wplątać człowieka, a z drugiej strony organozacja będzie miała pretensję. Rozmową tą podbudował jej stanowisko. Byli,smo tweraz pewni, że o tym nikomu nie powie, a tym samym bez pospiechu będziemy mogli zamienić skrytkę zachowując w dalszym ciągu na pierwszym piętrze punkt kontaktowy.

Strona

Było to już po upadku powstania warszawskiego. Kraków miał masę napływowej ludności, a H.C.O / Komitety Opiekuńcze/ pełne rece roboty. Jedną z takich placówek Komitetu mieściła się przy ulicy Lerotańskiej, gdzie w części klasztoru O.O. Kapucynów urządzono mały szpitalik. Byłem częstym gościem w tym ośrodku, bo miałem tam pewne kontakty konspiracyjne. Szpitalik ten wówczas był przepełniony napływowymi warszawskimi uchodźcami, wśród których ukrywał się nie jeden powstaniec. Kontakty konspiracyjne musiałem przenieść na inny punkt, albowiem od pewnego czasu, częste wizyty Gestapo i przeprowadzane aresztowania w tej placówce stwarzały niebezpieczeństwo. Jasne było dla mnie, że ty w skupisku ludzi chorych i nieszczęśliwych Gestapo zapuściło swoje macki. Wśród personelu lekarsko – pielęgniarskiego panowało zdenerwowanie, wiadomo było, że ktoś sypie – Ale kto? Obserwacja, którą przeprowadzili zatrudnieni tam członkowie Ruchu Oporu, po pewnym czasie rzuciła cień podejrzenia na jednego z uchodźców warszawskich, Giercz /Gercza ? /, który był inwalidą bez nogi i nosił charakterystyczną czarną bródkę. Zawiadomiony o tym, postanowiłem zobaczyć i zbadać bliżej tego osobnika. W tym celu udałem się do tego szpitala i ubrany w biały kitel przez jedną z sióstr., obchodziłem sale. Przechodząc sale chorych – tu dopiero widziało się co to znaczy nędza i jaką gehennę przechodzi naród. Przed wejściem do jednej z sali oprowadzająca mnie siostra szepnęła: to tu. Już od wejścia zobaczyłem twarz ozdobioną czarną bródką. Spojrzenia nasze skrzyżowały się na moment i co dziwniejsze twarz tego człowieka wydała mi się znana. Jak automat przechodziłem obok łóżka chorych, rzucając zdawkowe pytania. Cały czas zastanawiałem się nad jednym. Gdzie widziałem właściciela tej czarnej bródky? Nie mogłem sobie przypomnieć. Po dojściu do niego zapytałem jak się czuje i czy jest z Warszawy. Odpowiedział mi zdawkowo patrząc na boki, unikając mojego spojrzenia. Po wyjściu z sali w pokoiku zabiegowym, znajomej pielęgniarce poleciłem wziąć dyżur na dzisiejszy wieczór i obiecałem, że jeszcze dziś przyślę swoich ludzi, którzy w charakterze niemieckiej policji rozkonspirują podejrzanego Giercz. Sam nie mogłem przeprowadzić akcji, bo mnie w szpitalu znano. Dlatego też bezpośrednio wykonanie zleciłem "Zbychowi", "Orszy" i "Renowi". Wolno mijają godziny. Zbliżał się czas wyjścia na akcję. Postanowiłem "Zbycha", "Orszę" i "Rena" ubezpieczyć. Nie chodziło mi o ubezpieczenie samej akcji, bo dla starych dywersantów, był łatwa, ale ze względu na nasilenie rewizji osobistych, które przeprowadzane były na ulicach miasta przez wzmocnione patroleszkopów, bałem się o swoich chłopaków. Dwójkami ubezpieczając się wzajemni, omijając o ile możliwości gęste patrole niemieckie – doszliśmy do szpitala. "Orsza" zaopatrzony w zdobytą swego czasu legitymację policji niemieckiej wraz z "Renem" wszedł do budynku. Ja ze "Zbychem" spacerując przed budynkiem, ponieceni czekaliśmy na wynik akcji. "Orsza" bowiem miał wylegitymować Giercza, i w razie ustalenia jego współpracy z Gestapo – zlikwidować go. Pobyt w szpitalu przedłużał się. Co oni tak długo robią? Po blisko czterdziestu minutach zobaczyłem chłopaków. Ponieważ nie słyszałem strzału, byłem pewny, że podejrzenia w stosunku do Giercza były niesłuszne/ tym czasem okazało się, że grube mury klasztorne stłumiły odgłos wystrzału., bo na moje pytanie: no i co? Od "Orszy" otrzymałem odpowiedź. Kropnąłem go. "Zbych" z "Renem" poszedł przodem, a ja idąc z "Orszą" wysłuchiwałem takiej relacji. Według polecenia zapytałem o siostrę dyżurną i pokazując jej legitymację policji kazałem zaprowadzić się do Giercza. Legitymując się mu kazałem zabrać wszystkie papiery osobiste i wziąłem go do gabinetu zabiegowego. Tam poprosiłem o wylegitymowanie się. Pokazał mi kenkartę, wyrażając zdziwienie, że my coś od niego chcemy. Przeszukałem mu portfel w nadziei, że znajdę tam jakieś zaświadczenie z Gestapo. Nic takiego nie było. Rzucając dowody osobiste na biurko, powiedziałem mu, że go aresztuję. Zaczął opowiadać, że jest wobec nas to znaczy niemieckiej policji – lojalny. Wtedy dałem mu w pysk mówiąc, ażeby był cicho. Po uderzeniu w twarz powiedział, że chce z nami pogadać sam na sam

i znacząco wskazał na obecną pielęgniarkę. Kazałem wówczas jej wyjść – opowiadał dalej "Orsza" – on wtedy otwierając portfel pokazał mi na nim zanotowany numer telefonu Gestapo i za dzwoniąc na ten numer dowiem się, że on to znaczy Giercz jest "naszym człowiekiem". Krew yderzyła mi do głowy. Wypytyując go co tu robi, otrzymałem odpowiedź, że "wyławia ludzi", wówczas kazałem mu dzwonić na ten numer. Podjął słuchawkę. Przerwałem mu wykręcanie numeru oświadczając "Już nigdy tam więcej nie zadzwonisz.... nikogo nie sypnierz ..... strzelę ci w łeb jak psu. Jestem polskim żołnierzem". Patrzył na mnie przerażony mówiąc "przecież to niemożliwe.... macie legitymacje policji .." Zaczął się cofać, widząc że wyciągam pistolet. Chciał krzyknąć. Nie zdążył. Strzeliłem. "Orsza" skończył opowiadanie. Akcja została wykonana. Szpieg zlikwidowany. Dla mnie jednak sprawa nie była skończona. Musiałem wnieść akt oskarżenia, podając dowody, okoliczności i świadków, ażeby otrzymać zatwierdzenie wyroku przez Cywilny Sąd Specjalny Polski Podziemnej. Pokazując zabrane zdjęcie szpiega, dowiedziałem się skąd znałem jego twarz . Przypomniał mi jeden z moich ludzi "Sardynka" – oświadczając, że przecież parokrotnie ta twarz z czarną bródką widziana była przez nas w mercedesie Gestapo.

Strona

140

### W mundurach Gestapo

---

---

11 listopada 1944. okupanci pilniej niż zwykle ostawiali granatowa policją to miejsce, na które rzucano wiązanki białoczerwonych kwiatów, składano je na Rynku w miejscu, gdzie stał pomnik Mickiewicza, na Placu Matejki w miejscu pomnika Grunwaldzkiego, na grobie Nieznanego Żołnierza, na miejscach publicznych straceń. Nie pomogła obstawa i czujny wzrok patroli. Niewidzialna ręka kładła kwiaty od nowa. Przecież to listopad - / Święto Zmarłych. Szedłem przez miasto potrącany przez tłum dążący na cmentrz Rakowicki. Kwiaty i wieńce niesione przez ludzi uzmysłowiły mi że to Święto Zmarłych, że na cmentarzu czekają mogiły, lecz w tym roku nie tylko na cmentarzach mieliśmy bliskie sobie mogiły. Tylko na mapach Europy mogliśmy my zyjący jeszcze szukać miejsc kaźni i śmierci najbliższych. Wokół terenów obozów koncentracyjnych. Przed kilkoma dniami przeglądając listę agentów i konfidentów Gestapo, na których zapadł wyrok śmierci wydany przez Sąd Polski Podziemnej zauważyłem, że już dawno a nie wykonany do dnia dzisiejszego jest wyrok na Stanisławę i Stanisława Zarębów. Nazwisko to było mi dobrze znane, choćby z tego względu, że od półtora roku figurowały na liście do wykonania i z tego, że jeden z patroli dywersyjnych usiłował przed sześcioma miesiącami wykonać wyrok, ale akcja nie powiodła się. Zarębowie zmienili mieszkanie, przenosząc się na ulicę Orawską Nr. 5. sam zaręba był tak ostrożny i tchórzliwy, że nawet strzelał do ludzi, którzy z nienacka weszli mu w drogę. Trzeba przyznać, że jak na agenta Gestapo strzelał dobrze i celnie, na co mieliśmy dowód, albowiem w ostatnim czasie postrzelił dwudziestoletniego chłopca wylatującego z bramy, którego panicznie się przestraszył. Wykonanie wyroku nie było łatwe, ponieważ nie otwierał mieszkania nikomu nieznanemu. Dlatego też ja i "Orsza" ubraliśmy się w mundury oficerów Gestapo dobierając sobie dwóch ludzi w cywilu. Oprócz pistoletów wzięliśmy ze sobą automat typu "Mas" który "Orsza" zarzucił sobie na ramię. To pistolet właśnie winien skrócić życie znanych konfidentów. Idąc o zmroku ulicami Krakowa wyglądaliśmy co najmniej imponująco, naturalnie dla mijających nas Niemców, którzy haltrując skwapliwie ossawali należne honory oficerom Gestapo. Pech – Stanisława Zaręby nie ma w domu, jest tylko



zona, od której w czasie rozmowy dowiadujemy się, że został on wysłany przez nas / to znaczy Gestapo / do Michowa, pomimo tego, że zona Zaręby jest również skazaną na karę śmierci – wyrok postanowiłem odroczyć, ażeby nie spłoszyć męża. Rozmawiając z nami wyraziła zdziwienie nierozumiejąc powodu naszego przybycia. Oświadczyłem jej, że nie pracuj a dla nas teraz już tak aktywniejak poprzednio. Zaprzeczyła stanowczo i chcąc nas przekonać powiedziała, że właśnie w tej chwili wybiera się do Alberta na Pomorską by pobrać karty żywnościowe i następnie dostarczyć list z nazwiskami ludzi z Miechowa, który jej mąż przysłał. Pokazała mi ten list na którym było około trzydziestu nazwisk. Ta lista niedoszłych ofiar Gestapo zadecydowała o wyroku. W zacisznym mieszkaniu konfidenta padły trzy strzały. Po wyjściu na ulicę spostrzegłem czterech ludzi stojących w odległości około stu metrów. Zbliżyliśmy się do nich z nadzieją, że właśnie wśród nich spotkamy poszukiwanego agenta. Podchodzimy. Nagle z odległości pięciu metrów zostajemy ostrzelani z pistoletów. Odpowiadamy ogniem. "Orsza" daje serię z automatu. W czasie strzelaniny dwu moich ludzi przerażonych niespodziewanym atakiem – ucieka. Tych czterech po naszym ogniu wycofuje się i przepada w ciemności. Na placu pozostaje z rannym w rękę "Orszą". Szybko zdejmuję z ramion rannego kolegi automat i ładuję nowy magazynek. Kto wie co nas czeka? I w tym właśnie momencie wraca jeden z ludzi, ale tak przerażony, że chce oddać broni. Powstrzymuje go jednak mój zdecydowany ton rozkazu, że jeśli odejdzie od rannego kolegi strzelę mu w łeb. W duchu nie dziwiłem się jego przerażeniu, bo niespodziewany ogień z tak bliskiej odległości można spowodować szok nerwowy. Chłopak powoli uspokaja się. Ulica pusta. Nic nam narazie nie grozi. Ale co za chwilę? Strzały rozległy się przecież ostrym echem. Biorę rannego "Orszę" pod rękę i powoli odchodzimy. Byle dalej od miejsca wypadku. Na rogu długosza spotykamy patrol idący w kierunku, gdzie niedawno rozległy się wystrzały. Oglądam się. Całe szczęście, że biorą nas za prawdziwych gestapowców, którzy z trudem prowadzą swego pijanego kolegę z jakiejś libacji. "Orsza" nawpół przytomny z buły jęczy "mamusiu ... cholera... jak boli ". przy mijaniu patroli uspokajam go wymownym "stul pysk" i idziemy dalej. Byle dobrnąć do budynku straży /pożarnej przy ulicy zamojskiego, gdzie znajomi działacze G.L. PPS napewno udzielą mi pomocy. Po dotarciu na miejsce zażądałem natychmiast wozu. Oświadczone mi że mają tylko wóz alarmowy, kazałem go więc podstawić. I wtedy dyżurny podoficer orzekł, że to uczynić może tylko za zgodą swojej centrali. Zdenerwowany tym do ostateczności mój rozmówca krzyknął: to pan. Poznał mnie. Okazało się, że cały czas myślał, że ma do czynienia z gestapowcem. Teraz dostałem wóz natychmiast i do tego zaufanego kierowcę, kolegę ze szkolnej ławy. Z "Orszą" było coraz gorzej. Słabł. A ja nie miałem nawet czasu by mu należycie założyć opatrunek. Na syrenie alarmowej wyjechaliśmy ze strażnicy i dopiero po przejechaniu postu na ulicy Sarowislanej, kazałem ją wyłączyć. Po drodze zastanawiałem się, gdzie zawieść rannego kolegę, któremu trzeba udzielić natychmiastowej pomocy lekarskiej. Przypominałem sobie, że przy ulicy Wrzesińskiej mieszka znajomy lekarz dr. Bolewśław Stein. Dziwna to była załoga wozu straży pożarnej, który zatrzymał się na rogu ulicy Dietla i Wrzesińskiej. Wyszło bowiem z niego 2-ch oficerów Gestapo, z których jeden ledwo trzymał się na nogach i głośno jęczał po polsku. Powoli doprowadziłem rannego do bramy, oparłem o mur, a sam wyskoczyłem na pierwsze piętro do mieszkania doktora. W przedpokoju mówię do niego, że w bramie jest ranny kolega. Żądam od niego pomocy. Ku mojemu zdumieniu odsyła mnie do szpitala wojskowego. Drugi raz tego wieczoru zdejmuję eczapkę gestapowca z głowy, i drugi raz działa to jak zaklęcie. Doktor mnie poznaje. W jednej sekundzie wybiegamy do bramy i zabieramy rannego. Okazało się, że kula strzaskała "Orszę" kość i uszkodziła staw łokciowy. Pierwsza pomoc, kilka wzmacniających i uspakajających zastrzyków zrobiło swoje. "Orsza" uspokoił się, a my z doktorem zaczęliśmy się zastanawiać, co dalej? Pomoc chirurga była nie odzowna. I znowu doktor przyszedł mi z pomocą. Poszedł do znajomego chirurga

doktora Jana Kowalczyka. I ten przyszedł natychmiast, pomimo tego że narażał się na wielkie niebezpieczeństwo. Przepuszczał bowiem, że po powrocie z obozu koncentracyjnego jest pod obserwacją Gestapo. Po zbadaniu "Orszy" i założeniu opatrunków przewiozłem "Orszę" na drugi dzień rano do kliniki przy ulicy Zielonej. Bo noc spędziliśmy u doktora Steina. Tam dr. Kowalczyk osobiście zoperował rannego kolegę i serdecznie się nim zaopiekował aż do czasu wyzdrowienia, naturalnie w głębokiej konspiracji. Dopiero później dowiedziałem się, że "Orszę" zranili żołnierze jednego z naszych batalionów. Chłopcy ci, chcąc zdobyć broń polowali sobie na gestapowców i ja z "Orszą" zostaliśmy potraktowani jako jedni z nich. Poza tym wszystkim mieliśmy duże szczęście. Sprawa mogłaby się zakończyć dla obu stron dużo bardziej tragicznie, zwłaszcza że mieli ochotę zastrzelić od tyłu i zabrać broń. Tym czasem w rezultacie tej strzelaniny "Orsza" został ranny, a jeden z tamtych zmarł od odniesionych ran. Postrzelaliśmy się niepotrzebnie. Bo przecież chodząc na akcję w mundurach Gestapo, mogłem się czuć bezpiecznie choćby ze strony kolegów z konspiracji bo wcześniej wydany rozkaz do naszych jednostek wyraźnie zabraniał rozbrajania Niemców na własną rękę bez zgody dowództwa. Rozkaz taki był wydany w tym celu ażeby uniknąć takich sytuacji, oraz w obawie że nieprzemysłana akcja rozbrajania szkopa może pociągnąć z sobą niewspółmierną represję. Ale cóż znaczył rozkaz wobec młodzieńczej zapalczywości i chęci walki ze zniechęconym wrogiem.

Strona

145

### Święto Centralnej Dywersji Zgrupowania "Żelbet"

Był październik 1944 roku. Piąty rok wojny. Pięć lat walki, zmagania z zniechęconym okupantem.

Walki z najbardziej niewdzięcznym, niebezpiecznym i czarnym wycinku pracy konspiracyjnej – dywersji. Ponieważ do tego czasu nie miałem okazji wyróżnić swoich chłopców z dywersji, którzy pełni poświęcenia i bohaterstwa brali udział w akcjach – postanowiłem po uzgodnieniu z dowódcą "Żelbetu" – Kordianem, oraz z dowódcą VI Dywizji płk. **Odwetem** i Kierownikiem Oporu społecznego – Sochą, że dla wyróżnienia ludzi z dywersji zrobię złoto, srebrne i brązowe odznaki dywersji, które wraz z zaświadczeniami na pergaminach wręczone im na pamiątkę wysiłku tej walki w dniu 11 listopada 1944 roku. Matryce na odznaki dałem zrobić do warsztatu swego ojca. Jego też prosiłem o odbicie tych odznak. Ze względu na to, że w swoim warsztacie nie posiadał tak silnej prasy, a jedyna taka prasa istniała tylko w Muzeum Przemysłowym przy ulicy Smoleńsk, przez zaufanego od siebie pracownika wysłał do Muzeum, gdzie odbito wymienione odznaki. I tak 11 listopada już od godziny 7-ej rano pojedynczo, dwójkami w pewnych odstępach czasu schodzili się członkowie Egzekutywy, żołnierze dywersji do małego domku jednorodzinnego w Łagiewnikach, gdzie zamieszkiwała moja siostra. Wszystkie broń, która była w mojej dyspozycji została ściągnięta. W mieszkanku "Orsza" każdego uzbrajał. Dla uwydatnienia tego święta włożyłem mundur z dystanskami plutonowego-podchorążego. O godzinie 9.30 cała dywersja była w komplecie, pod bronią – o czym zameldował mi "Orsza". Między 9.30 a 10.00 przybyli zaproszeni goście: Komendant Wojskowej Służby Kobiet "Żelbetu" – Marta, dowódca jednego z naszych Batalionów – Sarmata, Dowódca Dywersji Batalionowych – Nałęcz i Kulawy. Między 10.00 a 10.30 zjawili się dowództwo – **Kordian, Odwet, Socha**. Ucieszyłem się bardzo widząc płk. **Odweta**, bo nie byłem pewny jego osobistej obecności na tym święcie, ponieważ przez ostrożność nigdy nie lubiał brać osobistego udziału w tak wielkim

skupisku ludzi, co w warunkach konspiracyjnych przy rozbudowanym aparacie policyjnym było bardzo niebezpieczne. Wzruszający był moment, jak parę minut potem złożyłem uroczysty raport zameldowawszy Kordianowi zbiórkę Centralnej Dywersji "Żelbetu", stan ludzi 26 + 1. obecni wszyscy. Święto to odbywało się w bardzo poważnym i wzruszającym nastroju, albowiem dwa dni temu oddziały nasze partyzanckie w powiecie myślińskim poniosły wilkie straty w walce z Niemcami. Zginęło wówczas w bitwie na Kornatce wielu naszych ludzi, a między nimi poległo dwóch dowódców oddziałów Opart II – Bicz, Opart III – Waga. Pomimo tego, że nasze oddziały partyzanckie przeszły tragedię – Święto Dywersji nie zostało odwołane, a to ze względu na to, że było to pierwsze święto w zgrupowaniu "Żelbet", w zgrupowaniu, które wyrażało się w liczbie przeszło 3.000 osób. Podkreślił to Kordian w swym przemówieniu, co dało dniu temu powagi. Poniżej załączam fotokopię przemówienia dowódcy "Żelbetu" – Kordiana na Święcie Dywersji w dniu 11 listopada 1944 roku. Złote odznaki Dywersji otrzymali – Zbych, Orsza, Ren, **Pik**, Kozaczek, Józek. Honorowe złote odznaki – Odwet, Socha, Kordian. Srebrne odznaki – Zgmunt, Bolek, Nałęcz, Kulawy, Król, Pierun, Limba, Jola. Honorowe odznaki – Mama, Marta, Sarmata. Reszta ludzi z dywersji otrzymała brązowe odznaki. Mnie również w tym dniu spotkała niespodzianka – zostałem odznaczony Krzyżem Walecznych, awansowano mnie do stopnia podporucznika, oraz ofiarowano mi złotą odznakę, na której wyryte "Dowódca Centralnej Dywersji Żelbetu", dołączono mi do tego zaświadczenie na pergaminie, gdzie bardzo pozytywnie oceniono moją dotychczasową pracę. Poniżej fotokopia / brak /.

po momentach wzniosłych, pełnych wzruszeń / bo przecież zgrupowanie tak wielkiej ilości ludzi w mieście, w czasach nasilniejszego terroru, odśpiewanie Hymnu Narodowego – musiało wrzucić do łez / około godziny 15-tej poleciłem kolejne w pewnych odstępach rozejść się do domów. Jako ostatni wyszedłem około 17-tej. W tym dniu jeszcze musiałem być na ulicy Dębowskiego, by złożyć życzenia imienninowe związanemu z nami konspiracją inż. Lopoldowi Płanco. Bezpośrednio więc udałem się do niego. U niego w mieszkaniu znajdowało się około 20-tu osób, dlatego też zaraz w przedpokoju przeprosiłem go, że nie będę mógł wejść, ponieważ pod celtowym płaszczem mam mundur. Na oświadczenie jego, że mogę całkiem śmiało rozpląszczyć się i pokazać w mundurze, rozebrałem się i brałem do późnych godzin wieczornych udział w przyjęciu. Pojawienie się moje w mundurze wywołało w towarzystwie duże poruszenie, mnawet osoby z którymi zetknąłem się poraz pierwszy w życiu ścisnęły mnie i od tej chwili atmosfera była taka jak bym był drugim solenizantem, a wszystko to zrobił widok munduru żołnierza polskiego.

### **Zapał walki góruje nad rozwagą**

---

w połowie listopada 1944 roku dowódca jednego z patroli dywersyjnych batalionu "Żelbet" – "Para" zwrócił się do mnie o zatwierdzenie akcji przy ulicy Słowckiego Nr. 137 /187/ akcja miała na celu zdobycie dwóch k-b.k. , które znajdowały się w mieszkaniu Niemca niejakiego Hartenbegera. Ponieważ celem akcji było jedynie zdobycie dwóch karabinów, a ryzyko zbyt wielkie akcją tej nie zaobrobowałem do wykonania. Przecież był już listopad 1944 roku, nie odczuwaliśmy tak bardzo braku broni, ażeby na zdobycie dwóch karabinów ryzykować życie paru ludzi. Tym bardziej, że akcja ta miała odbyć się w dzielnicy, gdzie 98 procentem mieszkali Niemcy. Zaszokowany przeto zostałem wiadomością, jak zameldowali mi 24 listopada, że "Para" został zastrzelony na rogu ulicy Długiej i Szlaku przez policję niemiecką. Przecież na ten dzień nie zatwierdziłem żadnej akcji dla dywersji batalionowej. W toku dochodzeń okazało się, że ten dzielny bojowiec który swego czasu był na dowódctwie oddziału partyzanckiego Oporu Społecznego w powiecie myślenickim mając niejedną przeprowadzoną akcją w walce z

niemcami i zawszemwychodząc z nich zwycięsko i bez strat zginął tak lekkomyślni. Okazało się, że pomimo niezatwierdzenia powyższej akcji poszedł ją wykonać. W dniu 24 listopada około godziny dziesiątej patrol dywersyjny batalionu dywersji "Żelbetu" w składzie 1+2 wyruszył na Aleje Słowackiego Nr. 137 w celu zdobycia dwóch karabinów. Działo się to za wiedzą dowódcy batalionu "Stawacza". Weszli do kamienicy na III piętrze, gdzie mieszkał Niemiec Hartenberger. Zapukali i z chwilą gdy im uchylone drzwi włożywszy nogę między nie pchnięciem ramienia chcieli je otworzyć. Drzwi jednak zaczepione były na łańcuch. Niemiec widząc że na siłę chce się ktoś dostać do jego mieszkania wybiegł na balkon z krzykiem zaalarmował wartownika, który pełnił służbę vis a vis, gdzie znajdowała się jednostka S.S. W tym czasie "Para" widząc, że nie sforsuje drzwi mieszkania, wycofał się, ale zanim zbiegł z III piętra wraz z ludźmi upłynęło trochę czasu i już wychodząc z bramy w kamienicy zostali ostrzelani przez patrol, który wypadł z koszar S.S. I tak uciekając ostrzeliwali się aż do ulicy Długiej i Szlaku. Na Szlaku "Para" został zastrzelony, jeden człowiek ranny i złapany, a jednemu udało się zbiec. Tak zginął jeden z bardzo dzielnych bojowców, który przyzwyczajony do akcji w terenie, gdzie dała wiele rzeczy forsować siłą. Nie przyzwyczajony do prowadzenia akcji w mieście, która wymagała zaskoczenia i używania forteli a w ostatecznym razie siły. Bojowiec ten mając za sobą piękną kartę walki z Niemcami, w oddziale partyzanckim Oporu Społecznego, były dowódca tego oddziału, wywodzący się z bojówki Stronnictwa Pracy z terenu Piasków Wielkich, gdzie również pozostawił po sobie imię nieustraszonego żołnierza – poległ na posterunku z bronią w ręku. Nie doczekał wolnej ojczyzny, o której wolność walczył pięć lat.

Strona

150

### Nagle zagrożenie – likwidacja konieczna

Z poranną pocztą od dowódcy "Żelbetu" – "Kordiana" otrzymałem list adresowany do Gestapo na ul. Pomorską Nr. 2, a przejęty przez ludzi pracujących na poczcie a zaangażowanych w konspiracji. Anonimowy autor w liście tym donosi, że przy ulicy Kołetek Nr. 10 mieści się warsztat ślusarski prowadzony przez wywrotowców, w którym produkuje się broń dla powstańców Warszawy. Właścicielem tego warsztatu jest Gądek Władysław prowadzący piekarnię pod tym samym adresem. Do listu dołączony był rozkaz, ażeby ze względu na nagłe zagrożenie jednego z naszych punktów kontaktowo-przerzutowych – natychmiast zainteresować się tą sprawą. Zdumienie moje nie miało granic, trudno mi było uwierzyć w istnienie tego donosu, jednak stempel pocztowy jednego z Urzędów w Krakowie świadczył niezbicie, że nieznany nadawca rozkonspiował nasz punkt i anonimowo zawiadamia o tym Gestapo. Trzeba zaznaczyć, że w owym czasie w piekarni przy ul. Kałetek zameldowanych było około 20 osób, w tym część obciążona dość licznymi rodzinami, dla których byli jedynymi żywicielami w tych ciężkich czasach. Połowa z tego nie pracowała i była fikcyjnie zameldowana chroniąc się w ten sposób przed wyjazdem na roboty do Niemiec. Gestapo z szczególną ścisłością szukała w tym czasie organizacji podziemnych. Gdyby anonim takiej treści dostał się na Gestapo na ulicę Pomorską, łatwo domyślić się dalszego obrotu sprawy. Rankiem pewnego dniამ przed piekarnią zajechało by auto ciężarowe z gestapowcami i wszyscy pracownicy piekarni powędrowaliby na ulicę Pomorską, skąd nie wszyscy powróciliby do swoich rodzin, gdyż kilku z nich z właścicielem na czele pracowało w Ruchu Oporu. Przedewszystkiem poleciłem wyczyszczyć punkt z kompromitujących dowodów, oraz zerwać wszystkie kontakty konspiracyjne na tym punkcie. Wróg był dobrze poinformowany i anonimowy. Stwarzało to poważne niebezpieczeństwo, bo ne

dawało gwarancji, czy w między czasie nie wysłał drugiego listu o podobnej treści. List pisany był odręcznie, z będami ortograficznymi, niewprawną ręką. Skontaktowałem się z dowódcą VII Kompani zgrupowania "Żelbet" – "Sempem", w którego gestii bezpośrednio był zagrożony punkt. Analizując sprawę razem z obiektem donosu t.j, właścicielem piekarni doszliśmy do przekonania, że list mógł napisać jego były pracownik – piekarz, który przed tygodniem został zwolniony z pracy za kradzież. Były to przypuszczenia. Dowody trzeba zebrać. Dla zdobycia ich udałem się wraz z "Orszą" do mieszkania podejrzanego Lisa przy ul. Karmelickiej. W mieszkaniu zastaliśmy jego żonę, której przedstawiłem się że jestem z niemieckiej policji, okazując swego czsu zdobyta legitymacją policji niemieckiej. Zacząłem wypytywać ją o męża. Dowiedziałem się że wyszedł na miasto i pracuje teraz na nocne zmiany w piekarni Pietraszewskiego przy ulicy Sołtyka. Rozmowę skierowałem na poprzednie miejsce jego pracy i o zgrozo, przedemną członkiem organizacji podziemnej, występującym w charakterze policji niemieckiej – Lisowa jota w jotę rzucała jakie było w liście oskarżenie na byłego chlebodawcę jej męża. Nie dosyć tego skarżyła się na opieszałość działania policji, która już dawno powinna tam wszystkich pozamykać. Wczoraj napisaliśmy drugi list informowała nas i pokazując list o podobnej treści wręczyła go nam. Mieliśmy go wysłać – tłumaczyła nam i to już podpisałismy bo myśleliśmy, że policja nie działa na anonimy. Naturalnie skwapliwie schowałem list, nowy korpus delicti ich donosicielstwa. Upewniłem się, czy są jedynymi posiadaczami tak cennej tajemnicy i na upewnianie mnie ażeby sprawą zająć się jakmnaipredzej przyrzekłem, że zrobię to bardzo szybko. W czsie tej rozmowy "Orszę" swędziała reka i słycać było trzask bezpiecznika pistoletu., którym się bawił. Trzeba ja było kropnąć – po wyjściu robił mi wyrzuty "Orsza". Wytłumaczyłem mu że zlikwidowani muszą być razem oboje. Przecież likwidując jedno z nich narazilibyśmy się na nieuchronną wyspę i aresztowanie wszystkich ludzi w piekarni. Nie było czsu do stracenia. Trzeba było działać szybko. W tym samym dniu wieczorem wyruszył patrol dywersyjny w składzie: "Sęp", "Ren", "Józek" na ul. Karmelicką. Drugi patrol pod moim dowództwem – "Orsza", "**Pik**", "Zbych" wyruszył na ulicę Sołtyka. Towarzyszący mi rowerzysta miał z góry wyznaczoną funkcję – łącznika między patrolami. Po dojściu na miejsce widząc, że Lis jest w pracy natychmiast wysłany łącznik pojechał na ulicę Karmelicką, gdzie oczekujący patrol dywersji czekał na rozkaz wykonania wyroku. Ledwo przebrzmiały strzały przy ulicy Karmelickiej, o czym zawiadomił mnie łącznik, przy ulicy Sołtyka spośród zgromadzonych pracowników pod pozorem przesłuchania wezwałem Lisa do kantorku właściciela. Padły strzały. Sprawiedliwosci stało się zadość. Wychodząc pozostałym pracownikom zabroniłem przez okres piętnastu minut *nie* wychodzić wszczynając jaki kolwiek alarm. Wykonanie wyroku w jednym czasie postawiło całą niemiecką policję na nogi. Przez długi czas prowadzili śledztwo, jednak bez rezultatu. w parenaście dni potem otrzymałem zatwierdzenie wyroku przez Cywilny Sąd Specjalny kierownictwa walki podziemnej.

Strona

153

### Śmierć kospiratora

W dniu 11 grudnia 1944 roku dostałem rozkaz od pułkownika "Odweta" przeprowadzenia akcji przy ulicy Madalińskiego na Dębnikach. Akcja miała polegać na tym, że po pretekstem policji trzeba było wejść do jednego z mieszkań, wylegitymować właściciela mieszkania, który podejrzany o współpracę z Niemcami i donosicielstwo. Miałem przeprowadzić rewizję osobistą i

w razie znalezienia legitymacji, lub jakiegoś zaświadczenia stwierdzającego pracę na rzecz Gestapo – kropnąć. Natomiast w wypadku nie ujawnienia dowodu zdrady narodu polskiego – wycofać się nie wzbudzając podejrzeń. Akcję ustiliśmy na godzinę 16-tą. Do akcji dobrałem trzech ludzi: "**Pika**" i "Rena" i "Bolka". Podeszliśmy na ulicę Madalińskiego o oznaczonej porze i tu dowiedzieliśmy się od łączniczki, że naszego obiektu zainteresownia nie ma jeszcze w domu. Poleciałem ludziom ażeby poszli nad Wisłę i czekali na dalsze rozkazy, a sam zostałem na obserwacji domu. Po pewnym czasie szybkim krokiem, na ile pozwalała mu kontuzjowana noga, podszedł "**Pik**" i zameldował, że na rogu Madalińskiego i Konopnickiej patrol niemiecki złożony z sześciu ludzi zaczął "Rena" i "Bolka". Odebrałem od "**Pika**" pistolet, ponieważ kulał i tym samym nie mógł brać udziału w błyskawicznej akcji. Poleciałem mu iść na punkt zborny, który zawsze był wyznaczony przed akcją, na wypadek gdyby w czasie akcji patrol dywersyjny został rozproszony. Sam z dwoma pistoletami w ręku biegłem w stronę zatrzymanych przez Niemców naszych chłopców. Było już zupełnie ciemno. W ciszy jak panowała w tej dzielnicy, zbyt głośne uwydatniało się dudnienie moich butów z cholewami o bruk. Zbliżałem się do rogu ulicy, gdy w odległości około 35-ciu metrów, oświetlił mnie silny reflektor, taki patrol nosił na piersiach, zasilany z akumulatora, strzeliłem parokrotnie, uskakując do bramy, światło zgasło, a Niemcy otwarli ogień z automatów. Odszczeknąłem się z bramy i przez podwórze wydostałem się na Wały Wiślane. Skierowałem się natychmiast w stronę mostu dębnickiego, który musiałem przejść chcąc dostać się na punkt kontaktowy na Powiśle. Będąc już na Powiślu usłyszałem zniechęconą syrenę samochodu policyjnego, ogarnęły mnie najczarniejsze myśli – "Bolek" i "Ren" złapani. Na punkcie czekali łączniczka "Kozaczek" i "**Pik**".

Od błyskawicznego działania zależał los paru ludzi. "Ren" był na dobrych /swoich/ papierach, a w jego mieszkanku przy ulicy Szpitalnej przebywał "Orsza", którego 1 listopada w jednej z akcji postrzelono w rękę. Przebrałem się w mundur leśnika, bo taki zawód potwierdzały moje lwe dokumenty i natychmiast udaliśmy się do mieszkania "Rena", gdzie prucz "Orszy" zastaliśmy "Józka" i "Jolę". Pospiesznie spakowaliśmy tobołki, broń, blankiety lewych kenkart itp. W czasie pakowania nadszedł "Bolek", który zrelacjonował, że wykorzystawszy moment, gdy strzelałem do policjantów wrozcili ich i razem z "Renem" zaczęli uciekać w kierunku Podgórze. Co się stało z "Renem" niestety nie wiedział. Poleciałem wszystkim opuścić mieszkanie, a sam parę sekund zatrzymałem się zamykając drzwi na klucz. Był to jak się okazało ostatni moment opuszczenia kamienicy. W parę sekund później nie uszliby. Te parę sekund, w ciągu których zamykałem mieszkanie mogło ich kosztować życie. Wychodząc z bramy. W tym samym momencie pod dom zajeżdża samochód policyjny z ustawionym na samochodzie karabinem maszynowym. Nie zdołałem jeszcze ująć paru kroków, gdy otoczyła mnie policja z skierowanymi do mnie automatami i okrzykiem "Hende Hoch". Moim chłopakom już nic nie groziło. Kontem oka dostrzegłem, że byli już na rogu ul. Ponara. W ułamkach sekundy zastanawiałem się co robić? Wobec wymierzonych automatów, sięgnąć po pistolety, to pewna śmierć – nie zdążę wyjąć – pada myśl. A może nie będą mnie rewidować, gdyż jestem w mundurze leśnika? Wybieram to drugie. I ponosząc ręce do góry, sądzę, odraczam chwilę utraty życia. Podszedł oficer. "Ich bean Forsmaister" powiedziałem wręczając żądany dowód/ zwrócił mi dowód. "Geon Sie Weiter". Byłem uratowany. Odchodziłem bardzo wolno. Czułem zmeczenie, wobec przeżytego nerwowego napięcia. Poszedłem na ulicę Warszawską, do punktu kontaktowego dowódcy "Żelbetu", bu powiadomić go o spalonym mieszkaniu "Rena", w drodze powrotnej koło Barbakanu napotkałem "Kozaczek", "Józka" i "Bolka". Radośnie mnie powitali. Byli pewni, że zostałem aresztowany. I tym razem miałem szczęście. Trafiłem nie na Gestapo, lecz na Schutzpolizei, która respektowała mundury urzędników Generalnego Gubernatorstwa, oraz legitymację z kaczką.

Fotokopia legitymacji lesnika /lewa/ brak

Już po godzinie policyjnej dowlokłem się do domu. Pomimo odprężenia nie było mowy o spaniu. Ciągłe wracała myśl. Co z "Renem"? Łudzić się nie było co był w rękach Gestapo, znając go, byłem pewny nie będzie sypać, zdawałem sobie jednak sprawę, jakie tortury będzie przechodził. Dobrze znaliśmy ich metody. Nazajutrz już od wczesnego rana usiłowaliśmy zdobyć informację o jego losach. W południe przez "Joachima" otrzymaliśmy smutną wiadomość: w prosektorium przy ulicy Grzegorzyczej znajdują się zwłoki odpowiadające rysopisowi "Rena", przywieziono je ubiegłej nocy. Poszliśmy tam natychmiast. Tak to był "Ren". Leżał nagi ze swoim uśmiechem zastygłym na zawsze na ustach. "Ren" jeszcze niedawno pełny życia, werwy, odwagi, typ prawdziwego bojowca. Jak się okazało – kula karabinowa trafiła go w kręgosłup. Śmierć nastąpiła natychmiast. Poległ śmiercią żołnierza. Patrzyliśmy na niego, łzy mimo woli cisnęły się do oczu. Z informacji jakiej udzielił nam portier dowiedzieliśmy się, że zwłoki zastrzeżone są do dyspozycji policji, portier niezwłocznie doniesie ma, gdyby ktokolwiek o nie pytał lub usiłował zabrać. Wyszliśmy z postanowieniem zabrania "Rena". Poszedłem do zakładu pogrzebowego Piuta. Załatwiłem wszelkie formalności związane z pogrzebem. Przyniesiono ubranie. Trzeba było załatwić z portierem. Pokazanie kopyta, było raczej dla stwierdzenia, że działał po przemocą /dla policji/, bo chłop był porządny i trudności nie robił. Podjechała pod bramę trupiarka, wynieśliśmy trumnę i pozostawiając jednego człowieka dla pilnowania portiera, by zbyt szybko nie zawiadomił policji, pojechaliśmy na cmentarz. Właściciel zakładu pogrzebowego, ostrzegł mnie, że bez dopełnienia koniecznych formalności nie będą chcieli zwłok na cmentarz przyjąć. Lecz kilkakrotne tłumaczenie /pokazanie kopyta/ pozwoliło nam na pokonanie tych trudności i przekonanie o słuszności naszej sprawy. Do miasta wróciłem bez przeszkód trupiarką Piuta. Pozostało jeszcze jedno – może najtrudniejsze i najcięższe – zawiadomić matkę. Zawiadomiona przez łączniczkę /mieszkała poza Krakowem/ przyjechała i chciała porozmawiać ze mną. Z ciężkim sercem szedłem na to spotkanie. A to co zobaczyłem i usłyszałem wzruszyło mnie do głębi. Przedemną stała matka mego towarzysza, pogrążona w rozpacz. Po jej twarzy spływały łzy. Czy bardzo cierpiał – zapytała, pozornie opanowanym głosem i gdy jej opowiedziałem jak zginął, o ostatnich chwilach jego – powiedziała "Mam jeszcze jednego syna, czy wciągnie go pan do dywersji? By pomścić brata i walczył o wolność ojczyzny". Powiedziałem jej, ówczas, że ona poniosła już wielką ofiarę, bo straciła syna, który w przyszłości mógłby jej podporą, więc nie może brać do dywersji jej młodszego syna, ponieważ w dywersji śmierć jest przypadłością dnia codziennego. Wtedy poprosiła mnie ażeby zrobić coś by mogła jeszcze raz spojrzeć na drogie dziecko. Zdałem sobie sprawę, że kostnica na cmentarzu będzie obsrewowana, ale postanowiłem zrobić wszystko ażeby spełnić prośbę matki polki, umożliwić jej zobaczenie poraz ostatni syna. Nazajutrz już od rana chłopcy z dywersji, pojedynczo od strony ulicy warszawskiej wchodzili na cmentarz i kryjąc się za nagrobkami obstawiali okolice kostnicy. O godzinie jedenastej w towarzystwie matki i siostry "Rena" wszedłem na cmentarz. Ostawą dowodził "Zbych", wśród chłopców nie brakowało "Orszy". Z reką na temblaku brał udział w obstawie. "Zbych" przyprowadził grabarza, który otworzył kostnicę. Nawet grabarz, przyzwyczajony do podobnych widoków miał łzy w oczach. "Ren" był pierwszym, i na szczęście ostatnim, który opuścił szeregi Egzekutywy i Centralnej Dywersji, ginąc w akcji na posterunku z bronią w ręku.

Fotokopia wydanej klepsydry po jego śmierci. *Brak*

### Sprawiedliwości stało się zadość

---

8 stycznia 1945 roku. Zdajemy sobie sprawę, że chwila wolności bliska. Armia Radziecka naciera na rozbitą potęgę armii hitlerowskiej, która w popłochu się cofa. Wojska Radzieckie są już pod Sarnami. Żyliśmy w Krakowie pełni napięcia spodziewając się, że wojska hitlerowskie będą bronić Krakowa. Utwierdzały nas w przekonaniu, żelbetonowe wieże przeciwczołgowe, bunkry które okupant na hura stawiał w mieście. Wokół Krakowa kopano rowy, które miały być zapora dla czołgów radzieckich. W takiej sytuacji przyszło do mnie trzech ludzi z dywersji – "Duce", "Kadet" i "Kruk" i przedstawili mi plan, który stwarzał możliwości zabrania jednego z niemieckich magazynów parę ton cukru. Posiadali zmotoryzowany środek lokomocji, co dawało zapewnienie szybkiego wycofania się, a tym samym duży procent gwarancji pomyślnego przeprowadzenia akcji. Magazyn ten znajdował się przy ulicy Szlak. Opracowaliśmy plan szczegółowy. Termin wykonania ustaliliśmy na 10 stycznia godz. 17.00. w tym dniu zapinamy swe przygotowania na ostatni guzik. "Duce" sprawdza samochód i przygotowuje pomieszczenie na zmagazynowanie cukru. "Kruk" i "Kadet" ustalają miejsce i godzinę zbiórki ze swoimi ludźmi. Oni w trójkę dziś odpowiadają za pomyślnie przeprowadzenie akcji. Około godziny 15-tej jeszcze raz powtarzamy dokładne czasy poszczególnych czynności. Synchronizujemy akcję, w której bierze udział 15-tu ludzi ze względu tego ażeby jak najszybciej worki z cukrem z magazynu znalazły się na samochodzie. Przecież na rogu Szlaku stoi budynek, w którym mieści się dykcja Policji Kryminalnej. Ulicą tą stale przechodzą tam i spowrotem cywilni i mundurowi policjanci. Akcję trzeba przeprowadzić bardzo sprawnie by nie podpaść tym doświadczonym typom. Jeszcze parę ....., podobne życzenie – złamcie pysk i uważajcie by wam z d..... siła nie zrobiono, twarde uścisk dłoni i rozstajemy się. Za trzy godziny będę miał dopiero meldunek z przebiegu akcji, bo w tej chwili muszę zameldować się na pdprawie oficerów sztabowych u dowódcy "Żelbetu" – "Kordiana". Na osprawie siedziałem jak na rozżażonych węglach. Po niej udałem się naturalnie na punkt kontaktowy, gdzie już trzech rewolwerowców. Spotkało mnie rozczarowanie – zamiast przewidywanych 20 ton cukru chłopcy zabrali jedynie dwie tony. Natomiast wiadomość, że w czasie wykonywania tej akcji kropnęli wywiadowcę kryminalnej policji zaskoczyła mnie. Bo byłem nią oczarowany i zbudowany. Okazało się, że uziemili funkcjonariusza kryminalnej policji, agenta gestapo, degenerata który znany był w naszym mieście z wyłapywania żydów i gorliwości poszukiwania ludzi ukrywających się przed gestapo. Łotrzyk ten już bardzo dawno skazany był tak przez Cywilny jak i Wojskowy Sąd specjalny na karę śmierci za swe łajdactwa. Do tego czasu grasował bezkarnie. Miał dużo szczęścia i był bardzo ostrożny, tak że nie można go było dotąd sprzątnąć. Dzisiaj przez swoją gorliwość i wścibskość popadł. A było to tak. Akcję zaczęto planowo o godzinie 17-tej. "Kadet" opanował magazyn. Transportem dowodził "Duce". "Kruk" z czterema ludźmi ubezpieczał akcję. Ładowanie 50-cio kilogramowych worków z cukrem szło sprawnie. Akcja trwała już około godziny. "Kruk" będący na obstawie zauważył, że jakiś cywil od dłuższego czasu obserwuje załadowywaną ciężarówkę. Po pewnym czasie zauważył, że podejrzany osobnik podszedł do jednego z ludzi, który był w mundurze pocztarza i wylegitymował go. Postanowił że steroryzuje tego osobnika i przetrzyma go w magazynie do ukończenia akcji. Wypadki potoczyły się inaczej. Podejrzany osobnik podszedł do "Kruka" by odpalić papierosa prosił o ogień. "Kruk" rozpoznał go. Używając lewą ręką ognia – prawą błyskawicznie sięgnął po pistolet i strzelił. Tak zginął szuja, zdrajca narodu, agent gestapo – Andrzejewski ..... . Uziemiono go pięć minut przed dwunastą – jak to się mówi, osiem mdni przed wycofaniem się Niemców z Krakowa, z którymi zapewne by



uciekł. Naturalnie "Duce" widząc co się dzieje natychmiast zarządził odjazd ciężarówką, oraz wydał polecenie spłynięcia chłopcą z transportu. "Kruk" zwinął obstawę i wycofał się, a "Kadet" o niczym nie wiedząc siedział w magazynie i dziwił się, że chłopcy z transportu nie przychodzą po worki. Dopiero po jakimś czasie jeden z tych ludzi, co nosili cukier przyszedł po płaszcz i powiedział – pan tu siedzi a na ulicy strzelają, wtedy dopiero "Kadet" wypadł na ulicę, gdzie natknął się na "Ducego" i razem wycofali się. Zostawili by mnie skurczybyki – sierdził się "Kadet" – jak ty spiszesz na akcji i nie słyszałeś strzału to kto ci winien – odpowiedział "Duce". miałbys przynajmniej do pogadania z Niemcami – dowcipkował "Duce". Wszyscy biadali, że tak mało wzięli cukru, bo ten sk.....syn wszedł im w paradę. Pocieszyłem ich, że wyprwiając do parku sztywnych takiego drania jakim był Andrzejewski zrobili więcej jak by wzięli wiele ton cukru. Jeszcze jeden sprzedawczyk nie zdążył się wycofać z Niemcami z Krakowa. Dosięgła go karząca ręka Policji Podziemnej. Sprawiedliwości stało się zadość.

Strona

161

### Radiostacja "Wisła"

---

W czasie okupacji prócz innych tajnych radiostacji pracujących na terenie Krakowa działała radiostacja pod kryptonimem "Wisła". Krótkofalówka ta będąca łącznikiem między Okręgowym Delegatem Rządu z Londynu była pod bezpośrednią opieką i nadzorem Kierownictwa Oporu Społecznego "Sochy". Z racji pełnienia swych funkcji w Kierownictwie Oporu społecznego, jsko Kierownik Egzekutywy i Dywersji odpowiedzialny za osłonę tej stacji i jej bezpieczeństwo. Nie było to łatwe zadanie. Ze względu na to, że stale trzeba było ją przerzucać z miejsca na miejsce, a punktów nadawania było parę i bardzo odległych od siebie. Punktami nadawania były Golkowice, Piaski Wielkie, Bielanów, Drożdżownia, Świętniki, Dałowice, Grabówki, Dwoszowice, Bronowice. Dla orientacji podaję schemat z uwzględnieniem odległości między tymi punktami. Poza tym radiostacja ważyła około 50-ciu kilogramów, więc do samego przeniesienia jej trzeba było trzech do czterech ludzi, nie licząc obstawy, która musiała być liczna, bo krótkofalówka była zbyt cenną dla konspiracji rzeczą, by można było ją utracić. W czasie nadawania radiostacja była pilnowana stale przynajmniej przez pięciu ludzi z dywersji. Wziąwszy pod uwagę, że każda nadana depesza musiała być zaszyfrowana, a przyjęte wiadomości rozszyfrowane, oraz obsługa takiej stacji wymagała wielkiego wysiłku całego zespołu ludzi. Przecież godziny nadawania były ściśle oznaczone, a warunki pracy bardzo ciężkie, nie mówiąc o niebezpieczeństwie, Niemcy dobrze wiedzieli, w jakim czasie i na jakiej długości pracuje stacja i robili wszystko ażeby ją wykryć, często zdarzało się, że radiotelegrafista obsługujący radiostację przestawał dopiero nadawanie, jak niemiecki samochód z goniometrem był nie dalej jak 300 metrów od punktu nadawania. Szyfrantem na stacji był "Zygmunt", dwóch radiotelegrafistów "Piorun" i "Rutka". Obstawa stacji – dywersja z VII Kompani z Piasków Wielkich. Pewnej nocy nadając w Golkowicach samochód z goniometrem stanął około pół kilometra od punktu nadawania. "Piorun" kończył nadawać depeszę, gdy dano mu znak ażeby przerwał. Ze względu jednak, tego że depesza była pilna koniecznie chciał ją dokończyć. Ponaglał przeto odbierającego w Londynie ażeby szybciej odbierał. Po pewnej chwili i parokrotnym nadaniu znaku – szybciej odbieraj – anglik odpowiedział, daje drugiego. I rzeczywiście po zmianie obsługi londyńskiej – depesza została przyjęta bardzo szybko. Na zakończenie anglik nadał – nadajesz jak diabeł. W ślad za samochodem po parunastu minutach

przyjechało około 50-ciu kaumuków na koniach i na polecenie Niemców przetrząsali okoliczne zabudowania, obstawa na zajętych stanowiskach obronnych wytrzymała jednak napięcie nerwowe, albowiem dostali wyraźne polecenie, że tylko wtedy mogą użyć boni gdy bezpośrednio zagrożona będzie stacja. Przetrzęsnęto sąsiadujące domy, ale do stodoły, gdzie był nadajnik nie weszli. Tak jeszcze raz krótkofalówka ocalała i obeszło się bez walki.

*Brak tytułu    prawdopodobnie chodzi o kolportaż gazetek*

*brak pierwszej liniki tekstu. ....ponisły śmierć z rąk wroga, przepłaciło życiem wydawanie, kolportowanie, przechowywanie czy nawet czytanie tej prasy. Przepłaciło swym młodym życiem tę formę walki. Bo każdy wydany egzemplarz wymagał dużego wysiłku, całego zespołu ludzi. Aby złożyć numer pracy było wiele. Przede wszystkim trzeba było pozbierać aktualne wiadomości z lat 1940 – 1945. Są to gazetki z różnych dat i wydawane przez Partię, stronnictwa polityczne i Organizacje Wojskowe. Niektóre z nich wydane są drukiem, niektóre odbite na powielaczu. Stanowią one jeszcze jedną pamiątkę bezkompromisowej walki naszego narodu z najeźdźcą hitlerowskim. Jest tu "Naprzód", wydawany przez Polską Partię Socjalistyczną, "Gwardzista" PPR-u*

*"Wieści" Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Demokratycznego "Dziennik Polski", "Biuletyn Informacyjny" – Organ Armii Krajowej, niektóre egzemplarze są w bardzo dobrym stanie, inne ząb czasu i warunki w jakich były przechowywane częściowo uszkodziły je. Najważniejsze jednak jest, że przetrwały do dnia dzisiejszego, przetrwały te straszne lata okupacji. Dla nas byłych żołnierzy Polski Poziemnej stanowią pamiątkę z tych dni kiedyśmy nie szczędząc życia, z bronią w ręku wykuwali drogę do wolności ukochanej ojczyzny. Dlatego też patrzymy na nie z szcunkiem, z pewnym rozczuleniem, wertujemy z pietyzmem. Przecież wielu naszych ludzi ponisło śmierć z ręki wroga, przepłaciło życiem wydawanie , kolportowanie, przechowywanie czy nawet czytanie tej prasy. Przepłaciło swym młodym życiem tę formę walki. Bo każdy wydany egzemplarz wymagał dużego wysiłku, całego zespołu ludzi. Aby złożyć numer pracy było wiele. Przede wszystkim trzeba było pozbierać aktualne wiadomości z kraju. Prowadzić nasłuch audycji zagranicznych. Zebrać wiadomości rozplanować, napisać na skradzionej matrycy / jeśli odbijane były na powielaczu / , w razie wydawania drukiem złożyć czcinki, odbić, względnie wydrukować, poskładać, spakować w odpowiedniej ilości różnego formatu paczki, roznieść po tak zwanych skrzynkach, skąd z kolei łącznik-kolporter rozprowadzał. Biorąc pod uwagę rozbudowaną niemiecką sieć wywiadowczą, specjalnie wyszkolone oddziały policji do tropienia i zwalczania ruchu wolnościowego, oraz to wydanie każdego egzemplarza nie tylko jest pracą całego zespołu, ale igraszką ze śmiercią parunastu ludzi. Każdy zachowany egzemplarz – to namacalna pamiątka walki. Walki, którą prowadził naród polski przez długich i koszmarnych pięć lat bez względu na groźące konsekwencje. Pomimo widma śmierci, grozy obozów koncentracyjnych, kaźni i więzień Gestapa.*

## Łączniczki

Skromny, cichy, bezpretensjonalny żołnierz w spódnicy. Żołnierz-kobieta, który tyle usług oddał w konspiracji. Kto jak nie one w najcięższych chwilach utrzymywał kontakt. Kto przekordony policji w czasie największych łapanek prznosił rozkazy, prasę a nawet broń. To jeszcze nie wszystko. Łączniczka nawet docierała nawet za kraty więzień Gestapo, do kaźni, hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Bezsprzecznie kobieta mniej rzuciła się woczy jako bojowiec, mniej baczną uwagę zwracano na wątle i zgrabne ich sylwetki. Gestapo nie posądzało ich o taką odwagę i męstwo. Dlatego wiele rzeczy im się udawało – miały dużo szczęścia. Pamiętam was z czasów okupacji, z czasów pracy konspiracyjnej. Kiedy walczyliśmy o wolność ojczyzny. Pełniłyście służbę na równi z żołnierzami dywersji. Wspominam często te chwile. Zawsze cechowała Was gotowość wykonania zadania, nawet najcięższego. Nigdy nie słyszałem z Waszych ust sprzeciwu ni skargi. Będąc dowódcą dywersji z własnej inicjatywy obstawiałem Was /ubezpieczałem/ jak przenosiłyście broń. Nie chodziło mi wtenczas jedynie o bezpieczeństwo przesyłki – chodziło mi o Wasze młode życie, o Wasze bezpieczeństwo. Rozumiałyście mnie rewanżowałyście się praując z całym poświęceniem. Pamiętam przecież jak kończąc akcję wysłałem łączniczkę jako pierwszą z akcji do bazy chcąc by jak najszybciej była względnie bezpieczna. Czy poszła? Nie, czekała w bramie aż wszystkich ludzi odeślę i skoro bo zakończeniu akcji wychodziłem ostani jak kapitan z tonącego statku meldowała – wszystko w porządku. A czy przechodząc nieraz obstawione przez policję mosty na Wisle nie proponowałyście mi ażebym oddał wam pistolety, że Wy je przeniesiecie. Byłyście bohaterkami. Dziś po latach wspominam te chwile. Fakty stają jak żywe przed oczami. Rozmawiając nieraz z Wami lub słysząc dziś Wsze skromne oświadczenia – ja byłam tylko łączniczką – w tym rozdziale chcę Wam powiedzieć. Nie wolno Wam tak mówić – byłam tylko łączniczką – bo słowo łączniczka stawia Was w poczet najodważniejszych żołnierzy Polski Podziemnej. Pamiętajcie o tym, że łączniczka to jest W.S.K. /Wojskowa Służba Kobiet/. Która w czasie okupacji hitlerowskiej zdała egzamin. Niejedna łączniczka pracą swą przepłaciła życiem. Wielez Was przeszło więzienie, hitlerowskie obozy koncentracyjne, straciło zdrowie. Po tych co zginęły pozostawała swietlana pamięć. Wam zyjącym, które dla dobra sprawy oddałybyście swoje zdrowie, swą młodość – wyrażam najgłębszy szacunek pisząc te parę słów. Wy z którymi najczęściej się stykałem "Marta", "Kora", "Kozaczek", "Polanka", "Iskra", "Jola", "Lmba" stanowić będziecie grupę kobiet, które odwagą swoją i poświęceniem dla dobra sprawy w walce o wolność ojczyzny mogły świecić za przykład żołnierzom dywersji.

**Strona 167**

### **Krzyżacy po raz pierwszy, drugi i trzeci .....**

Krzyżaków pierwszych znamy z historii, literatury, a ostanio z filmu. Wiemy jaką rolę odegrali w historii wysłannicy Zakonu zakuci w zbroje, odziani w białe płaszcze z czarnym krzyżem, którzy pod pretestem umacniania wiary chrześcijańskiej podbijali i grabili nasze ziemie ciemiężąc naród polski. Są to czasy odległe. Było to przeszło pięć wieków temu. Miecz i lanca krzyżacka ociekała polską krwią. Patriotów polskich w lochach zamków krzyżackich zmiękczano, a więcej opornych chuśtał wiatr. W miarę umacniania się zakonu na naszych terenach wzrastały jego apetyty na

naszeziemie. Kres temu dopiero położyły zbratane narody litewski i polski staczając bitwę pod Grunwaldem po wodzą króla Jagiełły. Połączone wojska rozbiły znieprawione zastępy zakonu pruskiego. Krzyżacy poraz drugi. To Niemcy hitlerowskie, które jak kameleon zmieniły biały płaszcz z czarnym krzyżem na hakenkreiz. W miarę lat urosły im apetyty i tu już nie o zagarnięcie ziem polskich chodziło, ale o podbój Europy. Stalowa potęga armii pancernej, liczebną przewagą i nowoczesną bronią maszynową podbijali coraz to nowe kraje, ciemiężąc narody. Niszczyli i gnębili wszystko co nie niemieckie, popełniając okrutne i perfidne zbrodnie na podbitych narodach. Osiągnęli takie efekty, jak setki tysięcy patriotów różnych narodowości rozstrzelanych w publicznych egzekucjach, setki tysięcy bez względu na rasę i wyznanie zamęczonych, zagazowanych lub uśmierconych w inny sposób w obozach koncentracyjnych, których wysoko stojący przemysł niemiecki częściowo przerabiał na mydło i galanterię skórzaną. Setki tysięcy ludzi zamordowanych, zamęczonych w kaźniach i więzieniach Gestapo. Nie wyliczam tu ofiar, które pochłonęła wojna, tych co poległ w walce o wolność z bronią w ręku. Wymieniłem liczbowo tylko ofiary okrutnych zbrodni, które świat określa je skromnie ludobójstwem. Pomijam tu setki tysięcy ludzi, którzy utracili zdrowie w kaźniach i obozach koncentracyjnych maszyny hitlerowskiej. Ponieważ ludzie ci do dnia dzisiejszego umierają przedwcześnie ze względu na swe przeżycia, lista zbrodni hitlerowskiej do dnia dzisiejszego nie jest zamknięta. Tych krzyżaków z pod znaku sfastyki znamy, przeżyliśmy to wiemy, że żadna historia, książka a nawet wstrząsający film nie jest w stanie wiernie odtworzyć popełnionych przez nich okrucieństw. Bestia krzyżacka tym razem ozdobiona sfastyką wyłamała kiel dopiero pod Stalingradem, gdzie Armia Radziecka staczając szereg bitew, ponosząc kolosalne straty, walcząc z zaciekłością złamała potęgę hitlerowską, rozbijając całe pułki pancerne. Dotkliwie raniła gada. Z pruską zaciekłością, jak bestia ze złamanym kregosłupem, szczątki armii hitlerowskiej uchodziły spod stalingradu na Berlin, wokół sięjąc grozę i śmierć. Skapitowali dopiero w swoim legowisku – w Berlinie. Nad kolebką krzyżaków zatrzepotały sztandary Armii sprzymierzonych – Związku Radzieckiego i Polski, tych armii które razem ramię przy ramieniu brocząc krwią przerebyły drogę Stalingrad – Berlin. Po tym zwycięstwie zdawało się nam, że jeśli nie na zawsze – to przynajmniej przez paręset lat narody będą mogły żyć i pracować spokojnie. Lecz złudzenia prysły bardzo szybko krzyżackiej chydzie odrósł łeb bardzo prędko pod opieką młodych protektorów, których poczynania działały jak zbawienny balsam. Wykorzystując odwieczną pruską ochotę na zagarnięcie naszych ziem zachodnich – możni protektorzy, starodawny miecz krzyżaków pierwszych, nowoczesną broń maszynową na czele pociskami V-2 krzyżaków drugich chcąc zastąpić broń nuklearną, uzbrajając Bundesverę w broń raketową. Jest przecież pretekst ocalenia Europy przed kominizmem. Nic też dziwnego, że w tych cieplarnianych warunkach odrodził się hitlweyzm pod przewodnictwem Adenauera, który wierny tradycji przywdział biały płaszcz z czarnym krzyżem pozując na wielkiego mstrza. Czy mózgi możnych protektorów nie zdają sobie z tego sprawy, że wychodowanie cieplarnianego trzeciego krzyżaka to nie tylko nowa wojna, nie tylko okazja do nowych zbrodni, ale znając ich plany zapanowania nad światem. Nie jestem politykiem, jestem Polakiem który walcząc z hitleryzmem był naocznym świadkiem jego zbrodni. Politykować nie chcę, nie umię i nie będę, ale w związku z odradzającym się hitleryzmem muszę krzyczeć: Uwaga, trzeciego krzyżaka w warunkach cieplarnianych chodują w N.R.F. I uzbrajają w broń raketową. Uważam to za swój obowiązek, jest to moim obowiązkiem jako Polaka, obowiązkiem wobec poległych, pomordowanych towarzyszy broni, którzy złożyli swe życie w walce z rozbudowaną machiną okrutnej i perfidnej zbrodni jaką był hitleryzm.

## Mickiewicz w gruzach

---

Niecodzienny dzisiaj widok przedstawia Rynek krakowski. Przekupki głośno złożeczą okupantowi popłakują. Policja granatowa wspólnie z policją niemiecką rozędza tworzące się grupki ludzi i przystających przechodniów, którzy ze zdziwieniem patrzą na niecodzienny widok. Uderzenia kafarów i zgrzyt świrdrów robią taki chałas, że nie słysząc hejnału z wieży mariackiej odtrąbianego co godzinę. Krakowianie przygnębieni. Odważniejsi nienawistnym spojrzeniem obrzucają mijanych Niemców. Hiobowa wieść lotem błyskawicy obiegła miasto. Okupant burzy w Rynku pomnik Mickiewicza. Kulturze hitlerowskiej przeszkadza pomnik wieszczka, który w twórczości swojej nie tylko pokazał i nauczył nas jak trzeba kochać ojczyznę i walczyć o jej wolność., ale sam dla ojczyzny poświęcał wszystko. Serce się kroi gdy widzę drgania figury na cokole. Lecz wytrzymuję ten moment, jak odlana z brązu postać Adama Mickiewicza brutalnie strącona z cokolu leci i z hukiem bije o bruk.

Poniżej fotokopia strącenia Mickiewicza – *brak fotokopii*

Leży na bruku rynku Krakowskiego statua wieszczka, co tyle lat stojąc na cokole dumnie spojrzenie rzucała w dół. Została strącona z inicjatywy okupanta, rękami rodzinnego Judasza, który ażeby zarobić paret górali / góral 500-złotowy banknot okupacyjny/ nie tylko podjął się tej pracy, ale stawał do przetargu który wygrał. Człowiek ten wychowany napolskim chlebie, nie tylko zdradził naród, podpisując Volksdujhrza jako jeden z pierwszych bez zadnego przymusu, ale dziś prowadząc firmę budowlaną podjął się pracy, która godzi w uczucia nie tylko mieszkańców naszego miasta, ale w uczucia narodu. Zrobił czyn haniebny zburzył pomnik człowieka, którego naród polski otacza czcią, by zarobić parę tysięcy złotych. Ale nie wszyscy krakowianie są tacy jak wielki przedsiębiorca, zdrajca narodu inżynier volksduihtr – Rudolf Spohn. Pomimo tego, że pustką zieje to miejsce gdzie stał pomnik 95 procent krakowian przechodząc przez rynek obchodzi to miejsce, tak jak dawniej było ogrodzone – nie chcąc deptać tego miejsca. Na miejsce to parę razy dziennie rzucane są wiązanki kwiatów biało-czerwonych, które skrętnie policja sprząta. Pomimo tego że patrole policji zwracają baczną uwagę i zabierają złożone kwiaty o barwach narodowych natychmiast – niewidzialna reka finansowana, wspierana i zorganizowana przez ludzi prostych, przez ludzi, którzy przed wojną nie mogli zdobyć wykształcenia ani pochwalić się tytuem inżyniera, ale teraz nie zdradzili narodu, nie podpisali listy V.D. Niewidzialna ręka ludzi w piersiach których nie przestały bić serca polskie. Spracowana ręka starych Przekupek krakowskich.

Strona 172

## Zlikwidowani kofidenci – rękami swoich chlebodawców

---

W dniu ..... roku 1943 policja kryminalna zatrzymała za kradzież zegarka niejakiego Piętkowskiego. Wymieniony był znanym kofidentem z pczki Słani. Ponieważ jsnym było, że Gestapo poleci zwolnić swego pracownika Piętkowskiego, ażeby dalej mógł grasować na terenie Krakowa. - jeden z naszych ludzi żołnierz wywiadu "Żelbetu", który pracował na Szlaku – "Jnusz" wpadł na genialny pomysł. Piętkowski stale kontaktował się na melinie przy ulicy Blich,

z takimi konfidentami jak Słania, dwóch braci Krzeków. "Janusz" udał się do kierownika działu kradzieżowego – Niemca /Grossa" i referując mu sprawę kradzieży zegarka zasugerował, że w mieszkaniu przy ulicy /kołataja, gdzie schodzą się jakieś podejrzane niebezpieczne typy trzeba przeprowadzić rewizję. Zaznaczył przy tym, że złodzieje, którzy się tam schodzą mają broń palną. Dlatego też na przeprowadzenie rewizji powinna jechać mocna grupa operacyjna policji kryminalnej. Mieszkanie konfidentów oserwowane było przez ludzi z konspiracji, którzy w razie zebrania się dobranej paczki donosicieli w mieszkaniu mieli dać znać telefonicznie i tym – "Januszowi". I tak około godziny 17-tej w dniu ..... "Janusz" dostał wiadomość, że cała zgraja w komplecie w melinie swojej urzędza libację. Zaraz więc powiadomił operacyjną grupę, która wyruszyła w składzie szesciu ludzi w tym dwóch Niemców, biorąc ze sobą zatrzymanego Piątkowskiego. W tym czasie członek dywersji przez otwór na listy wsunął kartkę do mieszkania, gdzie pijana grupa bawiła się. "Śmierć konfidentom". "Już żaden z was żywy stąd nie wyjdzie". Z chwilą gdy policja kryminalna zaczęła dobijać się do drzwi, konfidenti przekonani byli, że to konspiracyjna grupa Egekuutywy i otworzyli ogień przez drzwi z posiadanej broni krótkiej. Wówczas Niemcy odpowiedzieli ogniem z automatów z klatki schodowej. W wyniku tej strzelaniny, która trwała około półgodziny zostali zastrzeleni – Słania i dwóch Krzeków, zostali alikwidowani rękami swoich chlebobawców i sprytem bojowców Polski Podziemnej.

Strona 174

### **Przed wyzwoleniem Krakowa**

---

Niemcy z każdego zajmowanego przez siebie budynku zrobili warownię obronną. Śmiercią zionęło z każdego otworu strzelniczego. Grozę sytuacji podkreślały wybudowane niemal na każdej ulicy bunkry betonowe, wieże - zapory przeciwzogowe. Z przygotowań niemieckich jasno wynikało, że skopy będą bardzo silnie bronić Krakowa. Mieszkańcy chodzili przygnębieni. Coraz częściej padało pytanie – co będzie z Krakowem? Co się stanie z nami? Miałem wówczas 24-ty rok życia a w tym cztery bezkompromisowe lata walki ze zniechędzonym okupantem. Zbyt dobrze znałem zbrodnie hitlerizmu. Nie miałem złudzeń obawiałem się, że cofający się Niemcy będą chcieli zamienić Kraków w gruzy. Będą mordować i mścić się na bezbronnej ludności cywilnej. Przecież byli specjalistami w tej dziedzinie. Dlatego też skierowałem swój oddział sywersyjny w kamienicy przy ulicy Bernardyńskiej Nr.9 gdzie całą okupację była baza wypadowa mojej dywersji. Udało mi się skoszarować 15-tu ludzi ściągnąć broń. Którą miałem w swojej dyspozycji, sześć pistoletów automatycznych, około dwudziestu granatów i osiemna sztuk broni krótkiej. Nie było tego wiele, ale dla nas stanowiło doastateczne uzbrojenie. W tej liczbie i tak uzbrojeni mogliśmy Niemcom zalać sadła za skórę. I tak 17 stycznia pamiętnego roku poprowadziłem patrol pięciu ludzi z pistoletami automatycznymi na wierzchu, nie jak dawniej przebranych w myndury gestapo – ale z białymi czerwonymi opaskami na rękawach. W mieście widać było nieliczne zmotoryzowane jednostki niemieckie. Miasto było jak wymarłe, na ulicach pustki, ani śladu niemieckiej obrony, a stało się tak na skutek taktycznego okrążenia przez Armię Radziecką i błyskawicznego natarcia na obronne pozycje niemieckie poza Krakowem. Niemcy zmuszani byli wycofać się w pośpiechu, nie mając czasu na zorganizowanie obrony w mieście. Nie mieli czasu na wyładowanie swych krwiożerczych i zbrodniczych instynktów na ludność cywilną Krakowa. Idąc Plantami ul. Gertrudy widzieliśmy idącą w naszym kierunku kobietę, która przechodząc przez ulicę Dominikańską została ostrzelana z

pistoletu automatycznego. Upadła. Przyłgnęliśmy do drzew, chcąc zorientować się, skąd wróg strzela. Po chwili z ulicy Dominikańskiej wyszło trzech zbirów. Sprawców jeszcze jednej zbrodni. Strzeliłem bez ostrzeżenia, za mną moi chłopcy puścili serię. I tym razem akcja się powiodła. Trzech niemieckich schultzpolicjantów nie zdążyło wycofać się z Krakowa, a myśmy zdobyli trzy nowe automaty. Powróciłem do bazy. Tu zameldowano mi, że po wawelem od strony Wisły leży ranny człowiek. Postrzelony przez Niemców, strzelających z za Wisły od Dębnik. Poszedłem po niego sam. Udało mi się przenieść go do bramy przy ulicy Bernardyńskiej Nr.10 pomimo tego, że czołgając się z nim byłem ostrzeliwany przez szkopów, którzy zajęli pozycje na Dębnikach, za Wisłą. Pod wieczór podzieliłem ludzi na trzy patrole po pięć osób i poleciłem przejrzeć inne dzielnice miasta, by zorientować się, czy gdzieś uciekające niedobitki niemieckie nie znącają się nad ludnością cywilną. Sam na czele jednej patroli udałem się na ulicę Pomorską, gdzie była siedziba Gestapo. Budynek zastaliśmy już pusty. Wruciliśmy w nocy do bazy bez strat, pomimo tego że ostrzeliwaliśmy i byliśmy kilkakrotnie ostrzelani przez Niemców, którzy w pojedynczych samochodach przejeżdżali ulicami miasta. 18 stycznia około godziny siódmej rano widząc pierwszego żołnierza radzieckiego, który pomału jak myśliwy tropiący dzikiego zwierza, z pepeszą gotową do strzału idzie ulicą Bernardyńską.



## Jan Kowalkowski

### ps. AK "Halszka"

Urodzony 9 VIII 1921 r. w Krakowie, gdzie uczęszczał do szkoły powszechnej im. Jana Matejki, następnie do VI Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki. Z powodu braku środków materialnych przerwał naukę i pracował w warsztacie wyrobów srebrnych i metalowych ojca. W roku 1938 ukończył kurs elektrotechniczny i do czasu wojny pracował u ojca, mieszkając w Łagiewnikach.

W roku 1940 rozpoczął pracę w konspiracji. Został instruktorem dywersji i na terenie Krakowa

oraz województwa dowodził grupą wykonującą wyroki na agentach gestapo. Będąc w konspiracji występował pod przybranym nazwiskiem Jan Kowalski, używając pseudonimu „Halszka”. W roku 1943 skończył podchorążówkę i wstąpił do zgrupowania AK „Żelbet”. Jego walka z okupantem przybierała różne formy: od zdobywania pieniędzy na cele organizacji, poprzez rozbijanie mleczarni, by utrudnić Niemcom zabieranie głównie masła, aż do likwidacji przedstawicieli konfidentów i zdrajców. Nie wahał się narażać swoje życie, by uratować ранego kolegę-podwładnego, czy umożliwić ucieczkę dwóch zatrzymanych przez Niemców ludzi z dywersji, atakując samotnie 6-osobowy patrol policji niemieckiej uzbrojony w broń maszynową. Za całokształt swej konspiracyjnej pracy i walki został odznaczony w listopadzie 1944 r. Krzyżem Walecznych, mianowany na stopień podporucznika oraz uhonorowany Złotą Odznaką Dywersji Zgrupowania „Żelbet” w Krakowie. 10 stycznia 1945 r. Komendant Okręgu nadał mu Krzyż Virtuti Militari V kl. Uzyskał również awans do stopnia porucznika.

W roku 1945, w czasie gdy Armia Czerwona wkraczała do Krakowa, pomimo zakazu podjęcia jakiegokolwiek akcji, wraz ze swoją grupą dywersyjną opanowuje Wawel. Bezpośrednio po wyzwoleniu Krakowa podjął się ochrony znajdujących się tam dóbr przed rodzimymi i obcymi grabieżcami.

Nie ominęły go represje nowej władzy. W 1945 r. został aresztowany przez Władze Sowieckie i osadzony na Placu Inwalidów 4 (od 17 III do 27 VI).

28 września 1945 r. ujawnił się przed Komisją Likwidacyjną b. AK Obszar Południowy Okręg Kraków. W tym samym dniu otrzymał pismo do Starostwa w Krakowie, podpisane przez Obserwatora Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie przy Komisji Likwidacyjnej b. AK z prośbą o jak najszybszą zmianę dowodu osobistego i wystawienie go na właściwe nazwisko, tj. Jana Kowalkowskiego (w czasie okupacji używał nazwiska Jan Kowalski i takie nazwisko figurowało w posiadanych przez niego dokumentach).

Przez pewien czas w 1945 r. pracował w Komendzie Miasta MO, skąd zwolnił się na własną prośbę.

W lecie 1946 r. zaangażował się w pracę WiN-u. Na terenie Krakowa przeprowadził trzy akcje w celu zdobycia pieniędzy. W sierpniu 1946 wycofał się z tej działalności. W listopadzie 1946 r. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego przeprowadzając aresztowania działaczy WiN trafia na jego ślad. Kowalkowski ukrywał się aż do ujawnienia t.j. wejścia w życie amnestii.

Do listopada 1958 r. pracował w spółdzielczości na różnych stanowiskach. W następnym okresie, aż do śmierci, nie podjął żadnej pracy.



W 1947 r. pojął za żonę Zofię Łaptasiównę, z którą miał dwoje dzieci: córkę Bożenę i syna Macieja. Zmarł po ciężkiej chorobie w dniu 18 kwietnia 1967 r.

Bibliografia: Teczka personalna Kowalkowski Jan, IPN Kr 010/9056. Okruchy wspomnień z lat walki i martyrologii AK, nr 43,44, Kraków 2002.

### kpt. **Edward Brydak**

ps. „Socha”, „Andrzej”, „Korab”, „Bór”, „Stefan”, „Ludwik” (1901-1978) oficer AK,

Urodzony 27 stycznia 1901 r. w Rzeszowie. Syn Józefa i Agnieszki, prawnuk Walentego Brydaka uczestnika powstania węgierskiego w 1946 r. W 1916 r. jako 15-letni chłopak uciekł z domu do Legionów Polskich, do stacji zbornej w Piotrkowie Trybunalskim, jednak z powodu zbyt młodego wieku odesłany do domu. W nocy z 31 października na 1 listopada 1918 r., jako 17-letni uczeń szkoły handlowej w Rzeszowie, zgłosił się jako ochotniczo 1 pp. Ziemi Rzeszowskiej. W dniu 17 listopada 1918 r. przydzielony do 1 bat. 5 pp Legionów, z którym w dniu 1918 r. z Przemyśla wyjechał pociągiem na odsiecz Lwowa. 22 listopada 1918 r. w szeregach 4 komp. studenckiej 5 pp Leg. brał udział w walkach z Ukraińcami na Snopkowie i Łyczakowie. W dniu Bożego Narodzenia 1918 r. ranny w walkach na Pasiekach, po krótkiej kuracji w szpitalu, jako uczeń, 13 stycznia 1919 r. zdemobilizowany. W marcu 1919 r. ponownie znalazł się w szeregach 5 pp Leg. i jako żołnierz 1 Dywizji Legionów brał udział w zajęciu Wilna, a następnie w walkach o Święciany, Łyntupy i Braclaw. Przeszedł przeszkolenie wojskowe w Ostrowi Mazowieckiej i jako starszy legionista w szeregach 7 komp. 2 bat. 5 pp Leg. w składzie 1 DP Leg. wyruszył na front bolszewicki. W czasie wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919-1920 w stopniu kpr. był zastępcą dowódcy 1. plutonu 7 komp. w 5 pp Leg., którego to plutonu dowódcą był Stefan Musiałek-Łowicki. Był żołnierzem Polskiego Korpusu Posiłkowego na Łotwie. Brał udział w wyprawie na Kijów. Był wówczas dwukrotnie ranny. Za męstwo został odznaczony Krzyżem Walecznych. W grudniu 1920 r. po zdemobilizowaniu wrócił do Rzeszowa. W 1922 r. był współorganizatorem Koła Młodzieży Wiejskiej przy SL w Staromieściu pod Rzeszowem. W 1924 r. jako eksternista zdał maturę w II Gimnazjum im. Kazimierza Morawskiego w Przemyślu i zapisał się na Wydział Prawa UJ. Studia prawnicze ukończył w 1928 r. W czasie studiów brał czynny udział w życiu akademickim w Bratniej Pomocy Studentów UJ, był prezesem Akademickiego Koła Rzeszowiaków. W latach 1924-1925 był kierownikiem 7-mio klasowej szkoły powszechnej w Dworcu, pow. Słonim, woj. nowogródzkie. Osadnik wojskowy. W 1932 r. został mianowany sędzią grodzkim w Rzeszowie. Od 1932 r. prowadził w Rzeszowie i okolicy ożywioną działalność społeczną, był prezesem Koła Okręgu TSL w Rzeszowie oraz członkiem ZG TSL. Zorganizował w Rzeszowie bibliotekę i czytelnię TSL. W okresie międzywojennym należał do PPS. Za działalność społeczną w okresie międzywojennym został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

W 1939 r. był ppor. rez. z kategorią D. We wrześniu 1939 r. wraz z rodziną uchodził przed Niemcami aż do Beresteczka, skąd po ustaniu działań wojennych wrócił do Rzeszowa. 22 września 1939 r. został ławnikiem w komisarycznym zarządzie miasta Rzeszowa, z którego to stanowiska został w dniu 25 października 1939 r. zwolniony przez niemieckiego komisarza miasta Dr. Hahna. Po zwolnieniu podjął pracę w Sądzie Grodzkim w Rzeszowie. W konspiracji działał od października 1939 r. Początkowo był związany z konspiracją organizowaną na tym terenie, przez ppłk. K. Heilman-Rawicza, który zlecił mu tworzenie związków konspiracji na terenie powiatu i miasta Rzeszowa. Z końcem kwietnia 1940 r., po ucieczce Ł. Cieplińskiego z więzienia w Sanoku i powrocie do Rzeszowa, przywiózł on z Okręgu ZWZ z Krakowa, dla siebie nominację na komendanta Obwodu ZWZ Rzeszów, zaś dla Edwarda Brydaka na zastępcę. W czasie spotkania w mieszkaniu Brydaka Ciepliński odebrał od niego i prof. W. Pańczaka przysięgę na rotę ZWZ. Wszyscy trzej jako pierwsi zaprzysiężeni przyjęli pseudonimy zaczynające się na literę „a”: Brydak – „Andrzej”, Ciepliński – „Antek”, Pańczak – „Adam”. W czasie masowych aresztowań w 1940 r. został przez gestapo zatrzymany, lecz po przesłuchaniu zwolniony. W czasie okupacji używał kolejno pseudonimów: „Andrzej”, „Korab”, „Bór”, „Socha”, „Stefan”, „Ludwik”. Po przejściu dotychczasowego komendanta Obwodu ZWZ Rzeszów Łukasza Cieplińskiego na stanowisko Inspektora, został na jego miejsce komendantem Obwodu ZWZ, a później AK Rzeszów i na tym stanowisku pozostał do maja 1944 r. W lecie 1940 r. był wspólnie z ówczesnym komendantem Obwodu Łukaszem Cieplińskim i oficerem łączności „Karolem” Lucjanem Ślaskim vel Wacławem Dębskim inicjatorem i współredaktorem pierwszych numerów gazetki konspiracyjnej „Na Placówce”, która niedługo później zmieniła tytuł i do listopada 1944 r. ukazywała się, jako organ Inspektoratu AK Rzeszów, pod tytułem „Na Posterunku”. W maju 1944 r. przeniesiony na stanowisku II zastępcy inspektora Inspektoratu AK Rzeszów. W czasie okupacji awansowany kolejno do stopnia por. i kpt. rez. piechoty. W czasie akcji „Burza” dowodził bezpośrednio oddziałami AK na terenie Obwodu Rzeszów i zastępował inspektora „Pługa” w całości dowodzenia. Od września 1944 r. był członkiem Komendy Podokręgu AK Rzeszów, jako referent polityczny. Aresztowany 28 listopada 1944 r. w szkole zawodowej TSL w Rzeszowie przez kontrwywiad I Frontu Ukraińskiego. Więziony 22 stycznia 1945 r. w więzieniu NKWD w Rzeszowie przy ul. 3 Maja, w budynku dawnego starostwa. Po wyjściu z więzienia objął funkcję kwatermistrza w dywizji formowanej w porozumieniu z Sowietami przez ppłk. Kazimierza Putka „Zwornego”. 20 lutego 1945 r. w czasie ponownego aresztowania sztabu dywizji, ze „Zwornym” na czele, przy ul. Sobieskiego w Rzeszowie, zbiegł wyskakując przez okno. W kwietniu 1945 r. wraz z grupą operacyjną Związku Gospodarczego Spółdzielni Rzeczypospolitej „Społem” udał się do Prus Wschodnich gdzie uczestniczył w zorganizowaniu PPS w Olsztyńskim, objął funkcję I-go sekretarza KW PPS pod nazwiskiem Bugayski Andrzej, został powołany na członka WRN w Olsztynie i posła do KRN.

*Biogram pochodzi z Małopolskiego słownika uczestników działań niepodległościowych 1939-1956. T. 2 pod red. Teodora Gąsiorowskiego et al.; aut. biogramu Jerzy Giza, Towarzystwo Sympatyków Historii, Kraków 1997.*

## Dominik Ździebło-Danowski ps. AK „Kordian”



Kordian” urodził się w Pochwacie koło Jastrzębia Zdroju 31 lipca 1914 r., od 1933 r. studiował na Akademii Handlowej aż na trzech kierunkach, dodatkowo pracował zawodowo, działał też w samorządzie studenckim. Dyplom uzyskał z wyróżnieniem.

W latach 1937-38 przeszedł kurs podchorążych rezerwy w 30. Pułku Piechoty w Brześciu nad Bugiem. Po jego zakończeniu uzyskał specjalizację wojskową oraz mianowany został na stopień plutonowego podchorążego. Po opuszczeniu wojska podjął pracę zawodową w Katowicach. W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany jako dowódca, najpierw plutonu, a później kompanii (awansowany na podporucznika) „Kordian” walczył w szeregach 183 pp wchodzącego w skład Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga. Wraz z dowódcą pułku ppłk. Władysławem Sewerynem po bitwie pod Kockiem dostał się do niewoli, przebywał w obozie jenieckim w Radomiu. W listopadzie 1939 r. obaj zbiegli i znaleźli się w Krakowie. Ppłk Seweryn nawiązał kontakt z przebywającą w mieście grupą płk. Komorowskiego, a Dominik Ździebło na własną rękę nawiązał kontakty (poprzez kolegów ze studiów działających w organizacjach studenckich ze środowisk wyższych uczelni, które grupowały się samoistnie) z tworzącymi się niezależnie od siebie grupkami ludzi chcącymi walczyć z okupantem. Do jego najbliższych współpracowników należeli oficerowi rezerwy: Stanisław Nowak, Józef Goliński, Jan Kot, Jan Dadak. Później doszedł Stanisław Kostka Czapkiewicz „Sprężyna”, nieoceniony oficer wywiadu i kontrwywiadu. Z połączenia grup płk. Komorowskiego i ppor. Ździebły w krótkim czasie powstała w Krakowie silna organizacja konspiracyjna, która tworzyła również oddziały terenowe pod kryptonimem „Żelbet”, który przed akcją „Burza” został przekształcony w 20. pułk piechoty i wszedł w skład 6 Dywizji Piechoty. „Żelbetem” przez prawie cały czas okupacji dowodził Dominik Ździebło, który w 1945 r., dodał sobie drugą część nazwiska - Danowski. Dzięki jego talentom organizatorskim, energii, rozmachowi oraz wyjątkowym zdolnościom w dobieraniu kadry dowódczej stworzono w Krakowie oddziały AK, liczące ponad 5 tys. zaprzysiężonych żołnierzy. W latach 1943-44 „Żelbet” posiadał oddziały partyzanckie m.in. w miechowskim, myślenickim, olkuskim, w Beskidzie Wyspowym i na Podhalu. 30 marca 1944 r. Dominik Ździebło został awansowany na stopień porucznika. W maju 1944 r., brał udział w ewakuacji zdekonspirowanej wytwórni stenów (montownia nr 5 krypt. „Ubezpieczalnia”) z ul. Mogiłskiej w Krakowie; został awansowany na stopień kapitana. Przygotowywał akcję odbicia z więzienia Montelupich cichociemnego, komendanta Okręgu Kraków AK płka Józefa Spychalskiego ps. „Luty”.

Stale zagrożony zmieniał miejsca zamieszkania, pseudonimy i wygląd zewnętrzny. „Kordian”

był przeciwnikiem wybuchu powstania w Krakowie. 29 listopada 1944 r. dowodził na Kotoniu w rejonie Zawadki bitwą z obławą niemiecką. 12 grudnia 1945 r. rozwiązał w rejonie Babiej Góry Zgrupowanie „Żelbet“.

Wojnę zakończył w stopniu majora. Od stycznia 1945 r. ukrywał się przed NKWD i UB. 15 października 1945 r. ujawnił się przed Komisją Likwidacyjną ds. byłej Armii Krajowej w Krakowie. 1 lutego 1949 r. został aresztowany przez UB i po okrutnym śledztwie w areszcie przy ul. Rakowieckiej w Warszawie skierowano przeciwko niemu akt oskarżenia do Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie. W śledztwie stosowano nieludzkie metody wymuszania zeznań. Do stawianych zarzutów się nie przyznał. 3 grudnia 1953 r. Wojskowy Sąd Rejonowy ogłosił wyrok przeciwko Dominikowi Ździeble-Danowskiemu, skazując go na 13 lat więzienia, przepadek praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 5 lat oraz przepadek całego mienia na rzecz Skarbu Państwa. Od wyroku obrońca wniósł rewizję, Najwyższy Sąd Wojskowy wyrok uchylił, a sprawę przekazano znów do śledztwa. Na skutek zmieniającej się sytuacji politycznej w kraju, Naczelną Prokuraturę Wojskową 3 listopada 1955 r. uchylili w stosunku do niego areszt, a 24 listopada 1955 r. śledztwo przeciwko niemu zostało umorzone z powodu „braku dostatecznych dowodów winy”. Na wolność wyszedł po prawie 7 latach nieludzkiego śledztwa ze zrujnowanym zdrowiem i w tragicznej sytuacji materialnej. Dzięki koledze Jerzemu Kucharczykowi, który zatrudnił go w jednym z departamentów Ministerstwa Górnictwa w Katowicach próbował zarabiać na życie, jednak stan zdrowia nie pozwalał mu pracować i był zmuszony przejść na rentę inwalidzką. Zmarł w Katowicach 13 stycznia 1962 r. w wieku niespełna 48 lat.

## Wojciech Wayda



ps. „Odwet”

Ppłk dypl WP II RP/AK Wojciech Wayda „Baca”, „**Odwet**”

Polski dowódca wojskowy

Szef sztabu 20 Dywizji Piechoty (wrzesień 1939 r.)

Szef sztabu Odcinka Północnego Obrony Warszawy (wrzesień 1939 r.)

Członek SZP/ZWZ w Warszawie (jesień 1939 - wiosna 1940 r.)  
Komendant Inspektoratu Rejonowego Kraków ZWZ/AK (1941-1944)  
p.o. Komendanta Okręgu Kraków AK (kwiecień - maj 1944 r.)  
Dowódca 6 DP AK (podczas "Akcji Burza")  
Komendant Inspektoratu Rejonowego Kraków AK (czerwiec 1944 - maj 1945 r.)

Urodził się 1.05.1897 r. w Komarno-Rudki woj. Lwów zmarł 25.5.1949.r. w Kakowie pochowany na Cmentarzu Rakowieckim. Syn Antoniego i Apolonii z domu Cygan. Uczeń Gimnazjum Klasycznego w Gródku Jagiellońskim (w latach 1909 – 1915). Został wcielony do armii austriackiej (był w kadrze Batalionu Zapasowego 89 PP rez. Szkoły Oficerów Rezerwy Piechoty w Opawie, gdzie następnie był słuchaczem kursu oficerskiego tejże szkoły). Walczył na froncie włoskim (m. in. pod Isonzo), powrócił do Krakowa, gdzie zdał egzamin maturalny.

W 1918 r zgłosił się ochotniczo do służby w Wojsku Polskim(został żołnierzem służby stałej WP). W okresie od października 1931 do września 1933 r. studiował w Wyższej Szkole Wojennej (WSWoj.) w Warszawie, uzyskując stopień kapitana dyplomowanego służby stałej piechoty.

W czasie kampanii wrześniowej 1939 r., był szefem sztabu 20 DP WP, działającej w składzie Armii „Prusy”, brał udział w walce z wrogiem na szlaku 20 DP (od 15 września 1939 r., był szefem sztabu Odcinka Północnego Obrony Warszawy).

Po kapitulacji stolicy uniknął niewoli, rozpoczął działalność w konspiracji SZP/ZWZ (pełnił funkcję Komendanta Inspektoratu Rejonowego ZWZ/AK Kraków). Po aresztowaniu Komendanta Okręgu AK Kraków płk Józefa Spychalskiego pełnił obowiązki Komendanta Okręgu AK Kraków, następnie powrócił na stanowisko Komendanta Inspektoratu Rejonowego Kraków AK. Podczas "Akcji Burza" był dowódcą odtwarzanej 6 DP AK.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Krakowa nie przrwał działalności konspiracyjnej, Inspektoratem Rejonowym Kraków AK kierował do maja 1945 r. Ujawnił się przed Komisją Likwidacyjną d/s AK w Krakowie.

W 1946 r. Został aresztowany przez UB i więziony (w 1948 r., zwolniony z więzienia w ciężkim stanie zdrowia).

Był żonaty z Martą z domu Augustyniak, miał syna Eligiusza (ur. 12 grudnia 1921 zm. 2 listopada 2004 r.) żołnierza AK oraz córkę (ur. 30 maja 1924 r.).

Zmarł w Krakowie, został pochowany na Cmentarzu Rakowieckim w Krakowie.

#### **Odnaczenia:**

Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari (V klasy)

Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami

Krzyż Walecznych

Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918-1921

## **Jan Stettner**

ps. Sarmata

Baon III "Jan" - d-ca "Sarmata" /por. Jan Stettner/

Jan Stettner (Hansi) „Sarmata”, z pochodzenia Niemiec. W 1939 r. podporucznik rezerwy zmobilizowany do 20 pp Ziemi Krakowskiej. Porucznik, dowódca III batalionu „Jan” w „Żelbecie”. Korzystał z punktu konspiracyjnego dowództwa OP "Żelbet" w mieszkaniu W. Muniak przy ul. Bandurskiego 26. W lutym 1945 r. został aresztowany przez UB. Przez cztery miesiące był przetrzymywany przy ul. Kapucyńskiej w Krakowie. Chorował na gruźlicę. Zwolniono go w czerwcu 1945 r. po interwencji jego młodszego brata Adama (chorążego 1 DP im. T. Kościuszki). Został zweryfikowany w stopniu kapitana. Po wojnie w Szczecinie w Biurze Hartwiga przy Felczarka 3a. Zmarł w 1993 r. w Krakowie.

Był żonaty z Jadwigą Nemetschek (1917-1988, łączniczką AK „Moja”), mieli córkę.

## **Ireneusz Łaptaś**

ps. AK "Orsza"



# Henryk Pstrusiński

ps. AK "Pik"



Urodzony 9 lutego 1907 roku w Krakowie, w wielodzietnej rodzinie Gabrieli, z domu Schmeidel, i Stanisława Pstrusińskiego, z zawodu brązownika. Specjalizował się w zawodzie pokrewnym do rzemiosła swego ojca, przez pewien czas praktykując także w Czechach. Przed wojną posiadał fabrykę bakelitu, potem prowadził Artystyczną Odlewnię Metali przy ul. Powiśle 5. Jego żoną była Antonina Pstrusińska, pseudonim „Dama Pik”.

Podczas okupacji działał w zgrupowaniu Żelbet, w oddziale dywersyjnym kierowanym przez Jana Kwalkowskiego „Halszkę”, biorąc udział w wielu istotnych akcjach. Odznaczony Złotą Odznaką AK, Krzyżem Walecznych oraz Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Ratował także i ukrywał Żydów. W 2008 Yad Vashem przyznało mu tytuł Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata.

Aresztowany w 1951, po wydaniu przez torturowanego kolegę. Całonocnej rewizji w mieszkaniu towarzyszyła konfiskata, między innymi, akowskich odznaczeń. W więzieniu na Montelupich spędził ponad rok. Bronili go, odmawiając przyjęcia honorarium, dwaj krakowscy adwokaci Burda i Zawadzki.

W latach pięćdziesiątych był członkiem sekcji motorowej Cracovii, wielokrotnie zdobywając trofea i dyplomy w wyścigach i rajdach, a potem zasiadając w składach sędziowskich.

Zmarł 26 listopada 1959 roku i został pochowany w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Bibliografia:

Życiorys na podstawie relacji córki, Jadwigi Pstrusińskiej, w posiadaniu MHK.

W 2000 roku uratowany **Shmuel Rothbard** opisał swoje przeżycia w okupowanym Krakowie w książce pt. *Zieloni Jeźdźcy* w języku hebrajskim, a w roku 2015 ukazało się wydanie trzecie w języku polskim pt. **"Mulik z Krakowa."** ...Shmuela i jego siostry ukrywał po "aryjskiej" stronie Polak, przyjaciel rodziny, oficer Armii Krajowej, Henryk Pstrusiński w książce "Jerzyk", w rzeczywistości oficer o pseudonimie "Pik" (fragment opisu).

Henryk Pstrusiński w czasie okupacji pracował w niemieckich warsztatach samochodowych przy ulicy Bernardyńskiej, gdzie wraz z kolegą Dominikiem Buczkiem ps. "Żbik" wykradli samochód, była to terenowa Skoda 903 (trzyosiowa skoda). Legenda która krążyła wśród partyzantów mówiła że był to "osobisty" wóz Hansa Franka, ale było mało prawdopodobne. Skoda służyła komendantowi "Kościeszcy". Auto zostało odnalezione przez Niemców w czasie oblawy na Łysinie 17.09.1944 r.



XX. W sześciokołowej škodzie, od lewej: ppor. Wincenty Horodyński „Kościeszca”, por. Antoni Węgrzyn „Ostroga”, pchor. Zbigniew Banach „Buk”. Prawdopodobnie jest to wyjazd na rozmowy z Niemcami, 27 VIII 1944 r. (Ze zbiorów Dariusza Dyląga pozyskanych od Zofii Horodyńskiej z Paryża w 1994 r.).



## **Ireneusz Skrzypek**

**ps. AK "Ren"**

Armia Krajowa, I. Kraków, O. Kraków-Miasto

Ireneusz Skrzypek, pseud. Ren, żołnierz AK, wchodził w skład grupy dywersyjnej AK "Żelbet" kierowanej przez Jana Kowalkowskiego „Halszka”. W ramach jej działalności brał udział w likwidacji konfidentki Lili Arewieff 18 września 1944 roku. Uczestniczył w likwidacji konfidenta Eugeniusza Pietronia, który prowadził gabinet dentystyczny przy ulicy Karmelickiej 12. Przesłuchiwał i zlikwidował konfidenta w szpitalu na Loretańskiej. Zginął w strzelaninie z niemieckim patrolem 11 grudnia 1944 roku.

**Bibliografia:**

Dąbrowa-Kostka Stanisław, W okupowanym Krakowie, Warszawa 1972, s. 154, 155, 158, 171 – 172, 188.

Bratko Józef, Gestapowcy, Kraków 1985, s. 121 – 122.

## **Aleksandra Rajca**

**ps. AK "Kozaczek"**



Aleksandra Rajca pseud. „Kozaczek” urodziła się 18 stycznia 1923 roku w Krakowie, kapitan Armii Krajowej, żołnierz Kedywu Okręgu AK Kraków, łączniczka centralna sztabu zgrupowania taktycznego „Żelbet” Obwodu AK Kraków Miasto.

Córka Marii z domu Śliwy i Franciszka Rajcy, pracownika fizycznego. Do września 1939 roku

ukończyła trzy klasy gimnazjum im. Józefa Joteyki w Krakowie. W okresie okupacji niemieckiej legalnie kontynuowała naukę w Państwowym Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli, a następnie na tajnych kompletach. Była pracowita, pogodna, pełna energii, opanowana, obdarzona dobrym słuchem i pięknym głosem. Miała opinię najlepszej polonistki w maturalnej grupie. W 1943 roku zdała maturę, tymczasowe świadectwo zostało potwierdzone przez Państwową Komisję Weryfikacyjną 8 września 1945 roku.

Do Związku Walki Zbrojnej wstąpiła jesienią 1939 roku, przyjęła pseudonim Kozaczek. Pełniła funkcję centralnej łączniczki sztabu zgrupowania „Żelbet” AK. Jako kurierka i łączniczka jeździła do oddziałów partyzanckich w terenie, przewożąc pocztę i broń. Była żołnierzem grupy likwidacyjnej kierowanej przez Jana Kowalkowskiego „Halszkę”. Uczestniczyła w przygotowaniach i w wykonywaniu akcji dywersyjnych. W lutym 1944 roku wzięła udział w akcji przejścia kasy „Społem” przy ulicy Dietla. Jej grupa zdobyła wówczas pół miliona złotych zdeponowanych tam czasowo przez przedsiębiorstwo administrowane przez Niemców. „Kozaczek” przejęła pieniądze od kolegi, Henryka Pstrusińskiego ps. Pik i dostarczyła dowódcemu akcją. Wiosną 1944 roku uczestniczyła w przygotowaniach do operacji bojowej „Koppe”, organizowanej wspólnie przez grupę bojową „Parasol” i Kedyw krakowski. Akcja przeprowadzona 11 lipca 1944 roku zakończyła się niepowodzeniem – Wilhelm Koppe, wyższy dowódca SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie, został jedynie lekko ranny. W sierpniu 1944 roku brała udział w akcji identyfikacyjnej konfidentki gestapo Lili Arifiew, zamieszkałej przy ulicy Długiej 52 pod nazwiskiem Janina Malicka; wyrok został wykonany. W październiku 1944 roku jej grupa zlikwidowała kolejnego konfidenta gestapo, dentystę Eugeniusza Pietronia, którego gabinet mieścił się przy ulicy Karmelickiej. Rozpracowała agenta, a następnie wzięła udział w akcji likwidacyjnej. Zadaniem „Kozaczka” i jej kolegi Ireneusza Skrzypka „Rena” była obserwacja pacjentów w poczekalni i sterroryzowanie ich przed akcją. Wyrok wykonali wówczas Jan Kowalkowski „Halszka” i Tadeusz Łaptaś „Orsza”. Doceniano jej działalność w konspiracji. Otrzymała Srebrną Odznakę Dywizyjną z zaświadczeniem podpisanym przez Dominika Ździebło Danowskiego „Kordiana”, dowódcę „Żelbetu”. 26 października 1944 roku została odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami, nadanym za „niezmordowaną i pełną odwagi i poświęcenia pracę w ciągu pięciu lat w służbie centralnej łączniczki „Żelbetu”, a przede wszystkim za transporty »U« i służbę kurierki specjalnej do oddziałów partyzanckich w terenie.” Krótko przed zakończeniem wojny, na początku marca 1945 roku, została zatrzymana przez NKWD w kotle zorganizowanym w mieszkaniu Kobyleckich przy ulicy Warszawskiej 1. Zofia Kobylecka „Polanka”, konspiracyjna koleżanka, brała udział m.in. w rozpoznaniach przed operacją „Koppe”. Ostrzeżona przez sąsiadów, zdołała uniknąć aresztowania. Zatrzymano wówczas kilka osób, w tym młodszego brata Aleksandry, Antoniego Rajcę „Toniego”, żołnierza „Żelbetu”. Po przesłuchaniach został zwolniony, natomiast Aleksandrę uwięziono przy Montelupich. 25 marca 1945 roku została wywieziona w 10-osobowej grupie krakowskich kobiet żołnierzy AK do obozu w rejonie Krasnowodzka (obecnie Türkmenbaşy) nad morzem Kaspijskim w Turkmenii. W warunkach sowieckich łagrów zmarła z wycieńczenia 5 sierpnia 1945 roku w Krasnowodzku. Komisja weryfikacyjna do spraw Okręgu AK Kraków

zweryfikowała ją do stopnia kapitana czasu wojny ze starszeństwem od 1 stycznia 1945 roku. Została odznaczona Krzyżem Orderu Virtuti Militari V klasy, Krzyżem Walecznych po raz pierwszy oraz Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Nadania Orderu Virtuti Militari nie potwierdziła kapituła orderu.

Bibliografia:

Anna Czocher, Dobrochna Kałwa, Barbara Klich-Kluczevska, Beata Łabno, Wojna to męska rzecz? Losy kobiet w okupowanym Krakowie w dwunastu odsłonach (katalog do wystawy), Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, Kraków 2011, str. 88- 91

## **Marian Bomba**

**ps. Marian**



Marian Bomba pseudonim „Jurek”, „Roman” ur. 03.08.1897 roku w Krakowie, syn Andrzeja i Marii z Płonków, działacz PPS. Ukończył w Krakowie szkołę ludową i dwuletnią Szkołę Przemysłową. W latach 1913 - 1916 obył praktykę stolarską. Od 1916 r. walczył w Legionach. Uczestniczył w obronie Przemyśla i Lwowa za co został odznaczony Krzyżem Niepodległości. W latach 1919 – 1921 był plutonowym 20. pp. WP. Na skutek choroby nerek, której nabawił się w okopach został uznany za inwalidę wojennego. Pracował jako stolarz. W 1930 roku aresztowano go za działalność polityczną. Od 1931 roku, po wyjściu na wolność prowadził w Zelkowie lokal z wyszynkiem, który stanowił dogodną „przykrywkę” dla organizowania środowiska chłopskiego. Kierował kolejno komórkami PPS w Płaszowie, Borku Fałęckim i Podgórzu. Był robotnikiem w fabrykach “Manne”, “Suchard”, “Kabel” i “Solvay”. Działał aktywnie w Towarzystwie Uniwersytetu Robotniczego i Centralnym Związku Robotników Przemysłu Chemicznego RP (od 1925 r. ). Był prezesem Klubu Sportowego “Płaszowianka” (prowadził akcję wychowawczą wśród ubogiej młodzieży robotniczej) i członkiem Rady Nadzorczej Krakowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, zapewniającej tanie mieszkania robotnikom, żyjącym w najgorszych warunkach mieszkaniowych. W 1935 r. spędził miesiąc w areszcie za działalność polityczną, co uniemożliwiło mu kandydowanie w wyborach do Rady Miasta. W marcu 1936 r. uczestniczył w masowych wystąpieniach robotniczych i starciach na ulicach Krakowa. W 1937 r. brał udział w solidarnościowej akcji strajkowej z protestującymi

robotnikami rolnymi i chłopami. Wiosną 1939 roku kierował organizowaniem pomocy i opieki nad uchodźcami z terenów Czechosłowacji (zakwaterowanie, wyżywienie). W lipcu 1939 został aresztowany pod zarzutem „osłabiania ducha narodu” i osadzony w areszcie w Nowym Sączu, jednak Sąd Powiatowy w Limanowej uniewinnił go. We wrześniu 1939 r. nie został powołany do służby wojskowej. Na własną rękę podążył na wschód (szukając możliwości wstąpienia do wojska), dotarł do Kowla, skąd powrócił do Krakowa. Brał udział w spotkaniu zorganizowanym w domu Cyrankiewiczów przy ul. Salwatorskiej, gdzie ustalono zasady działania krakowskiej PPS w konspiracji. 10 października 1939 r., gdy rozpoczęto formowanie Milicji Robotniczej PPS, wszedł w skład jej pierwszego kierownictwa. Po rozmowach J. Cyrankiewicza i Zygmunta Kłopotowskiego z M. Karaszewiczem – Tokarzewskim, został kierownikiem krakowsko - śląsko – rzeszowskiego Okręgu Gwardii Ludowej PPS . W tym okresie mieszkał w Krakowie przy ul. Parkowej 15/14. Zorganizował system nasłuchu radiowego, druku powielaczowego i kolportażu prasy (“Naprzód”, “Wolność”, “WRN”). W tym celu m. in. utworzył komórkę fałszującą dokumenty i bilety kolejowe dla łączników. Był dowódcą pierwszego krakowskiego oddziału bojowo - dywersyjnego GL PPS i inspiratorem m. in. akcji oblewania żrącymi substancjami wyposażenia sal kinowych. 24 listopada 1940 r. dowodził grupą GL PPS, która na terenie “Solvayu” podpaliła składy siana, przeznaczonego do produkcji materiałów wybuchowych. Od tego czasu był poszukiwany przez gestapo listem gończym. Bezpośrednio współpracował z J. Lasocką i A. Rysiewiczem w przekazywaniu materiałów dotyczących KL Auschwitz. Brał aktywny udział w wyprowadzaniu zbiegłych z obozu jeńców (m. in. wyprowadził z obozu Kazimierza Hałonia - zamiast J. Cyrankiewicza, który odmówił wyjścia z obozu pomimo zorganizowania mu trasy ucieczki już po raz trzeci). Wyznaczył wówczas system patroli dyżurujących w rejonie obozu z zadaniem udzielenia pomocy ewentualnym uciekinierom spoza organizacji obozowej. Współorganizował 10 czerwca 1941 r. ucieczkę Tadeusza Orzelskiego ze szpitala św. Łazarza. Prowadził kursy dywersyjne. Do 1942 r. pełnił funkcję dowódcy Milicji Robotniczej na obszar województwa krakowskiego. Uczestniczył osobiście w wielu akcjach likwidowania konfidentów policji i pracowników administracji okupanta (m. in. wójta w Tęgorozu). Zimą 1942 r. organizował pomoc dla jeńców sowieckich zbiegłych z obozu w Kobierzynie. 28 stycznia 1943 r. dowodził akcją na krakowski Arbeitsamt (Urząd Pracy) przy ul. Lubelskiej 27, kiedy to całkowicie zniszczono kartoteki młodzieży przygotowywanej do wysłania na roboty do Rzeszy. Aktywnie uczestniczył w pracach krakowskiej Rady Pomocy Żydom “Żegota”. Organizował pomoc dla ukrywających się Polaków, Węgrów i Jugosłowian oraz dla więźniów z obozu w Płaszowie. W maju 1943 r., zadenuncjowany przez Konrada Lubańskiego (ps. “Król”), wpadł w zasadzkę gestapo przy ul. Brzozowej. Ciężko ranny zdołał zbiec do lokalu przy ul. Św. Sebastiana 34. Ukrywał się. W lipcu 1943 r. przeniesiono go do Wieliczki (ukrywał się u rodzin Wilkoniów i Jedyńaków ), a w grudniu 1943 r., jeszcze chory przeszedł do Budapesztu w celu zorganizowania sieci przerzutowej dla węgierskich działaczy socjalistycznych zagrożonych aresztowaniem (ich spis skierowany do gestapo w GG przechwycił krakowski PPS) i polskich uchodźców na Węgrzech. W lutym 1944 r. powrócił do Krakowa. Uczestniczył w przerzuceniu z miechowskiego na Podhale zbiegłych z niewoli oficerów - Rosjan. 29 września 1944 r. uczestniczył w potyczce z patrolami żandarmerii w Jastrzębi. W roku 1945 ujawnił się

przed organami władzy ludowej. Nadal działał społecznie pozostając członkiem Komitetu Wojewódzkiego PPS, będąc zatrudniony jako kierownik Wydziału Personalnego Zakładów "Solvay". W maju 1947 r. został aresztowany i przez 6 miesięcy był osadzony w krakowskim areszcie UBP przy Pl. Inwalidów, a następnie przez 18 miesięcy w więzieniu Mokotowskim. W kwietniu 1949 r. zwolniono go bez wyroku sądowego. Od 1950 do 1957 r. pracował w Krakowskiej Spółdzielni Komunikacyjno - Warsztatowej. 29 listopada 1956 r. został zrehabilitowany i 15 stycznia 1957 r. przywrócony do członkostwa w partii (PZPR), nigdy jednak nie odebrał legitymacji partyjnej. Od 1957 r. pozostawał na rencie dla zasłużonych. Zmarł 14 marca 1960 r. w Warszawie, pochowano go w Alei Zasłużonych Cmentarza Rakowickiego w Krakowie.

#### Bibliografia:

Bomba M., Relacja AP - Kraków, sygn. AKW - 26.

A. C. [Adam Ciołkosz] Ś. p. Marian Bomba, „Dziennik Polski” (Londyn) 1960.05.02.

Aleksandrowicz J., *Kartki z dziennika dr Twardego*, Kraków 1967.

Bak J., Kupracz J., *Uchronić od zapomnienia*, "W Marszu 1939 - 1945" 1978 nr 5.

Borwicz M., *Spod szubienicy w teren*, Paryż 1980.

Duraczyński E., *Socjaliści polscy 1939 - 1941*, "Dzieje Najnowsze" 1978 nr 2.

Dudzik Z., *Pierwsza tajna radiostacja w Krakowie*, "Dziennik Polski" 1966 nr 114.

Filar A., *U podnóża Tatr*, Warszawa 1985.

Fitowa A., *Bataliony Chłopskie w Małopolsce*, Warszawa 1984.

Hein W., Jakubiec Cz., *Montelupich*, Kraków 1985.

Jarowiecki J., *Konspiracyjna prasa w Krakowie w latach okupacji hitlerowskiej 1939 - 1945*, Kraków 1986.

Kłodziński S., *Raport komórki więziennej Delegatury Rządu z 1944 r. o Pawiaku, Oświęcimiu*. . ., "Najnowsze Dzieje Polski" 1968 nr 12.

Konik S., Konik A., *Wspomnienia z lat okupacji hitlerowskiej byłego członka GL - PPS w Krakowie*, "W Marszu 1939 - 1945" 1978 nr 5.

Lewandowska S., *Kryptonim "Legalizacja" 1939 - 1945*, Warszawa 1984.

Pietrzykova A., *Region tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej*, Warszawa 1984.

Pluta - Czachowski K., *Aresztowania w Krakowie*, "Kierunki" 1984 nr 10.

Pluta - Czachowski K., *Fundamenty konspiracji Cz. 1*, "Kierunki" 1981 nr 37.

*Słownik biograficzny działaczy polskiego ruchu robotniczego t. 1*, red. F. Tych, Warszawa 1978.

Sobański T., *Ucieczki oświęcimskie*, Warszawa 1966.

*W 3 rocznicę zagłady Ghetta w Krakowie, Kraków 1946.*

*Zaremba Z.,Wojna i okupacja, Kraków 1991.*

*Zawrzykraj H.,Prawdziwi ludzie, "Gazeta Krakowska" 1966 nr 156.*

## **Zbyś ps "Sardynka"**

brak danych

## **Józef Proficz**

**Pseudonim: Czarny, Duce**

Organizacja: Armia Krajowa (AK); Polska Partia Socjalistyczna (PPS)



Urodził się 2 listopada 1913 w Krakowie jako syn Franciszka i Rozalii z domu Ozgów. Od 1930 r. do napaści Niemiec na Polskę pracował w wydawnictwie dziennika socjalistycznego „Naprzód” w Krakowie przy ul Dunajewskiego 5 w dziale ekspedycji i kolportażu prasy . W tym też czasie był członkiem czerwonego harcerstwa, Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (OMTUR) i Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS). Uczęszczał na kursy języka esperanto, kursy szkoły nauk społecznych i politycznych organizowane przez OMTUR jak również na odczyty o tematyce socjalistycznej gdzie wykładowcą był docent Wiktor Ormicki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, zamordowany przez Niemców we wrześniu 1941 r. w KL Mauthausen-Gusen.

W latach 1935- 1936 odbył służbę wojskowa w 19 Pułku Piechoty we Lwowie. 24 sierpnia 1939 został zmobilizowany do 12 Pułku Piechoty w Krakowie na stanowisko dowódcy drużyny piechoty a następnie zastępcę dowódcy plutonu. Jego oddział stacjonował w szkole przy ul Szlak

5. W nocy 5 na 6 września 1939 wraz z całym wojskiem wycofał się przez Brzesko Nowe, Kazimierz Wielki, Staszów, Połaniec, Tarnobrzeg, Rozwadów, Janów Lubelski, Frampol w kierunku Zamościa. Został wzięty przez Wehrmacht do niewoli 17 na 18 września w rejonie Biłgoraja. Przewieziono go wraz z żołnierzami pochodzącymi z Śląska do przejściowego obozu jenieckiego w Kielcach, skąd ruszały transporty po kilka tysięcy jeńców do Rzeszy. W czasie porządkowania magazynów wojskowych przy stacji kolejowej w Kielcach udało mu się zdobyć cywilne ubrania w którym zbiegł z niewoli.

Po powrocie do Krakowa nawiązał kontakty z przedwojennymi działaczami PPS i został żołnierzem Gwardii Ludowej PPS, która weszła w skład Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). W konspiracji używał pseudonimów „Czarny” oraz „Duce”.

W 1940 r. został skierowany do grupy dywersyjnej pod dowództwem Mariana Bomby (pseud. Roman), gdzie był dowódcą 5 osobowego patrolu tzw. piątki i miał upoważnienie organizowania dalszych.

W okresie okupacji niemieckiej w Krakowie pracował w firmie „Atlas” przy ul Potockiego 3, prowadzącej ekspedycję niemieckich czasopism. Z jej magazynów pozyskiwał matryce oraz farby do powielacza, które wykorzystywane były do druku konspiracyjnej prasy. Przechowywał tam w zaaranżowanych skrytkach: broń, amunicję, świece termitowe i ampułki zarazków chorób zakaźnych wykorzystywanych w akcjach dywersyjnych przeciwko okupantowi.

Od początku 1942 r. przeprowadzał akcje dywersyjne przez podrzucanie zapalających świec terminowych na niemieckie wojskowe transporty kolejowe zdążające na front wschodni. Ze względu na opóźnione działanie świec, wagony stawały w ogniu w dużej odległości od Krakowa, co uniemożliwiało Niemcom zorientować się w którym miejscu akcja była przeprowadzona.

W połowie sierpnia 1942 r. został aresztowany przez Gestapo koło punktu kontaktowego przy ul. św. Tomasza 28, gdzie mieszkał Feliks Jędrusik (pseud. Murzyn). Na szczęście w porę pozbył się prasy konspiracyjnej którą miał wcześniej przy sobie. Trafił do więzienia Montelupich, gdzie spotkał również tu uwięzionego, dawnego kolegę z PPS-u, Józefa Cyrankiewicza. Po trzech tygodniach przesłuchań połączonych z torturami, z powodu braku dowodów na działalność podziemną został zwolniony. Na wolności z powodu urazów i zadanych ran był leczony przez kilka tygodni, zanim doszedł do siebie.

Pod koniec 1942 roku przeszedł do oddziału dywersyjnego zgrupowania „Żelbet” Armii Krajowej, gdzie pełnił funkcję dowódcy patrolu dywersyjnego. Brał bezpośredni udział w likwidacji konfidentów: Zdzisława Mięso zamieszkałego w Podgórzu przy wejściu do Parku Bednarskiego, policjanta granatowego Chyłki z Bronowic w szpitalu przy ul Kopernika, żydowskiego konfidenta Pawła Gottlieba, Sławomira Mądrali (zdrajca z plutonu Szarych Szeregów „Alicja”) i jego matki Wandy zamieszkałych przy ul. Limanowskiego 20, Bartyzela przy ul. Łabędziej na Woli Duchackiej. Ponadto prowadził konspiracyjne kursy podoficerskie szkolenia bojowego.



W tym samym czasie Józef Proficz zaangażował się w działalność działającej w konspiracji na terenie Podgórza, drużyny piłkarskiej Klubu Sportowego (KS) „Korona”.

W lipcu 1944 roku w godzinach popołudniowych z całym swoim oddziałem brał udział w zdobyciu dla oddziałów partyzanckich niemieckich magazynów żywności w klasztorze Ojców Dominikanów w Krakowie przy ul. Stolarskiej, a w grudniu 1944 r. magazynu cukru przy ul. Kościuszki. Okupację niemiecką zakończył w stopniu starszego sierżanta podchorążego. Po wkroczeniu w 18.01.1945 r. do Krakowa Armią Czerwoną wstąpił do PPS, gdzie pełnił funkcję referenta kulturalno oświatowego i został delegowany do Zabrza i Gliwic celem organizowania komitetów OMTUR. W latach 1946 -1956 pracował jako starszy planista w zaopatrzeniu w fabryce kabli w Krakowie. Udzielał się na niwie sportowej i pełnił funkcję kapitana drużyny piłkarskiej w przyzakładowym Klubie Sportowym „Kabel”. Po ukończeniu kursu instruktorskiego wychowania fizycznego został trenerem młodszych drużyn w tym zespole.

Od 1956 roku pracował w centrali technicznej przy ul. Szewskiej, a następnie min. w PKS-ie i w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Od 1960 r. współpracował z komisją historyczną Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBOWiD) –Kraków. W 1970 r. przeszedł na rentę inwalidzką i został zaliczony do inwalidów wojennych. W latach 1976-1978 był członkiem Komisji Organizacyjnej ZBOWiD- Śródmieście a potem członkiem Zarządu Koła ZBOWiD- Dąbie.

Był odznaczony:

- Pamiątkową Odznaką 19 Pułku Piechoty we Lwowie.
- dwukrotnie Krzyżem Walecznych
- Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami
- Krzyżem partyzanckim
- Krzyżem Armii Krajowej
- czterokrotnie Medalem Wojska

**Józef Proficz zmarł 25 kwietnia 1997 r. w Krakowie.**

Bibliografia:

Dąbrowa-Kostka S., W okupowanym Krakowie, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1972, s. 77.

Proficz J., Odyseja wojenna i początek konspiracji, „W marszu 1939-1945” nr 7, Kraków 1979.

Proficz J., Pseudonim Duce, „Zeszyty Historyczne ZIW PRL”, Kraków 1986.



Proficz J., Relacja 24/R/84, Archiwum Muzeum Historycznego Miasta Krakowa.

Proficz Józef, Wspomnienia z lat 1939-1945, maszynopis, sygn. IPN Kr 1/2089, wł. IPN Kraków.

Proficz Józef, Życiorys, maszynopis, wł. Marta Ostafin.

## ***Strzelichowski Stanisław Maria***

### ***ps. „Wiktor”***

*Ur. 10.XI.1926 r. w Krakowie.*

*Wykształcenie ogólne, średnie.*

*Od 1942 r. był żołnierzem ZWZ-AK. Pomimo bardzo złego stanu zdrowia brał udział w sabotażu psychologicznym rozwożąc materiały w ramach akcji „N”. Obsługiwał wraz z matką skrzynkę kontaktową dla oddziałów partyzanckich Kedywu Krakowskiego i SBP »Skala«. Został aresztowany, uciekł ukrywając się. Współpracował z redakcją tajnego pisma Szarych Szeregów „Na ucho”.*

*Po 1945 r. był studentem Szkoły Filmowej w Łodzi. Autor książki „Dwa lata...”.*

*Zmarł 20 stycznia 1953 r.*

*Otrzymane odznaczenia (pośmiertnie): Krzyż Armii Krajowej, Medal Wojska.*

## ***Meres Zdzisław ps. „Orlik”***

*Ur. 19.I.1921 r. w Krakowie. Wykształcenie średnie - pracownik administracji.*

*W 1940 r. wstąpił do ZWZ-AK Kedywu. Uczestniczył w akcjach rozbrojeniowych Niemców w celu zdobywania broni. Brał udział w walkach z niemiecką propagandą, niszcząc urzędnictwo w kinach krakowskich. Działal w akcjach likwidacji konfidentów Gestapo, był d-cą patrolu w akcji na grupę*

*konfidentów Diamanda w Kawiarni Ziemiańskiej w Krakowie. Uczestniczył w akcji na bank przy ulicy Szpitalnej w Krakowie w celu zdobycia środków finansowych i maszyn do pisania. W styczniu 1944 r. brał udział w grupie osłonowej w zamachu na gub, Franka pod Grodkowicami.*

*Następnie przeszedł do OP „Błyskawica”, potem do „Gromu”, a od lipca 1944 r. do SBP»Skala«.*

*Walczył w potyczce z Niemcami, pod Biórkowem, Sielcem, Skalbmierzem i Goszczą oraz brał udział w bitwach pod: Zaryszynem, Moczydłem, Krzeszówką, Sadkami i Złotym Potokiem.*

*Na skutek choroby przeszedł z oddziału do dyspozycji terenówki.*

*Stopień wojskowy: podporucznik.*

*Odznaczenia: Krzyż Walecznych, Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami.*

*Po 1945 r. stał się prywatnym przedsiębiorcą.*

## ***Dominik Buczek ps. AK "Żbik"***

*Dezerter z Sonderdienstu, Ślązak*